tygodnikprzeglad.pl

# Przegląd

Nr 39 (1342)
22-28.09.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

**Andrzej Sikorski**
„Misiek" Kamiński wchodzi do gry

**Karol Trammer**
Jak politycy bawią się koleją

**Eliza Sarnacka-Mahoney**
Charlie Kirk – święty czy prowokator?

**Wiesław Kot**
Robert Redford – amant spełniony

## ZBIGNIEW DERDZIUK

# TAJEMNICZY PREZES ZUS

**KOMPETENCJE NIEJASNE, ZADANIA ROZMYTE, POZYCJA NIEPODWAŻALNA**

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
39
9 771509 311508

# TEATR CAPITOL

GRAMY W CAŁEJ POLSCE!

**POLSKA PRAPREMIERA**
wrzesień 2025

# PÓŁ ŻARTEM...

tłumaczenie tekstu i reżyseria
OLAF LUBASZENKO

autor PETER QUILTER

Piotr BONDYRA Jakub DMOCHOWSKI Pola GONCIARZ Robert JANOWSKI Justyna JELEŃ
Jakub KWAŚNIEWICZ Olaf LUBASZENKO Anna-Maria SIEKLUCKA
Jacper SOŁTYSIEWICZ Michalina SOSNA Beata ŚLIWIŃSKA Krzysztof WIESZCZEK

KUP BILET TEATR CAPITOL www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 8076cc18d8

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

# Dlaczego boli myślenie

Wartość tego, co piszemy, najsprawiedliwiej weryfikują czytelnicy, a w dłuższej perspektywie czas. Z nim nie ma żartów. Bez litości i sentymentu odsyła prawie wszystko do archiwum. Na wieczne zapomnienie. Na szczęście są wyjątki i o jednym z nich mogę napisać. Z satysfakcją, bo dotyczy Krzysztofa Teodora Toeplitza. Człowieka w polskiej kulturze wyjątkowego. KTT to już postać pomnikowa. Erudyta. Intelektualista. Elita w najlepszym rozumieniu tego słowa. Niepowtarzalny fenomen. Indywidualista, którego znakiem firmowym było racjonalne myślenie. Jego przebogata twórczość oparta była na głębokiej i wszechstronnej wiedzy. Na tolerancji. I na tradycji rozumu i oświecenia.

KTT miał duży wpływ na kształtowanie postaw i ocen polskiej inteligencji. Na budowanie kapitału umysłowego i wrażliwości obywatelskiej kilku pokoleń Polaków. Zwłaszcza tych bardziej zainteresowanych polityką, kulturą i mediami. Sam zetknąłem się z jego pisarstwem już jako uczeń Liceum Ogólnokształcącego im. Juliusza Ligonia w Chorzowie. Był dla naszej grupki kimś, kto pokazywał nowe horyzonty i objaśniał świat. No i ten niespotykany, niepodrabialny kunszt słowa.

Na naszych łamach, a wcześniej na łamach „Przeglądu Tygodniowego", ukazało się ponad 800 jego felietonów. Ostatni niespełna dwa tygodnie przed śmiercią. Minęło 15 lat i uznaliśmy, że pora przypomnieć teksty, które dla wielu nie tylko naszych czytelników były busolami, dzięki którym orientowali się na podobny sposób myślenia.

Nie byłoby tego zbioru, gdyby nie państwo Halina i Michał Kabatowie. To ich autorski wybór z wielkiej przeglądowej spuścizny KTT. Ideą przewodnią było pokazanie tego, co najbardziej charakterystyczne dla jego pisarstwa, i przypomnienie tych prognoz i przestróg, które ciągle są aktualne, tak jakby pisał je do bieżącego numeru. Mamy więc nad czym myśleć. I mamy kolejne argumenty, że tylko korzystając z siły rozumu, możemy lepiej urządzić świat. Najlepiej rozumieją to ci, którzy byli wychowani na publicystyce KTT, jego admiratorzy jak państwo Kabatowie, i środowisko „Przeglądu".

Dziękuję pani Bożenie Toeplitz za pomoc i życzliwość oraz władzom ZAiKS, które wsparły finansowo wydanie tej książki.

„Dlaczego boli myślenie" to pozycja, której miejsce jest w każdej bibliotece. A przede wszystkim lektura obowiązkowa. Polecamy ją tym, którzy już znają te teksty i zobaczą, jak bardzo są aktualne. Oraz tym, którzy dopiero teraz odkryją moc jego intelektu i talentu.

**Klasyk współczesnego felietonu i jego refleksje. Trafność sądów. Przenikliwość. Dowód, że racjonalne myślenie ma moc. Choć potrafi boleć… Kupujcie, czytajcie i puszczajcie w świat.**

**sklep.tygodnikprzeglad.pl**

## BĄKOWSKI

eprasa.pl 8076cc18d8

# W NUMERZE


**KRAJ**

8 **Dlaczego młodzi Polacy są przeciw?**
– rozmowa z dr. Adamem Kądzielą

12 **Zbigniew Derdziuk – tajemniczy prezes ZUS**
Co robi w nieprzejrzystej instytucji

15 **Proszę państwa, oto „Miś”**
Kolejna wolta obrotowego Kamińskiego

18 **Miliardy w czarnej dziurze**
Co z polskim górnictwem?

22 **Kolej jest dobra dla Polski**
– rozmowa z Karolem Trammerem

27 **Dziennikarze muszą patrzeć władzy na ręce**
Magdalena Rigamonti z Nagrodą im. Panasa

30 **Bagaż ratunkowy**
Plecak ewakuacyjny – mieć czy nie mieć?

**OPINIE**

25 **Jakub Majewski**
Pociąg ku przyszłości

28 **Małgorzata Zuber-Zielicz, Włodzimierz Zielicz**
Edukacja zdrowotna, czyli wielka improwizacja

**ZAGRANICA**

34 **Od Charliego Kirka do wojny domowej**
Korespondencja z USA

38 **Początek końca skrajnej prawicy?**
Korespondencja z Argentyny

42 **Polacy do Polski**
Dane o przestępczości na Wyspach stygmatyzują

**HISTORIA**

46 **Zbrodnie kolonializmu europejskiego**
Bogactwo budowane na cierpieniu

**KULTURA**

50 **Komediowy dotyk Machulskiego**
– rozmowa z Juliuszem Machulskim

54 **Blondyn XX wieku**
Redford: od Sundance Kida do Sundance

57 **Qulturalia**

66 **Jarosław Bednarz. Człowiek in spe**

**SPORT**

58 **Futbol wielki i najmniejszy**
Święto lig prowincjonalnych

**OBSERWACJE**

60 **Nowy uśmiech z Afryki**
Dentysta w Maroku jest tańszy

**FELIETONY I KOMENTARZE**

3 **Jerzy Domański**
Dlaczego boli myślenie

21 **Jan Widacki**
Reparacje i ekshumacje

33 **Roman Kurkiewicz**
Faszyści ante portas? Nie, są na szczycie

41 **Tomasz Jastrun**
Wszystko dla demokracji

49 **Wojciech Kuczok**
Kaj staje siódemka

22
KRAJ

## KOLEJ JEST DOBRA DLA POLSKI
– rozmowa z Karolem Trammerem

58
SPORT

## FUTBOL WIELKI I NAJMNIEJSZY
Święto lig prowincjonalnych

66
GALERIA

## JAROSŁAW BEDNARZ. CZŁOWIEK IN SPE

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, GENERATOR AI

eprasa.pl 8076cc18d8

## Gry wojenne

Pod wrażeniem znakomitego tekstu Wojciecha Kuczoka („Przegląd” nr 36) i wobec narastającej codziennej paniki wojennej przypomniałem sobie o wydanym ponad 30 lat temu studium George’a Friedmana „Następne 100 lat”. Autor, amerykański analityk, opisuje dokładnie konflikty zbrojne, do których dojdzie m.in. w Europie w ciągu stulecia. Wygląda to jak samospełniająca się przepowiednia – wojna Polski z Rosją zajmuje w tym studium ważne miejsce.

Wielcze wspomnienie
Wojciech Kuczok
Gry wojenne

Człowiek zadaje sobie pytanie, kto tym manipuluje. Gorliwie w tych manipulacjach wspomagają „demiurgów wojny” rodzimi politycy. Te alerty RCB, te niekończące się wywiady z emerytowanymi generałami, te rady gabinetowe i rzekomo zatroskani dziennikarze. Ludzie, otrząśnijmy się z tego amoku. O przyszłości świata zadecydują trzy mocarstwa atomowe. Rzucimy się na jedno z nich? Tego chcemy?

Przy okazji książkę Jonathana Littella „Łaskawe” polecam każdemu prawicowemu i lewicowemu militaryście – niestety są tacy i po lewej stronie.

*Krzysztof Kosowski, Kraków*

## Trump może Polsce jedynie zaszkodzić

Trump wbrew pozorom bardzo dobrze myśli, tzn. w interesie Stanów Zjednoczonych. Amerykanie nigdy nie pozwolą na to, by Unia Europejska dorosła do równoprawnego partnerstwa z USA. Zawsze będą się starać, by pozostawała w dużym stopniu od nich zależna i wobec nich uległa, by mogli odpowiednio do danej sytuacji na nią wpływać.

Trump może Polsce jedynie szkodzić
PROF. ROMAN KUŚNIAR

*Stelios Lotsios*

•

Szkoda, że zbyt wielu polityków na wysokich szczeblach UE ulega Trumpowi i jego macherom. Nie jestem politykiem, ale uważam, że czas najwyższy Amerykę i Rosję traktować grzecznie, ale asertywnie. Trzymając na odpowiednią odległość. A my w UE powinniśmy zacząć się jednoczyć, tworząc najpierw wspólną politykę zagraniczną i wspólną armię, niezależną od amerykańskiej. Bez tego Trump z Putinem będą się dogadywać ponad naszymi głowami i rządzić Europą, stosując starą rzymską zasadę divide et impera.

*Józef Brzozowski*

•

Polska miała wstać z kolan, a tutaj przymilanie się, radość i duma, że Ameryka poklepie po plecach. Przyjaźń z Trumpem? Niech prezydent Nawrocki mu powie, że na razie nie będziemy kupować w Stanach gazu, ropy ani uzbrojenia.

*Ryszard Richard*

•

Zjednoczona Europa, zmierzająca ku faktycznej państwowości unijnej, nie jest na rękę żadnemu mocarstwu. Że też do władzy w USA musiał dojść nielubiany przez połowę Polaków człowiek, by zaświtała komuś nad Wisłą myśl, że nie tylko dla Rosji UE jest czymś niewygodnym. Ale tak to niestety u nas często bywa, że aby kochać jednego, potrzebujemy nienawidzić drugiego, co nam przy okazji przeszkadza w obiektywnym oglądzie całości.

*Michał Błaszczak*

# ZDJĘCIE TYGODNIA

**Trwają przesiedlenia Palestyńczyków z północnej części Strefy Gazy. Siły izraelskie nakazały ewakuację mieszkańców miasta Gaza. 18 września 2025 r.**

FOT. MAHMOUD ISSA/REUTERS/FORUM



eprasa.pl 8076cc18d8

**Do 2,9% spadła inflacja** w sierpniu i jest najniższa od wielu lat.

•

Na pomoc socjalną dla poszkodowanych w ubiegłorocznej powodzi rząd przeznaczył już prawie **2 mld zł**. Zasiłki powodziowe od 2 tys. do 10 tys. zł otrzymało **125 tys. osób**. Do ok. **10 tys. rodzin** trafiły specjalne zasiłki na odbudowę do 200 tys. zł (średnio ok. 65 tys. zł).

•

80% uchodźców z Ukrainy w Polsce utrzymuje się z pracy, **794 tys. Ukraińców odprowadzało w 2024 r. składki do ZUS**, a ich wkład do polskiego budżetu wyniósł 15,1 mld zł (**„Angora"**).

•

Według kontrolerów NIK polityk PiS Marcin Horała, gdy był pełnomocnikiem rządu ds. CPK, „nierzetelnie sprawował nadzór nad realizacją inwestycji, nieprawidłowo definiował jej skalę, zakładał nierealistyczne terminy".

•

**Prof. Henryk Skarżyński,** dyrektor Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu i przewodniczący Rady Głównej Instytutów Badawczych, dzięki któremu słuch odzyskały tysiące ludzi, otrzymał **Nagrodę im. Józefa Oleksego** przyznaną „za poszukiwanie dróg dialogu między ludźmi odmiennych poglądów i szerzenie kultury w przestrzeni publicznej".

•

**Mariusz Haładyj,** szef Prokuratorii Generalnej i były wiceminister kilku resortów w rządzie PiS, został wybrany przez Sejm **na prezesa Najwyższej Izby Kontroli.**

•

Piotr Andrzejewski, solidarnościowy adwokat wybrany przez PiS do Trybunału Stanu, podejmuje coraz bardziej kuriozalne działania w obronie neosędzi Małgorzaty Manowskiej. Robi, co może, by Manowska nie straciła immunitetu, którego i tak nie ma. Andrzejewski kompromituje kolejną instytucję i próbuje sprowadzić Trybunał Stanu do partyjnej przybudówki PiS.

•

Do polskich miast trafi ponad **250 chińskich autobusów elektrycznych** marki Yutong, globalnego lidera sprzedaży pojazdów niskoi zeroemisyjnych. Wśród kilkudziesięciu miast, które podpisały umowy, są Warszawa, Katowice, Białystok, Siedlce, Ostrołęka, Łomża, Pułtusk i Mrągowo.

•

**Bartosz Zmarzlik** po raz szósty został indywidualnym mistrzem świata w jeździe na żużlu. Jest więc w trójce najbardziej utytułowanych zawodników tej dyscypliny w dziejach.

•

Do 4 mln wzrosła liczba Polaków posiadających majątek o wartości ponad 400 tys. zł.

•

**Z prawie 7 tys. języków na świecie większość może zniknąć w tym stuleciu.** Najrzadszymi językami, a tych jest ok. 3,5 tys., włada tylko 0,2% ludzkości, na dodatek nie potrafiąc pisać i utrwalając język tylko w postaci mówionej.

•

625 producentów wina w Polsce uprawia winorośl na 951 ha.

•

Od 2002 do 2022 r. **sprzedaż leków na potencję wzrosła w Polsce 60 razy,** ze 150 tys. do 9 mln opakowań.

•

Budżet audycji katolickich w TVP wzrósł z niecałych 14 mln zł w 2019 r. do 34,4 mln zł w 2023 r.

# PRZEBŁYSKI

## Jak PiS łączyło Bałtyk z Morzem Czarnym?

Wśród bajek, którymi PiS karmiło wyborców, niemal nic nie przebije Morawieckiego. Pinokio obiecał milion elektryków śmigających po drogach. Kto je widział, proszony jest o kontakt z najbliższym posterunkiem policji. Albo z centralą PiS na Nowogrodzkiej.

Premier Szydło w exposé polała jeszcze więcej wody: „Chcę, by polskie rzeki stały się wielkimi drogami, po których będą płynąć barki pełne towarów". Cóż szkodzi obiecać? W 2016 r. poszła jeszcze dalej. Rząd zapowiedział, że wybuduje drogę rzeczną, która połączy Bałtyk z Morzem Czarnym. W kraju, gdzie poziom wody w Wiśle sięgnął 4 cm, trzeba by na tę utopię kosmicznej kasy. Ta akurat jest. Z Unii, która uwierzyła w bajki Szydło i płaci. Jeszcze w tym roku dała 5,3 mln zł na kolejne studium wykonalności. Chętnie napiszemy, kto w rządzie firmuje tę pisowską mrzonkę.

## W Nysie zbudują na wodzie?

Ciągle są ludzie, którzy stają na głowie, by powiedzenie, że „Polak przed szkodą i po szkodzie głupi", nie straciło na aktualności. Najnowsza mutacja wylęgła się w Nysie. Mieście, o którym głośno było w czasie ubiegłorocznej powodzi. Jego część znalazła się pod wodą. Za pieniądze z budżetu, czyli za nasze, sporo już odbudowano. Wystarczająco dużo, by odżyli deweloperzy. I cóż proponują? Nowe osiedla. A gdzie najtaniej? Na terenach zalewowych. Dokładnie tam, gdzie rok temu stała woda. Co może zrobić burmistrz Nysy Kordian Kolbiarz, skoro wszystkie procedury związane z odbudową są takie same jak przed powodzią? Ostatnią deską ratunku, by przegonić deweloperów na bezpieczne tereny, są radni Nysy i ich decyzja. Kibicujemy rozumowi.

## „Wielki Bu" już siedzi

Kolega prezydenta Nawrockiego z ringu, „Wielki Bu", miał lecieć do Dubaju, ale musiał zostać w Hamburgu. Bo polska prokuratura wydała europejski nakaz aresztowania. Zarzuty wobec „Wielkiego Bu" są bardzo poważne. Udział w zorganizowanej grupie przestępczej, handel narkotykami i kradzież samochodów.

## Komu przystanek, komu?

Co szkodzi obiecać! Czy słowa głupka z PO spodobały się prezydentowi Nawrockiemu? Chyba tak, bo jeździ po kraju ze swoją teorią kolei wielkich prędkości. Prędkości mają być wielkie, ale przystanków kolejowych tyle, ile miast, którym Nawrocki to obieca. Nie rozumiecie tego? I słusznie, bo ludzki rozum tego nie ogarnia.

Co innego gość, za którym stoją Bóg i Trójca. I oczywiście prezes Kaczyński.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE, PLATFORMA X

eprasa.pl 8076cc18d8

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

# PYTANIE TYGODNIA | Do jakiego narodu Polacy są najbardziej podobni kulturowo?

**JACEK PAŁASIŃSKI,**
*korespondent, podróżnik*

Polacy nie są podobni do nikogo. To jedyny naród, którego jedną trzecią ludności stanowią imigranci. Na ziemiach odebranych Niemcom po II wojnie światowej zamieszkali ludzie z różnych regionów i kultur, którzy przez co najmniej dwa pokolenia mówili własnymi dialektami. W I RP mówiono 18 różnymi równoprawnymi językami. Nie ma drugiego kraju, przez który przeszłoby tyle nacji. Od Gotów, którzy na polskich ziemiach podzielili się na Ostrogotów i Wizygotów, przez Wandalów, którzy spustoszyli Rzym. Przechodziły też wojska – skandynawskie, węgierskie, rosyjskie, niemieckie i duńskie. Jesteśmy zlepkiem różnych narodów i – co ważne – lubimy być odizolowani od reszty świata, nawet w dobie łatwych podróży. Z wyjazdów wracamy z ulgą, ponieważ nie czujemy wspólnoty z innymi. O NATO mówimy: „oni nas będą bronić", o UE: „oni nas prześladują" – chociaż jesteśmy częścią tych wspólnot. Byłem w 86 krajach i nie znajduję żadnej kultury, do której można by Polaków przyrównać.

**DR MARCIN KOŁAKOWSKI,**
*iberysta, Uniwersytet Warszawski*

To może zaskakiwać, a nawet wydawać się paradoksalne, ale pod względem kulturowym i temperamentu Polacy są podobni do Hiszpanów. Przejawia się to w ich wzajemnych relacjach, które cechuje duży entuzjazm i łatwość nawiązywania silnych więzi. To porozumienie wynika po części z głębokiego zakorzenienia obu narodów w kulturze katolickiej, która ukształtowała podobną mentalność i tradycje. Oba społeczeństwa łączy też pamięć relatywnie świeżego zacofania względem Zachodu, szczególnie w sferze ekonomicznej. To wspólne doświadczenie, funkcjonujące jako rodzaj postpamięci, także je upodabnia. Kolejną zbieżnością jest zdolność do solidarności w kryzysie: widać to było w ostatnich latach, w Polsce – w pomocy Ukraińcom, w Hiszpanii – w reakcji na kryzys mieszkaniowy.

**AGNIESZKA GRACA,**
*filolożka, autorka kryminałów*

Przewrotnie zapytam, dlaczego mielibyśmy być podobni tylko do jednego narodu, skoro możemy lepiej, możemy bardziej. Lingwistycznie chichramy się z Czechami, bo my mamy przeróżne pomysły, a oni jakieś śmieszne nápady. Upieramy się jak Francuzi w kwestiach muzycznych: Chopin jest Szopenem i inaczej być nie może. Jesteśmy waleczni w kuchni niczym Włosi – nasze kłótnie o wyższość majonezu X nad majonezem Y przypominają zacietrzewienie tamtych w kwestii jedynych możliwych składników spaghetti carbonary. Bywa, że też jeździmy lewą stroną drogi, z tym że Brytyjczycy robią to na trzeźwo. Różnimy się chyba wyłącznie od Greków – oni są autentyczni, my potrafimy ich tylko udawać. Zwłaszcza nasi politycy.

*Rozmawiał Kornel Wawrzyniak*



eprasa.pl 8076cc18d8

# Dlaczego młodzi Polacy są przeciw?

## To im prezydenturę zawdzięczają Duda i Nawrocki

Rozmawia Robert Walenciak

**DR ADAM KĄDZIELA**
– adiunkt w Katedrze Socjologii Polityki i Marketingu Politycznego Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. Kierownik projektów badawczych dotyczących partycypacji wyborczej młodych Polaków. Autor m.in. publikacji „Polityczny portret młodych Polaków 2023" i „Determinanty partycypacji wyborczej młodych Polaków".

**Czy młodzi się zbuntowali? Ostatnie wybory to jednorazowy wyskok czy zapowiedź pewnej tendencji?**

– Młodzi świadomie głosują przeciwko status quo. Są zbuntowani z natury. Widać to wyraźnie, gdy przeanalizujemy wyniki wyborów wśród najmłodszych wyborców i ich preferencje od 2015 r.

To było też widać w pierwszej turze wyborów prezydenckich.

– I to bardzo wyraźnie. Ponad 55% głosów młodych padło na Sławomira Mentzena i Adriana Zandberga. Można to traktować jako formę buntu, ale ten bunt widzimy każdorazowo w wyborach od dekady. Jeżeli przeanalizujemy te wyniki, to w najmłodszej grupie widzimy pokaz sprzeciwu wobec rządzącej klasy politycznej, ktokolwiek by nią był. Co ciekawe, ten sprzeciw wyraża się nie w politycznej apatii, ale w rosnącej aktywności wyborczej i w poparciu kandydatów antysystemowych. W 2025 r. mieliśmy do czynienia z rekordową frekwencją wyborców w wieku do 29 lat. W pierwszej turze wyniosła 72,8%, a w drugiej była o 3,5 pkt proc. wyższa i osiągnęła 76,3%. Ten silny głos był głosem sprzeciwu, głosem przeciwko establishmentowi.

**Młodzi poparli kandydata bardziej antysystemowego?**

– Tego, który nie wywodził się z obozu rządzącego. Karol Nawrocki był przede wszystkim beneficjentem transferu głosów oddanych w pierwszej turze na Sławomira Mentzena. Aż 88% wyborców Mentzena w drugiej turze zagłosowało właśnie na kandydata PiS. To on był beneficjentem tego sprzeciwu.

### Co frustruje młodych?

**Skąd ten sprzeciw się bierze?**

– Nie ma jednej dominującej motywacji. A jeżeli koniecznie mielibyśmy ją wskazać, byłaby to wspomniana antyestablishmentowość. Żeby opowiedzieć o jej źródłach, musimy się skupić na kilku czynnikach. Z badań, nie tylko ilościowych, ale i tych pogłębionych, o których pisała także w majowym raporcie Fundacja Batorego, wyłaniają się cztery kluczowe aspekty.

Przede wszystkim aspiracje ekonomiczne, czyli frustracja wynikająca z sytuacji ekonomicznej młodego pokolenia, m.in. złej sytuacji mieszkaniowej. Gdy w 2023 r. pytaliśmy



FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 8076cc18d8

młodych o ich aktualną sytuację mieszkaniową, aż 37% deklarowało, że mieszka jeszcze z rodzicami. 20% – że wynajmuje mieszkanie z innymi osobami. A 15% dzieli z innymi osobami pokój. Okazuje się, że 70% mieszka w warunkach, które utrudniają usamodzielnienie się, nie mówiąc o założeniu rodziny. Na to nakładają się wątki związane z inflacją, z rosnącymi kosztami życia. One młodych, którzy dopiero wchodzą na rynek pracy, dotykają w sposób szczególnie bolesny.

Sprzeciw wyraża się nie w politycznej apatii, ale w rosnącej aktywności wyborczej.

Istotną motywacją, by iść na wybory i wyrazić sprzeciw, były również obawy związane z bezpieczeństwem.

**Wojną?**

– Konkretnie chodzi o wojnę za naszą wschodnią granicą. Poczucie zagrożenia militarnego, a także strach przed migracją w ostatnich latach stały się dominującym źródłem obaw młodych o bezpieczeństwo, w tym w wymiarze ekonomicznym.

Pozostałe wątki, które moglibyśmy wskazać, to negatywny obraz życia publicznego, poczucie braku wpływu na politykę. Negatywna ocena życia politycznego, brak poczucia wpływu na rzeczywistość i niski poziom debaty publicznej stale się pojawiają, kiedy młodzi są pytani o ocenę otaczającej ich rzeczywistości politycznej.

Ważnym komponentem, który wzmacnia antyestablishmentowe postawy i frustrację młodych, są media społecznościowe. To one zdominowały sposób, w jaki młodzi czerpią informacje o polityce. Szczególnie krótkie formy wideo mają ogromne znaczenie: są proste, wyraziste, bardzo emocjonalne. Idealne warunki, by uderzyć w proste instynkty i dać paliwo antyestablishmentowej narracji.

**Czyli iść na wybory i zrobić na złość!**

– Może nie na złość, ale być przeciw głównemu nurtowi. To pokoleniowy bunt, sprzeciw. Spójrzmy na wybory w 2015 r. – wtedy młodzi poparli Pawła Kukiza, ponad 40% oddało na niego głos. Nie jest więc dla mnie zaskoczeniem, że w maju w pierwszej turze wyborów ponad 36% najmłodszych poparło Sławomira Mentzena, bo ten sprzeciw jest elementem tożsamości kolejnych grup młodych Polaków. W 2019 r. ten elektorat był kluczowy dla Konfederacji. Gdyby nie młodzi, Konfederacji nie byłoby w Sejmie. W 2023 r. z kolei masowo wsparli ówczesną opozycję. Dzięki tym wyborcom udało się utworzyć obecną koalicję. No i w 2025 r. ponownie skierowali się w stronę kandydatów spoza głównego nurtu. A w drugiej turze Karol Nawrocki, jakkolwiek by patrzeć, bardziej niż Rafał Trzaskowski był kandydatem spoza obozu władzy. Widać, że jest stały wzorzec.

## Nie tacy progresywni

**Młodzi są w miarę dobrze wykształceni, otwarci na świat, na Europę, co więc ich kieruje w stronę partii tradycjonalistycznych?**

– Badania, które realizowaliśmy kilka miesięcy przed wyborami w 2023 r., pokazały, że w części kwestii światopoglądowych czy dotyczących usług publicznych młodzi nie są tak progresywni, jak postrzegają ich inne grupy społeczne. W części postulatów, np. dotyczących prawa aborcyjnego, byli bardziej wstrzemięźliwi niż pozostałe grupy wyborców.

Interesujący jest też wymiar płci w kontekście preferencji wyborczych. Bazując nawet na samych wynikach wyborów, widzimy, że pewną trudnością byłoby dokonanie podziału na młodych mężczyzn, którzy są bardziej prawicowi, oraz kobiety – bardziej lewicowe. Na Sławomira Mentzena oddał głos prawie co drugi mężczyzna w wieku 18-29 lat. Ale też, i to może być dla części osób zaskakujące, zagłosowała na niego co piąta młoda kobieta. Idźmy dalej – na Grzegorza Brauna oddało głos 4% kobiet w wieku 18-29 lat, na Karola Nawrockiego – 12%. Razem tylko na tych trzech konserwatywnych kandydatów zagłosowało 37% młodych kobiet. Teza o progresywności młodego pokolenia jest zatem na wyrost, a rzeczywistość okazuje się dużo bardziej złożona.

**A dlaczego na lewicy nie ma takiego, który by przyciągnął?**

– Jest Adrian Zandberg. Może nie osiągnął spektakularnego wyniku, jeśli chodzi o ogół społeczeństwa, ale chyba niewielu się spodziewało, że zajmie drugie miejsce wśród młodych. Zdobył prawie 20% głosów, co jest bardzo dobrym wynikiem, patrząc na to, że w pierwszej turze Rafał Trzaskowski miał 13%, a Karol Nawrocki 11%. No i wśród młodych kobiet – zagłosowała na niego co czwarta! Gdybyśmy więc chcieli upraszczać ten powyborczy obraz, mamy proste dane – 50% młodych mężczyzn głosowało na Mentzena, 25% kobiet na Zandberga.

## Czego chcą od państwa?

**Młodzi chcą mieszkań i dobrego wprowadzenia na rynek pracy, czyli de facto większej interwencji państwa. Tymczasem Konfederacja jest antyetatystyczna, wręcz libertariańska w niektórych swoich odłamach. Poparcie młodych dla Mentzena jest przecież nielogiczne!**

67% młodych uważa, że państwo powinno budować mieszkania dla nich, zarazem 91% poparło niskie podatki.

– Tu mamy do czynienia z pewnym paradoksem. W 2023 r., gdy badaliśmy młodych wyborców, pytaliśmy też o poszczególne obszary dotyczące usług publicznych i transferów socjalnych. W odpowiedziach było widać sprzeczność. Z jednej strony, młodzi postrzegają państwo jako nieefektywne i mówią, że muszą wziąć los we własne ręce. Z drugiej,



eprasa.pl 8076cc18d8

67% uważa, że państwo powinno budować mieszkania dla młodych. 60% popiera finansowanie in vitro i antykoncepcji z budżetu oraz mocniejszą walkę państwa z inflacją. 75% sprzeciwiało się likwidacji programu 500+, a jednocześnie 91% poparło niskie podatki.

Większość młodych nie miała nic przeciwko finansowaniu z budżetu państwa in vitro czy rozdziałowi państwa od Kościoła.

**Dlaczego tak jest?**

– Bo grupa najmłodszych wyborców jak każda inna grupa społeczna jest różnorodna, czasem wewnętrznie sprzeczna. Tu się kłócą co najmniej dwie natury. Pewien etatyzm w sferze faktycznych działań i chęć, by państwo zapewniało usługi publiczne na wysokim poziomie, a z drugiej strony oczekiwanie, że państwo ograniczy swoje funkcjonowanie do niezbędnych obszarów i że podatki będą niskie.

**Ale z tego się wyrasta, prawda? Z takiego dualizmu.**

– Z dualizmu czy z radykalizmu? Jeżeli spojrzymy na preferencje wyborcze, to z wiekiem radykalizm istotnie się zmniejsza. Faktycznie dysproporcje w preferencjach wyborczych, różnice w poparciu pomiędzy poszczególnymi kandydatami są największe w grupie najmłodszych głosujących. To najbardziej różnorodny i labilny elektorat, ale i ten, który może przechylić szalę zwycięstwa na jedną stronę.

**No i przechylił! 218 tys. głosów różnicy było w elektoracie 18-29 lat na korzyść Nawrockiego. Była chęć dania prztyczka w nos rządzącym?**

– Na Sławomira Mentzena zagłosowała większość młodych; jeżeli rozszerzymy to na elektorat z grupy 30-39 lat, w którym też Mentzen wygrał, widzimy na liczbach bezwzględnych, że była to baza, która dała zwycięstwo Karolowi Nawrockiemu. Ale mamy paradoks, gdyż liczebność tego elektoratu maleje.

**To dziś ok. 4,5 mln wyborców.**

– Dwukrotnie mniej niż seniorów powyżej 65. roku życia. A mimo to dzięki mobilizacji, dzięki swojej wyrazistości młodzi kolejny raz udowodnili, że mają kluczowy wpływ na kształtowanie sceny politycznej i nie wolno ich ignorować.

Przypomnę, że w 2015 r. w drugiej turze wyborów prezydenckich aż 60% młodych udzieliło poparcia Andrzejowi Dudzie. Gdyby nie to poparcie, Andrzej Duda nie byłby prezydentem. Dzięki młodym wygrał wybory i utorował drogę do zwycięstwa Prawa i Sprawiedliwości w wyborach parlamentarnych. Teraz dzięki młodym wygrał Karol Nawrocki.

## Trochę lewicy, trochę prawicy i mocno przeciw

**Czego oni w takim razie oczekują? Mają zdefiniowane wymagania czy po prostu to dosyć labilny elektorat?**

– Jeśli źródłem frustracji jest stopa życiowa i ekonomiczna, to i aspiracje dotyczą podobnych spraw. Kwestii mieszkaniowej, samodzielności ekonomicznej. W ostatnich badaniach wybrzmiewają bardzo silnie aspiracje związane z bezpieczeństwem. I o ile w 2023 r. oczekiwano efektywnej pomocy dla uchodźców z Ukrainy, wyrażając solidarność z nimi, o tyle w 2025 r. młodzi wskazywali coraz częściej, że Ukraińcy zabierają im miejsca na rynku pracy, co oddziałuje na ich sytuację ekonomiczną.

**Badaliście, jakiej Polski by sobie życzyli?**

– To mieszanka różnych oczekiwań. Z jednej strony, mamy postawy silnie etatystyczne, jeśli chodzi np. o usługi związane z edukacją, zdrowiem i bezpieczeństwem oraz konserwatywne w części kwestii światopoglądowych. Z drugiej, ujawniają się też postawy liberalne, chociażby w obszarze podatków czy stylu życia. Większość młodych nie miała nic przeciwko finansowaniu z budżetu państwa in vitro czy rozdziałowi państwa od Kościoła. To znaczy, są postulaty, w których młodzi wyrażają po prostu większą progresywność, a są takie, w których okazują się bardziej konserwatywni. Dlatego etykietowanie i próba umieszczenia ich tam, gdzie sami siebie nie widzą, na osi lewica-prawica, są pozbawione sensu.

**Czyli głosowali na Mentzena nie dlatego, że podobało im się to, co Mentzen mówi, tylko po prostu oddali głos na głównego antyestablishmentowca.**

– Są dowody na potwierdzenie tej tezy. Jeśli przeanalizujemy programy wyborcze poszczególnych ugrupowań, zauważymy paradoks, który polega na tym, że liczba postulatów kierowanych do młodych Polek i Polaków nie ma żadnego znaczenia i nie wpływa na ich preferencje. Paweł Kukiz w 2015 r., a potem w 2019 r. Konfederacja nie mieli w programach wydzielonej części adresowanej do młodego pokolenia. Obiecywali walkę z systemem i swoim emocjonalnym przekazem bardziej trafiali do tego pokolenia niż ugrupowania głównego nurtu.

50% młodych mężczyzn głosowało na Mentzena, 25% kobiet na Zandberga.

**Partie wpisywały sobie różne postulaty i mało kto zwracał na to uwagę.**

– Skuteczność, jeśli chodzi o dotarcie do młodych, jest w większym stopniu wypadkową przemyślanej strategii komunikacyjnej i przekazu emocjonalnego niż, powiedzmy, efektem racjonalnego przekazu związanego z programem wyborczym.

**Bo młodzi pewnie tych zapisów nie zauważyli. A jeżeli nawet, to nie uwierzyli. Skąd to pokolenie czerpie wiedzę o świecie? Od kolegów? Z mediów społecznościowych?**

– Patrząc na dane, głównymi źródłami informacji o polityce są dziś media społecznościowe. W 2023 r. były to Facebook i Twitter. W 2025 r. coraz więcej tego przekazu



eprasa.pl 8076cc18d8

jest kształtowane na platformie TikTok.

## Pokolenie TikToka

**To się zmienia?**

– W 2023 r. jedna trzecia młodych Polaków jako główne źródło informacji wskazywała media społecznościowe. Internetowe serwisy informacyjne, czyli portale informacyjne – to było niespełna 30%. Ponad 60% to był internet. Na trzecim miejscu było grono najbliższych: rodzina i znajomi. Co piąty młody Polak deklarował, że stąd czerpie informacje. Natomiast w raporcie Fundacji Batorego z maja tego roku widać już, że dla młodych głównym źródłem informacji o polityce jest TikTok. Aż 43,7% deklarowało, że to ta platforma, z której czerpali informacje o kampanii wyborczej.

**Te krótkie filmiki, które w zasadzie odwołują się do emocji i do niczego innego.**

– Na tyle, na ile percepcja młodych jest w stanie skonsumować informacje w ciągu, powiedzmy, 10-30 sekund. Raczej nie ma miejsca na racjonalny, pogłębiony przekaz, wypełniony danymi. Zresztą cała logika social mediów, metodologia tworzenia kontentu jest oparta na przekazie emocjonalnym, a nie racjonalnym. Jeśli mają się pojawić dane, to jedna szokująca, najlepiej na początku, która przyciągnie widza na dłużej niż te 5 sekund. Proces scrollowania informacji i tiktokizacji polskiej polityki jest czymś, z czym już mamy do czynienia. Kto był największym beneficjentem tego procesu? Dwa dni przed wyborami królował na TikToku Sławomir Mentzen, który miał 1,6 mln obserwujących. To aż dziesięciokrotnie więcej niż liczba obserwujących Trzaskowskiego i Nawrockiego. Tych dwóch kandydatów obserwowało po 136 tys. użytkowników.

**Co będzie dalej? Czy ten młody elektorat, ten czteroipółmilionowy, będzie nadal antyestablishmentowy, czy jakoś się to rozłoży?**

– Myślę, że musimy się pogodzić z tym, że antyestablishmentowość jest stałą cechą młodych wyborców. Bazując na danych z ostatniej dekady, widzimy powtarzalność. 2015 r. – Kukiz, 2019 – Konfederacja, 2020 – Trzaskowski jako głos sprzeciwu wobec ówcześnie rządzących. Rok 2023 – anty-PiS, a w 2025 r. mamy dominację Mentzena i Zandberga w tym elektoracie i kluczowe znaczenie tej dominacji dla rozstrzygnięcia w drugiej turze.

> Gdyby nie młodzi, Konfederacji nie byłoby w Sejmie.

To raczej pokoleniowy wyróżnik. Młodzi – przynajmniej istotna ich część – zawsze będą szukali takiej opcji, która wypowiada posłuszeństwo systemowi i w pewnym stopniu zagospodarowuje ich frustrację.

*Robert Walenciak*
**r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl**

eprasa.pl 8076cc18d8

# Zbigniew Derdziuk **tajemniczy prezes ZUS**

## KOMPETENCJE NIEJASNE, ZADANIA ROZMYTE, POZYCJA NIEPODWAŻALNA

Robert Jaruga

### Big Brother

ZUS to instytucja nieprzejrzysta. Nad wszystkim wisi fasadowa rada nadzorcza, ciało bez realnych kompetencji i wpływu[1]. Sam ZUS dysponuje uprawnieniami quasi-śledczymi, sądowymi i egzekucyjnymi. Co to znaczy w praktyce? Na przykład to, że pozew przeciwko ZUS trzeba złożyć… za jego pośrednictwem[2]. Jakby ofiara policyjnej przemocy musiała się skarżyć poprzez swojego oprawcę.

ZUS to także cichy terrorysta. Jedno naciśnięcie klawisza i człowiek albo część jego historii znika z systemu. Pozostaje się bez środków do życia, bez informacji i możliwości obrony[3]. O prawdziwym obliczu ZUS mówi się szeptem. Publiczna krytyka? Zawsze wiąże się z ryzykiem.

### Cyfrowa fikcja

Kto to stworzył? Kto za to odpowiada? Odpowiedzialność się rozmywa, ale jedno nazwisko pozostaje centralne: Zbigniew Derdziuk, obecny prezes ZUS.

System obowiązkowych ubezpieczeń nie powstał z dnia na dzień. Kształtował się latami, a Derdziuk w ostatnich latach był jednym z jego architektów. Już za swojej pierwszej kadencji (2009-2015) wdrażał fundamenty obecnego „nowoczesnego ZUS": e-ZLA, PUE, automatyzację wypłat. Na papierze wyglądało to jak postęp, w praktyce – cyfrowa wersja kafkowskiego koszmaru: formularze, których nie da się wysłać, decyzje korygowane po trzech latach, algorytmy bez empatii i sprawności (bo system ZUS nie potrafi liczyć).

W 1985 r. ZUS zatrudniał 15 tys. urzędników i obsługiwał 15 mln osób. Dziś zatrudnia ok. 45 tys. i obsługuje… tyle samo. Różnica? Miliardy złotych wydane na informatyzację, która miała „pomóc".

Derdziuk wcześniej brał udział w reformie emerytalnej w 1999 r., która rozmontowała system repartycyjny i wprowadziła fikcyjny kapitał. Skutki były tak poważne, że jako prezes musiał je potem rozbrajać jak miny. Teraz, po dziewięciu latach, wrócił na stanowisko. I choć podkreśla, że nie odpowiada za obecny stan ZUS, prawda jest inna: to on ten system współtworzył, wdrażał i utrwalał. ZUS nie da się zepsuć w rok. Ale jeśli ktoś miałby psuć go konsekwentnie przez ćwierć wieku, Derdziuk był przy tym niemal zawsze.

### Kim jest Zbigniew Derdziuk?

Oficjalna narracja brzmi jak z folderu promocyjnego: wulkan energii, człowiek orkiestra, niezatapialny technokrata, który odnajduje się w każdej politycznej konfiguracji: od AWS i Balcerowicza,

Prezes Zbigniew Derdziuk na obchodach jubileuszu 90-lecia ZUS. Warszawa, 24 października 2024 r.



eprasa.pl 8076cc18d8

przez PiS i PO, po mBank i… rekomendację Lewicy. Nie „człowiek bez właściwości", lecz człowiek wszystkich właściwości, pasujących do każdej epoki. Można by nim obsadzić całą Radę Ministrów i jeszcze starczyłoby na kilku wojewodów.

Nie kojarzycie? To zrozumiałe. W przestrzeni publicznej tak naprawdę istnieje tylko jeden artykuł o Zbigniewie Derdziuku – na Wikipedii. I to ten tekst media powielają od lat. Refren? „Bezpartyjny fachowiec". Brzmi ładnie i niczego nie wyjaśnia. Problem w tym, że przez trzy dekady Derdziuk pobierał wynagrodzenie u co najmniej 30 pracodawców, nie dorywczo, lecz na stanowiskach kierowniczych, nadzorczych i zarządczych. Żeby nie być gołosłownym…

## Człowiek renesansu administracji

Kariera Zbigniewa Derdziuka to gotycka Księga rekordów Guinnessa. Zaczynał jako dyrektor w TVP i TV Puls, potem był konsultantem międzynarodowym, członkiem rady nadzorczej OBOP, sekretarzem stanu, szefem Kancelarii Premiera, ministrem w rządzie Tuska, sekretarzem miasta Warszawy, dwukrotnym prezesem ZUS (2009-2015 i od 2024), a także doradcą zarządu mBanku.

W sektorze finansowym pełnił funkcje w PKO BP, PBI i Banku Pocztowym. Zasiadał w radach nadzorczych BGK, Totalizatora Sportowego, Amiki, PZU, Postdaty, Scanmedu, Winuela i Metra Warszawskiego. Od 2020 r. kierował Roma Office Center, spółką archidiecezji warszawskiej.

Na arenie międzynarodowej przewodniczył komisjom ISSA (International Social Security Association – Międzynarodowe Stowarzyszenie Zabezpieczenia Społecznego) i współpracował z Polskim Stowarzyszeniem Ubezpieczenia Społecznego. Udzielał się w projektach doradczych przy prezydencie Kaczyńskim, Polskiej Agencji Informacyjnej i w strukturach spółek skarbu państwa.

Łącznie ponad 30 funkcji, wiele pełnionych równolegle. W latach 2009-2013 zajmował co najmniej pięć stanowisk jednocześnie w instytucjach wymagających „pełnego zaangażowania". I nikt nigdy nie zapytał: jak to możliwe? Czy Derdziuk ma zdolność bilokacji? Czy jego doba ma 60 godzin? A może to pierwszy odnotowany w III RP urzędniczy nadczłowiek, stachanowiec XXI w., kosmiczny technokrata, tytan synchronizacji? Jeśli coś pominęliśmy, przepraszamy. Panie prezesie, prosimy o sprostowanie. Chętnie dopiszemy resztę.

## Życiorys pisany niewidzialnym atramentem

Ale pojawia się pytanie bardziej przyziemne: co Zbigniew Derdziuk robił we wszystkich tych instytucjach? Bo kiedy zaczyna się szukać, nie ma nic. Ani książki, ani raportu sygnowanego nazwiskiem, żadnej autorskiej koncepcji, reformy czy publicznej diagnozy systemu. Nawet w ZUS trudno znaleźć dokument jego autorstwa. A jeśli coś się znajdzie, to sprzed lat. Ostatnie oświadczenie majątkowe? Z 2007 r.

Derdziuk to typ urzędniczego ducha: wiecznie obecny, lecz nieuchwytny. Jego funkcje brzmią jak tytuły z biurokratycznej gry RPG: zastępca kogoś, członek czegoś, sekretarz czegoś jeszcze. Zawsze w cieniu, zawsze „gdzieś", nigdy nie wiadomo, z kim, po co ani na jakiej podstawie. Kompetencje niejasne. Zadania rozmyte. Pozycja niepodważalna. Bo może robi wszystko? A może nic, tylko na takim poziomie, że aż boli.

Życie prywatne? Znikome ślady. Niemiecka Wikipedia podaje jedyne zdanie: „Zbigniew Derdziuk ist verheiratet und hat zwei Söhne". Żonaty, dwóch synów. Kropka. My dotarliśmy do innej wersji: dzieci było czworo, a żona też pracowała. Czyli nie tylko multietat, ale i multitata. Zarządzał równolegle ZUS, strukturami państwa i domem z czwórką dzieci.

## Czy Zbigniew Derdziuk istnieje?

Mówimy o człowieku, który zarządza środkami do życia milionów i stoi na czele drugiej po NBP największej instytucji finansowej w Polsce. Od jego podpisu zależą emerytury, renty, zasiłki. Czy nie powinniśmy oczekiwać choćby minimalnej przejrzystości? Tymczasem wymagane prawem oświadczenie majątkowe prezesa ZUS pozostaje niewidzialne. Nie ma go w BIP ani w dokumentach ZUS. Może istnieje w ministerstwie? A może, jak Bóg u Anzelma, tylko potencjalnie.

Derdziuk jest jak szkło pancerne: przezroczysty, ale nie do ruszenia. Państwo prawa? Raczej zasłona niż zasada. Coś tu się nie klei. Fakty się rozłażą, logika siada, rachunek czasu i przestrzeni przestaje działać. A skoro, jak mówił Einstein, wyobraźnia jest ważniejsza niż wiedza, to wyobraźmy sobie różne scenariusze. Może Zbigniew Derdziuk to nie jedna osoba, tylko kolektyw, klon, zbiorowość. Może to urzędowy awatar sił nadprzyrodzonych. A może ktoś, kto odbiera i wysyła mejle w imieniu ciała wyższego rzędu. Śmiech? Niedowierzanie? A jednak wszystko się zgadza.

## Prezes, kapucyn i egzorcysta

Z naszych ustaleń wynika, że Derdziuków jest co najmniej dwóch, a łącznie było czterech – jeden zmarł w 2020 r. Derdziuk numer 2 to brat bliźniak prezesa – oficjalnie znany jako o. dr hab. Andrzej Derdziuk OFMCap, profesor KUL, zakonnik, kapucyn, członek PAN, specjalista ▸

**W 1985 r. ZUS zatrudniał 15 tys. urzędników i obsługiwał 15 mln osób. Dziś zatrudnia ok. 45 tys. i obsługuje… tyle samo.**

**Przez trzy dekady Derdziuk pobierał wynagrodzenie u co najmniej 30 pracodawców, na stanowiskach kierowniczych, nadzorczych i zarządczych.**

FOT. DAWID WOLSKI/EAST NEWS



eprasa.pl 8076cc18d8

od cnoty ubóstwa oraz przypisów bibliograficznych. W przeciwieństwie do brata urzędnika publikuje, choć głównie rzeczy teologiczne: „Aretologia konsekrowana", „Szata świadectwa", „W odpowiedzi na dar Miłości". Teksty, które kończą się watykańską bibliografią i moralną konkluzją. Ponieważ nie jest przeciążony obowiązkami akademickimi, możliwe, że czasem podszywa się pod brata. To tłumaczyłoby, jakim cudem Derdziuk widywany był jednocześnie w ZUS, w Genewie i na KUL.

Ale jest też Derdziuk numer 3 – ks. dr Eugeniusz Derdziuk, kapelan Jego Świątobliwości, duszpasterz Wspólnoty Apostolstwa Dzieła Pomocy dla Czyśćca oraz… egzorcysta. Tak, wypędza diabła. Znajdziemy go na YouTubie, relacjonuje starcia z Szatanem niczym komentator Ligi Mistrzów.

## Trójca święta ZUS: Derdziuk, Derdziuk i Derdziuk

Tu robi się naprawdę ciekawie. Skoro Derdziuk numer 3 ma kontakt z zaświatami, a numer 2 wykłada moralność zakonną, możliwe, że przekazują Derdziukowi numer 1 (temu z ZUS) tajemną wiedzę – mejlem albo przez jakiś protokół teologiczno-służbowy.

Wszystko wskazuje na to, że działalność Zbigniewa Derdziuka i jego bliskich ma charakter ściśle powiązany i skoordynowany – zarówno w sferze zawodowej, jak i instytucjonalnej. Trzech braci pełniło lub pełni funkcje w strukturach kościelnych i publicznych, co może sugerować istnienie rodzinnej sieci wpływów, funkcjonującej równolegle do formalnych procedur państwowych.

W tej sytuacji warto zadać pytanie: czy Zbigniew Derdziuk to tylko jednostka personalna, czy raczej reprezentant większej struktury – rodzinno-instytucjonalnej, działającej na styku administracji, Kościoła i systemu ubezpieczeń społecznych? Taka perspektywa pozwala lepiej zrozumieć jego trwałą obecność w życiu publicznym i wysoką efektywność operacyjną, często przekraczającą możliwości pojedynczego urzędnika.

ZUS co roku generuje ponad 4 tys. skarg obywatelskich, dotyczących m.in. przewlekłości postępowań.

## Software od Boga, hardware od Derdziuka

Jest też inna hipoteza. Może nie chodzi o czterech Derdziuków, ale o to, że za jednym nazwiskiem stoi cała organizacja. Sieć. Duchowy mainframe. Bo Zbigniew Derdziuk to absolwent Universidad de Navarra w Barcelonie, uczelni założonej przez Opus Dei, wpływową strukturę działającą na styku Kościoła, bankowości i władzy personalnej, podporządkowaną bezpośrednio papieżowi. Już podczas poprzedniej kadencji w ZUS Derdziuk wysłał na tę samą uczelnię kilku zaufanych pracowników. Oficjalnie dla rozwoju kompetencji. Nieoficjalnie jako wstęp do technokratyczno-teologicznego rdzenia państwa.

Nie da się wykazać, że Derdziuk należy do Opus Dei. Ani że nie należy. Tak jak nie da się sprawdzić, czy należeli do niej Błaszczak, Marcinkiewicz albo Walendziak (podobno tak). Bo lista członków jest niejawna. To nie jest klub sportowy – wszyscy są, a jakby ich nie było. Ale zaryzykujmy. Derdziuk, dziecko Boże i prezes ZUS, to funkcjonariusz Dzieła Bożego. Jego siła nie płynie z rady nadzorczej ani z Kancelarii Premiera. Płynie z Watykanu. To stamtąd przyszło natchnienie do cyfryzacji ubezpieczeń społecznych. I stamtąd, przez rodzinne koneksje, aktualizowany jest jego mózg jak system operacyjny.

A naturalny umysł Derdziuka? Sądząc po jego wypowiedziach w mediach: „ZUS nie zbankrutuje", „AI pomoże", „Składki to podstawa", brzmi jak program WOS dla elektryków.

## Agentura, klony czy bałagan?

Czy to problem, że ZUS kieruje grupa katolicka podporządkowana Watykanowi? Albo w wersji alternatywnej konsorcjum złożone z kilku zsynchronizowanych Derdziuków? Tak. Zdecydowanie tak. Mistykę w administracji można by jeszcze zignorować, ale lista błędów, wypaczeń i zaniechań firmowanych przez prezesa Derdziuka (czasem bez podpisu, ale zawsze z konsekwencjami) jest konkretna i długa. O tym jednak przy innej okazji. Nie możemy powiedzieć wszystkiego naraz. Pan Derdziuk mógłby tego nie przeczytać. Albo, co bardziej prawdopodobne, przeczytałby równocześnie w trzech egzemplarzach.

*Robert Jaruga*

PRZYPISY

1. Rada Nadzorcza ZUS to 10-osobowy organ mający reprezentować rząd, pracodawców i związki zawodowe. W praktyce instytucjonalna fikcja, powoływana przez premiera, bez realnych kompetencji. Nie może powołać ani odwołać prezesa, nie ma wpływu na strategię, decyzje ani wewnętrzne zarządzenia. Jej opinie są doradcze, czyli ignorowane, a posiedzenia niejawne.
2. Odwołanie od decyzji ZUS trzeba złożyć przez ten oddział, który ją wydał. Podstawa prawna: art. 477 par. 2 kpc i art. 83 Ustawy o systemie ubezpieczeń społecznych.
3. Z danych Rzecznika Praw Obywatelskich z lat 2020-2024 wynika, że ZUS co roku generuje ponad 4 tys. skarg, dotyczących m.in. przewlekłości postępowań, absurdalnych uzasadnień odmów oraz konsekwentnego ignorowania zaleceń RPO. Sam rzecznik mówi już nie o przypadkach, lecz o systemowej oporności instytucji. Według danych sądów co roku toczy się 120-160 tys. spraw z zakresu ubezpieczeń społecznych, z czego niemal 100 tys. kończy się wyrokiem. Większość tych spraw to spory z ZUS. Przy ok. 45 tys. pracowników ZUS łatwo policzyć, że statystycznie każdy urzędnik tej instytucji wydaje rocznie trzy-cztery decyzje, które kończą się w sądzie. A przecież mówimy tylko o sprawach, które obywatelom udało się zaskarżyć. Przeciętny pracownik ZUS ma co najmniej kilka sądowych „dzieci" rocznie, a dodatkowo całą gromadkę „niewidzialnych" decyzji – błędnych, ale skutecznych, bo nikt się nie odwołał. Wszystko w ramach instytucji, która ma służyć obywatelowi.



eprasa.pl 8076cc18d8

# Proszę państwa, oto „Miś”

## W KO jest skreślony. W PSL patrzą na niego podejrzliwie. Czy Michał Kamiński będzie budował partię prezydencką?

Andrzej Sikorski

Kamiński nie tylko szuka nowego miejsca na scenie politycznej, on zamierza ją przemeblować.

Jeszcze kilka miesięcy temu takie spekulacje można by uznać za political fiction. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że wybory prezydenckie wygra Rafał Trzaskowski, a polityka ugrzęźnie w bagnie nudy. Ale decyzją suwerena najważniejszy urząd w państwie objął wyciągnięty z kapelusza człowiek o szemranej przeszłości. Coraz bardziej niedomagający Jarosław Kaczyński nie może jednak spać spokojnie. Karol Nawrocki w przeciwieństwie do Andrzeja Dudy nie zamierza być tylko notariuszem, ma o wiele większe ambicje. I nie chodzi o objęcie schedy po prezesie PiS. Prezydent chce zawalczyć o przywództwo polskiej prawicy. „Próby zwerbowania różnych posłów z Konfederacji i PiS do nowego projektu »Tylko Polska« (K. Nawrocki) prowadzi senator Koalicji 15X. Jakże dziwna jest ta polska polityka”, napisał na platformie X Roman Giertych. Jak można się domyślić, niewymienionym z nazwiska senatorem jest Michał Kamiński.

### „Misiek” wchodzi do gry

Wedle kuluarowych plotek wicemarszałek Senatu, który mandat zdobył dzięki Paktowi Senackiemu (reprezentując PSL), nie tylko szuka dla siebie nowego miejsca na scenie politycznej, ale wręcz zamierza tę scenę gruntownie przemeblować. A budowa partii prezydenckiej byłaby nie lada wyzwaniem. Jak wiemy, obrotowy senator, zwany przez kolegów „Misiem” lub „Miśkiem”, brał udział w nocnym tajnym spotkaniu z Jarosławem Kaczyńskim, Szymonem Hołownią i dawnym przyjacielem Adamem Bielanem. Schadzka wywołała polityczną burzę, a politycy partii demokratycznych zostali oskarżeni o spiskowanie przeciwko Donaldowi Tuskowi.

Dodajmy do tego tajemniczą wyprawę do USA, która przypadkiem (?) zbiegła się z pobytem w Waszyngtonie Adama Bielana (europoseł PiS przygotowywał wizytę Karola Nawrockiego w Białym Domu). Pytany przez dziennikarzy, co robił i z kim w USA się spotykał, Kamiński odparł arogancko, że „były to jego spotkania polityczne i nie musi o nich mówić”. Ale dodał, że nie widział się z Bielanem. Sojuszników zaś przekonywał do „zostawienia amerykańskich żołnierzy w Polsce”. Czyli „Misiek” musiał prowadzić rozmowy ze współpracownikami Donalda Trumpa. Nie reprezentował jednak w USA polskiego rządu. A więc kogo?

Wydaje się nieprawdopodobne, żeby wicemarszałek Senatu pojechał załatwiać sprawy wagi państwowej bez osłony kontrwywiadowczej i wsparcia polskiej ambasady. MSZ poinformowało mnie, że „nie ma wiedzy o wizycie” Kamińskiego w USA. Z kolei MON, na czele którego stoi prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, a rzecznikiem jest Janusz Sejmej, wpływowy działacz Stronnictwa, w sprawie eskapady Kamińskiego odesłało mnie do biura prasowego… PSL.

Te wszystkie dziwne i tajemnicze zabiegi „Miśka”, plotki i domysły krążące na jego temat nie powinny nikogo dziwić. Polityk ten ma tak barwną przeszłość, tak często zmieniał partyjne szyldy, przesuwając się od ekstremistycznej prawicy do centrum, że jest wielce prawdopodobne, iż wkrótce stanie się akuszerem skupiającej nacjonalistów, rasistów i homofobów partii Karola Nawrockiego. I jeśli nadarzy się okazja, przyłoży rękę do obalenia rządu Donalda Tuska. A jak wiemy, ludowcy sondowali wśród swoich działaczy, czy partia powinna utworzyć rząd z PiS i Konfederacją.

Według moich informacji Kamiński knuje przeciwko Tuskowi od kilku dobrych miesięcy, spotykając się potajemnie m.in. z politykami PiS, w tym z Adamem Bielanem. Spiskowanie



eprasa.pl 8076cc18d8

zaś sprawia, że popada się w paranoję. W kwietniu br. „Misiek" oskarżył marszałkinię Małgorzatę Kidawę-Błońską o inwigilację w „ubecki sposób". „Mój senacki kierowca został poproszony, żeby na mnie donosić, ale odmówił. Powiedział, że nie będzie informował o moich chorobach, moim życiu rodzinnym, dokąd jeżdżę, z kim się spotykam", oświadczył zdenerwowany. Okazało się jednak, że nikt go nie chciał szpiegować. Kierownik działu transportu Senatu jedynie poprosił podległych sobie kierowców, aby informowali go o nieobecnościach wicemarszałków, by „usprawnić organizację i efektywne zarządzanie czasem pracy kierowców".

Jarosław Kaczyński, Michał Kamiński i Adam Bielan po ogłoszeniu wyników wyborów parlamentarnych w 2005 r.

## Polska dla Polaków

Choć „Misiek" ma 53 lata, można go nazwać politycznym starym wyjadaczem. Nie był jeszcze pełnoletni, gdy związał się z faszyzującym Narodowym Odrodzeniem Polski, którego trzon stanowili skinheadzi. Jesienią 1989 r. NOP przystąpiło do tworzącego się Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, a Kamiński został najmłodszym członkiem założycielem nowej partii prawicowej. Jednak działacze NOP (ok. 300 osób) szybko opuścili szeregi ZChN. „W ZChN zostało tylko czterech, wśród nich Michał Kamiński. Już wtedy umiał wyczuć, skąd wieje wiatr, potrafił się przyssać do ludzi władzy", mówił przywódca NOP Adam Gmurczyk w rozmowie z „Gazetą Polską" (listopad 2011).

„Misiek" dostał posadę w biurze parlamentarnym ZChN, a po wyborach w 1991 r. został asystentem Wiesława Chrzanowskiego. Wybory parlamentarne w 1993 r. miały być dla Kamińskiego furtką do wielkiej polityki. Mandatu nie zdobył, choć starał się bardzo. Zorganizował antyimigrancką nagonkę na obywateli byłego ZSRR. Na Dworcu Centralnym w Warszawie rozdawał ulotki o treści „Ojczyzna jest dla nas" i „Przybysze ze Wschodu przywożą tyfus, malarię i inne choroby. Ich tania siła robocza wypiera polskich pracowników". Pytany o antychrześcijański stosunek do ludzi zza wschodniej granicy odparł: „Najpierw kocham własną rodzinę, potem własny naród, a dopiero później troszczę się o inne narody".

Po przegranych wyborach został na Wiejskiej jako… korespondent sejmowy gdańskiego Radia Plus. Dziennikarze i politycy wspominają go jako świetnego kompana alkoholowych imprez. A potrafił wypić dużo. Najlepsze relacje z Sejmu „na żywo" nadawał, gdy był na megakacu, z głowy, bez czytania z kartki.

W 1994 r., mając zaledwie 23 lata, Kamiński awansował na rzecznika prasowego ZChN, a rok później był już rzecznikiem komitetu wyborczego Hanny Gronkiewicz-Waltz, kandydatki prawicowych ugrupowań kanapowych w wyborach prezydenckich. To wtedy poznał Adama Bielana, wówczas studenta Szkoły Głównej Handlowej, który pracował w sztabie jako wolontariusz.

„Głosowanie na Hannę Gronkiewicz-Waltz to jedyne wyjście dla elektoratu postsolidarnościowego. Tylko ona ma szansę, by pokonać Kwaśniewskiego, tylko wybór pani prezes NBP zapobiegnie zamknięciu się nad Polską czerwonego trójkąta władzy", apelował Kamiński. Elektorat postsolidarnościowy wolał jednak głosować na Lecha Wałęsę, Jacka Kuronia i Jana Olszewskiego. Gronkiewicz-Waltz zdobyła niecałe 500 tys. głosów, zajmując dopiero siódme miejsce w pierwszej turze wyborów prezydenckich, tuż przed Januszem Korwin-Mikkem.

Wkrótce Kamińskiemu trafił się stołek dyrektora programowego Radia Łomża. Pracę w mediach łączył z działalnością polityczną. W 1997 r. wystartował w wyborach do Sejmu z listy Akcji Wyborczej Solidarność. Zdobył ponad 20 tys. głosów (najwięcej w swoim okręgu), a konkurenci zarzucali mu, że jako dyrektor radia promował AWS i siebie.

## Naśladowca Pinocheta

W Sejmie III kadencji „Misiek" był jednym z najbardziej medialnych polityków. Prasa bulwarowa rozpisywała się o jego romansie z posłanką SLD Sylwią Pusz. Podobno wybrańców narodu przyłapano in flagranti na biurowej lodówce w sejmowym gabinecie. Potem Kamiński na popijawach z prawicowymi kolegami miał się chwalić, że „głęboko zapuszcza się na terytorium wroga", co wywoływało powszechny podziw.



eprasa.pl 8076cc18d8

O młodym polityku prawicy było też głośno z powodu głupich wypowiedzi. „Nikt z AWS nie jest zadowolony z tej koalicji, a mnie osobiście ogarnia wstyd i smutek, kiedy pod telewizyjnym kadrem z Bronisławem Geremkiem widzę podpis: minister spraw zagranicznych", stwierdził Kamiński. Odpowiedział mu prof. Jerzy Kopania, były poseł Unii Wolności: „Prof. Geremek to uczony o światowej renomie i jeden z najwybitniejszych polskich polityków. Może państwo wiecie, bo ja nie wiem, kto to jest pan Kamiński. Chciałbym wypowiedź pana Kamińskiego zostawić bez komentarza, ale jest ona dowodem na to, jak ważne jest, na kogo oddajemy głos i że nie można go marnować".

W 1999 r. Kamiński wspólnie z Markiem Jurkiem, członkiem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, oraz Tomaszem Wołkiem, redaktorem naczelnym dziennika „Życie", udał się do zatrzymanego w Anglii chilijskiego dyktatora, gen. Augusta Pinocheta. Bogobojni dżentelmeni wręczyli zbrodniarzowi pamiątkowy ryngraf z Matką Boską i przekazali wyrazy solidarności w imieniu polskiej prawicy. W Sejmie Kamiński zwrócił się do posłów lewicy: „Moje dzisiejsze oświadczenie chciałem poświęcić gen. Pinochetowi, ale jak na was patrzę, panowie z SLD, to dochodzę do wniosku, że trzeba go naśladować". Po latach przyznał, że „to była głupota" i że „żałuje tego".

Dostało się również osobom homoseksualnym. W 2000 r. mówił: „Jestem tu po to, by przeciwstawić się wstrętnym pederastom". Przed Sejmem wykrzykiwał o osobach nieheteronormatywnych: „Stowarzyszenia pedałów. Tak ludzie o nich mówią. Przecież to są pedały!".

W 2001 r. o „Miśku" znowu było głośno, gdy udał się do Jedwabnego na spotkanie z mieszkańcami. Polityk przywiózł list otwarty, namawiając ludzi, by go podpisywali: „Za szczególnie skandaliczne uznajemy wypowiedzi niektórych dostojników państwowych, którzy przed zakończeniem śledztwa IPN ferują wyroki, w dodatku »przepraszając« za zbrodnię w Jedwabnem w imieniu całego Narodu". List był odpowiedzią na słowa prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, który zapowiedział, że w 60. rocznicę mordu w Jedwabnem – gdzie miejscowi polscy mieszkańcy zabili żydowskich sąsiadów – przeprosi w imieniu Polaków naród żydowski. Wybuchł skandal, a „Misiek" został oskarżony o antysemityzm.

Po latach polityczna przeszłość Kamińskiego wywołała oburzenie w Wielkiej Brytanii. Stało się to po objęciu przez „Miśka" w 2009 r. funkcji szefa europarlamentarnej frakcji Konserwatyści i Reformatorzy. „Eurodeputowani torysów pod przywództwem człowieka z ekstremistyczną przeszłością", pisał dziennik „Daily Telegraph", cytując europosła Edwarda McMillana-Scotta, który wypomniał polskiemu koledze, że należał do Narodowego Odrodzenia Polski, „organizacji homofobicznej, rasistowskiej i antysemickiej". Przypomniano też, że Kamiński nie chciał uczczenia ofiar pogromu w Jedwabnem i deklarował poparcie dla hasła „Polska dla Polaków", „które przywodzi na myśl antysemickie ataki z lat 20. i 30.". Z kolei „Independent" pisał: „Kamiński jest fanem gen. Pinocheta, uważa, że homoseksualnych mężczyzn należy nazywać pedałami, i oskarżał imigranckich pracowników ze Wschodu, że odbierają pracę Polakom".

## Apetyt na alkohol

Zanim jednak „Misiek" trafił po raz pierwszy do europarlamentu (zasiadał przez dwie kadencje), zaliczył kolejne partie: Przymierze Prawicy i PiS. Został okrzyknięty specem od wygrywania wyborów. Wspólnie z Adamem Bielanem poprowadził w 2005 r. zwycięskie kampanie – PiS do parlamentu i prezydencką Lecha Kaczyńskiego. W Kancelarii Prezydenta (2007-2009) był ministrem odpowiedzialnym za politykę medialną. Nie oszczędzał ani premiera Donalda Tuska, ani prezydent Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz, o której mówił teraz „ta pani" i której zarzucał sabotaż, a nawet „uniemożliwianie wykonywania konstytucyjnych obowiązków przez Lecha Kaczyńskiego", bo na Krakowskim Przedmieściu, gdzie znajduje się Pałac Prezydencki, trwał remont. Tymczasem remont zlecił Lech Kaczyński jako prezydent stolicy, ale jego urzędnicy opóźnili prace o dwa lata.

Potem była nieudana kampania prezydencka Jarosława Kaczyńskiego. Kamiński prowadził ją tak, by nie akcentować katastrofy smoleńskiej. Po porażce prezes PiS oskarżył swój sztab o zdradę. Rozgoryczony „Misiek" rozstał się z PiS, a w wyborach do europarlamentu w 2014 r. wystartował z listy PO, co było szokiem dla jego dawnych kolegów partyjnych. „Człowiek, który jest znany właściwie z dwóch rzeczy. Z tego, że ma nieposkromiony apetyt na alkohol, no i jest dobry w piciu i w pluciu na odległość. Wzięli takiego człowieka, który będzie pluł, a w zamian zabezpieczają mu luksus picia na następną kadencję", powiedział poseł Marek Suski.

Kamiński knuje przeciwko Tuskowi już od kilku miesięcy, spotykając się potajemnie z politykami PiS.

„Misiek" nie trafił na europejskie salony polityczne, ale dostał posadę ministerialną w kancelarii premier Ewy Kopacz. Wyszło mu to na dobre, bo dzięki namowom szefowej rządu, która jest lekarzem, zadbał o siebie, przeszedł na zdrową dietę, odstawił alkohol i zrzucił ponad 30 kg. W wyborach w 2015 r. były spin doktor PiS z list Platformy trafił do Sejmu, ale szybko został wyrzucony z partii i klubu parlamentarnego, bo skłócił się z Grzegorzem Schetyną. Jeszcze w kwietniu 2017 r. w rozmowie z „Newsweekiem" Kamiński mówił, że liczy na powrót Tuska do krajowej polityki, zjednoczenie opozycji i wspólną kampanię, dzięki której uda się odsunąć PiS od władzy. „Wreszcie czuję się komfortowo ze swoimi poglądami", stwierdził.

Jakie są te poglądy „Miśka", naprawdę trudno dociec.

*Andrzej Sikorski*

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/ REPORTER, MACIEJ NABRDALIK/ EAST NEWS



eprasa.pl 8076cc18d8

# Miliardy w czarnej dziurze

## Hejtowani górnicy znów jadą do Warszawy

Mateusz Cieślak

Byli w sierpniu, a pod koniec września znowu się wybierają do Warszawy. Mowa rzecz jasna o górnikach. Przez 500 dni mieli gdzie demonstrować w Katowicach, ale już nie mają. Ministerstwo Przemysłu, powołane przez rząd Donalda Tuska 20 lutego 2024 r., zaczęło działalność 1 marca. Urzędowało w monumentalnym gmachu peerelowskiego Ministerstwa Górnictwa, który był siedzibą Kompanii Węglowej, a następnie Polskiej Grupy Górniczej. Tę ostatnią wyrzucono z budynku, by zrobić miejsce dla prof. Marzeny Czarneckiej, koleżanki Borysa Budki (oboje pracują w tej samej katedrze Śląskiego Uniwersytetu Ekonomicznego). Czarnecka została szefową nowego resortu.

Nieznane są jej dokonania, ale też nieznane są powody, dla których to jedyne działające poza Warszawą ministerstwo powstało. Wprawdzie tworząc ten nowy podmiot, rząd informował: „Pomimo swojej lokalizacji resort nie ograniczy się do działalności wyłącznie w regionie. Zajmie się nie tylko sprawami górnictwa i hutnictwa, ale też m.in. gospodarki ropą, gazem i polityką atomową", praktyka jednak okazała się inna. Ministerstwo nie zajmowało się ani górnictwem, ani tymi pozostałymi kwestiami. Aktywność Marzeny Czarneckiej jako jego szefowej ograniczała się do spotkań i do wypowiedzi. Te ostatnie bywały zaś wyjątkowo niefortunne.

### Upadki i wzloty

W kwietniu 2024 r. Czarnecka udzieliła wywiadu, w którym powiedziała, że spółki energetyczne będą łączone z kopalniami. A wiadomo, spółki energetyczne przynoszą krociowe zyski, natomiast kopalnie na odwrót. „Kursy runęły po zapowiedzi pani minister", donosiła telewizja TVN 24. I była to prawda. Spółki energetyczne są notowane na Giełdzie Papierów Wartościowych. Zapowiedź łączenia górnictwa i energetyki spowodowała prawdziwe finansowe trzęsienie ziemi. Akcje PGE spadły o 8,5%, Tauron stracił 5,2%, kurs Enei zapikował o 11%. Głos w tej sprawie musiał zabrać sam premier. Donald Tusk oznajmił, że bardzo ceni profesjonalizm Czarneckiej: „Mam zaufanie do pani minister, jest bardzo kompetentna. (...) Jestem spokojny co do trafności oceny pani minister przemysłu".

Po miesiącu Czarnecka znowu wstrząsnęła giełdą. Na antenie TVP Info stwierdziła, że skarb państwa jest zainteresowany przejęciem aktywów węglowych od spółek energetycznych. Właściciele akcji tych ostatnich wpadli w euforię, inni



eprasa.pl 8076cc18d8

Protest górników i hutników w Warszawie, 28 sierpnia 2025 r.

Aktywność Marzeny Czarneckiej (nz. z Borysem Budką) jako szefowej resortu przemysłu ograniczała się do spotkań i wypowiedzi.

rzucili się kupować aktywa tych samych firm, które w kwietniu zaliczyły potężne spadki. Jak wtedy kurs runął, tak teraz wzbił się: notowania PGE wzrosły o ponad 6%, Tauron zyskał ok. 7,5%, Enea niemal 7%. Jako przyczynę tych wzrostów eksperci ponownie wskazywali wypowiedź pani minister. Ostatecznie ani jedno, ani drugie się nie dokonało.

Dowodem, że powołanie Ministerstwa Przemysłu było niewypałem, jest jego likwidacja już półtora roku po utworzeniu. Ale górnicy nie musieli podróżować do Warszawy, żeby demonstrować. W marcu tego roku pod oknami minister Czarneckiej pojawili się związkowcy z kopalni Bielszowice. Nie mieli daleko, gdyż kopalnia ta znajduje się w Rudzie Śląskiej, mieście graniczącym z Katowicami. Protestowali przeciwko planowi likwidacji kopalni, co miałoby nastąpić w lipcu 2026 r.

Dwa miesiące później do Ministerstwa Przemysłu wkroczył europoseł Grzegorz Braun z, jak powiedział, interwencją poselską. Zadawał pytania dotyczące likwidacji kopalń i umowy społecznej zawierającej gwarancje zatrudnienia dla górników. Ta wizyta trwała zaledwie chwilę. Braun zerwał unijną flagę i podeptał ją. Następnie pojechał pod kopalnię Wujek, gdzie dokonał spalenia flagi pod pomnikiem zastrzelonych górników. A działo się to w tym samym dniu, w którym Parlament Europejski uchylił mu immunitet w związku z zarzutami dotyczącymi użycia gaśnicy proszkowej w Sejmie. Ministerstwo Przemysłu wykazało się rzadką aktywnością, kierując do prokuratury zawiadomienie o popełnieniu przez Brauna przestępstwa.

## Po co te protesty

Teraz górnicy w obronie swoich interesów znów muszą jeździć do Warszawy. Byli 28 sierpnia, a wkrótce, 27 września, pojawią się na kolejnym proteście.

Sierpniowy wyjazd zorganizowali związkowcy z nomen omen Sierpnia 80. Pojechali, by zaprotestować pod biurami: Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz z Polski 2050 oraz Miłosza Motyki z PSL. Pani minister funduszy i polityki regionalnej podpadła stwierdzeniem, że dopłaty do górnictwa sięgają już 9 mld zł rocznie, co oznacza ok. 100 tys. zł na jednego zatrudnionego. Powiedziała też, że w 2024 r. branża zanotowała 11 mld zł straty i że „polskie górnictwo jest trwale nierentowne".

**Prawdą jest, że polskie kopalnie dzisiaj są nierentowne. Nieprawdą, że branża jest nierentowna trwale.**

Z kolei Miłosz Motyka, do niedawna wiceminister klimatu i środowiska, a obecnie minister energii, publicznie stwierdził, że umowa społeczna dla górnictwa powinna zostać zrewidowana. Podkreślał, że „nie ma sensu dopłacać do nierentownych inwestycji" oraz że „polski węgiel jest surowcem drogim", którego utrzymanie w energetyce coraz trudniej uzasadnić ekonomicznie. Te słowa zostały przez górników odebrane jako zapowiedź przyśpieszonego wygaszania kopalń i sygnał, że rząd nie zamierza dalej finansować sektora.

27 września do Warszawy wybierają się działacze Związku Zawodowego Górników w Polsce. Tego dnia ulicami stolicy przejść ma ogólnopolski marsz niezadowolenia organizowany przez OPZZ. ZZG należy do tej organizacji. Z pewnością na protest wybiorą się górnicy kopalni Wesoła. Związkowcy z Wesołej zwrócili się do innych, zapraszając do wspólnego demonstrowania: „Związek Zawodowy Górników w Polsce zaprasza wszystkich pracowników branży przemysłowej oraz osoby wspierające naszą inicjatywę do udziału w manifestacji przeciwko polityce Zielonego Ładu, która zagraża przyszłości polskiego przemysłu. Nie dla Zielonego Ładu. Tak dla przemysłu w Polsce. Razem walczymy o miejsca pracy, bezpieczeństwo energetyczne oraz przyszłość naszych rodzin. Zapisy prowadzone są w biurze ZZG".

Wśród postulatów są podwyżki płac, stabilność zatrudnienia, skrócenie czasu pracy, etaty zamiast umów śmieciowych, mieszkania dla pracowników, emerytury stażowe czy rozwój dialogu społecznego. Jest także postulat dotyczący „sprawiedliwego" Zielonego Ładu. Swoją drogą, duża część tych postulatów przypomina te z listy 21 ogłoszonych przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w sierpniu 1980 r. Wtedy również domagano się podwyżek, skrócenia czasu oczekiwania na mieszkanie,

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER, BEATA ZAWRZEL/REPORTER



eprasa.pl 8076cc18d8

wolnych sobót, poprawy warunków pracy, zmiany zasad wypłaty rent i emerytur.

Górnicy mają szczególne powody, by 27 września jechać na ogólnopolski protest. Wacław Czerkawski, przewodniczący OPZZ w województwie śląskim: „Górnicy są atakowani, gdy reagują protestami na nieodpowiedzialne wypowiedzi rządu. Na hejterów trudno znaleźć skuteczny sposób, bo działają bezkarnie. Dlatego jako odpowiedź planujemy akcję protestacyjną". Branżowy portal górniczy netTG cytował Czerkawskiego: „Problem hejtu wobec górników, szczególnie widoczny w mediach społecznościowych, jest coraz bardziej dotkliwy i, szczerze mówiąc, momentami obrzydliwy. To zjawisko nie bierze się znikąd – jego źródłem są nieodpowiedzialne wypowiedzi polityków, w tym ministrów, którzy podsycają negatywne emocje. Kiedy pani minister twierdzi, że górnicy zarabiają astronomiczne sumy, a inny polityk sugeruje, że umowę społeczną trzeba zmienić i zamknąć górnictwo na rzecz wiatraków, to nie ma się co dziwić, że hejterzy czują się bezkarni i powtarzają te narracje".

## Mają rację i nie

Czy więc ministrowie Motyka i Pełczyńska-Nałęcz nie mówili prawdy, twierdząc, że górnictwo jest nierentowne? I czy ta ostatnia myli się, twierdząc, że jest to zjawisko trwałe? Prawdą jest, że polskie kopalnie dzisiaj są nierentowne. Nieprawdą, że branża jest nierentowna trwale. Należałoby odchudzić kopalnie, inaczej nimi zarządzać, niektóre rzeczywiście zamknąć – bez tego górnictwo jest jak czarna dziura pochłaniająca kolejne miliardy dosypywane przez rząd.

Dowodem na to, że kopalnie mogą być dochodowym biznesem nawet dziś, gdy odchodzimy od energetyki opartej na paliwach kopalnych, jest sytuacja kopalni Siltech w Zabrzu. To kopalnia w 100% prywatna. Działalność zaczęła w 2002 r. Jej właścicielem jest były poseł SLD Jan Chojnacki. Kopalnia powoli kończy wydobycie, lecz nie dlatego, że ten biznes przestał się opłacać, ale dlatego, że złoże się wyczerpuje. A sekret sukcesu tej kopalni był prosty – niskie koszty.

W Sosnowcu działała kopalnia Kazimierz-Juliusz, którą nagle postanowiono zamknąć. Górnicy nie pozwolili. Zjechali na dół i rozpoczęli strajk okupacyjny. Nie przerwali wydobycia. Pod kopalnią ustawiały się kolejki samochodów po węgiel, który był bardzo dobrej jakości. Górnicy postawili na swoim i pozwolono im prowadzić wydobycie aż do wyczerpania złoża. Kopalnia funkcjonowała jeszcze przez rok, przynosząc zyski.

Takich przykładów zbyt wiele nie ma, gdyż polskie kopalnie skupione są w wielkich spółkach kontrolowanych przez rząd. Te zatrudniają dziesiątki tysięcy ludzi, a wielu z nich jest całkiem niepotrzebnych. Odpowiedzialność za nadzór nad spółkami rozproszona jest na kilka resortów rządowych. Dzisiaj są to ministerstwa: Aktywów Państwowych, Klimatu i Środowiska oraz Energii. W efekcie nadzoru nie ma.

**Dowodem na to, że kopalnie mogą być dochodowym biznesem, jest sytuacja kopalni Siltech w Zabrzu.**

## Winni są politycy

Polska Grupa Górnicza, największa spółka węglowa Unii Europejskiej, rok 2024 zamknęła stratą wynoszącą 3,6 mld zł (netto). Spółka ta zatrudnia 37 tys. ludzi. Nie wiadomo, co robi znaczna część z nich, gdyż PGG wydobywa coraz mniej węgla. Wydajność jest katastrofalnie niska. Firma trwa tylko dzięki publicznym dotacjom. W tym roku np. dostała 2,78 mld zł w formie wyemitowanych przez rząd obligacji. I mimo takiej sytuacji redukcji zatrudnienia nie ma, są za to dodatkowe wypłaty. W czerwcu tego roku PGG wypłaciła pracownikom nagrody: 6,2 tys. zł (brutto) – dla pracujących pod ziemią, 5,5 tys. zł – dla pracujących na powierzchni i 5 tys. zł – dla pracowników administracyjno-biurowych.

Jastrzębska Spółka Węglowa wypłacała 18 pensji rocznie. W pierwszym kwartale tego roku odnotowała gigantyczną stratę, wynoszącą 1,36 mld zł. Zatrudnia ona 22 tys. ludzi i nawet gdyby myślano o oszczędnościach wynikających z ograniczenia zatrudnienia, zrobić tego nie można. Kierownictwo spółki podpisało bowiem ze związkami zawodowymi umowę o gwarancjach zatrudnienia, obowiązujących aż 10 lat. Umowa kończy się dopiero w 2031 r.

Niektórzy związkowcy przyznają, że aby ratować kopalnie, trzeba w nich zmniejszyć liczbę pracowników. „Gdybyśmy program dobrowolnych odejść uruchomili dwa lata temu, zaoszczędzilibyśmy miliardy złotych. Rząd sam sobie strzelił w kolano, z niewiadomych przyczyn zwlekając z przyjęciem nowelizacji ustawy o funkcjonowaniu górnictwa", mówił Bogusław Ziętek, przewodniczący Sierpnia 80, dla portalu WNP.

**Głównymi winowajcami stanu, w jakim znalazło się polskie górnictwo, z pewnością są politycy.**

Głównymi winowajcami stanu, w jakim znalazło się polskie górnictwo, z pewnością są politycy. Mści się nicnierobienie. Dosypywanie publicznych pieniędzy tylko pogłębia problemy. A przecież kopalnie nadal są nam potrzebne. Prąd wytwarzany w Polsce w prawie 58% pochodzi z węgla, z czego na węgiel kamienny przypada 35,16% produkcji energii elektrycznej (stan na lipiec 2025 r.).

10 września polską granicę przekroczyły rosyjskie drony. Niektóre doleciały bardzo daleko. To pokazuje, w jak trudnej jesteśmy sytuacji. Musimy mieć własne elektrownie i własne możliwości zaopatrzenia ich w paliwo. Dzisiaj to bezwzględna konieczność.

*Mateusz Cieślak*



eprasa.pl 8076cc18d8

Z Galicji

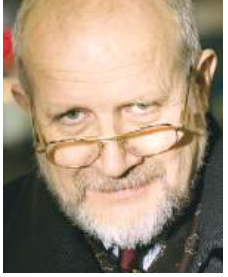

Jan Widacki

# Reparacje i ekshumacje

Gdyby hasłowo przedstawić główne cele i zadania polskiej polityki zagranicznej wskazane przez polską prawicę, byłyby to właśnie reparacje i ekshumacje. Reparacje od Niemiec i ekshumacje ofiar UPA na Ukrainie.

To nic, że za wschodnią granicą wojna, że ruskie drony przelatują przez tę granicę. To nic, że Trump ma słabość do Putina, że po spotkaniu na Alasce najpierw zaproponował Ukrainie pokój na warunkach kapitulacji, a później jakby jego zainteresowanie Ukrainą i całą Europą mocno osłabło. W dalszej perspektywie ma dogadanie się z Rosją, bo przeciwnika Stanów Zjednoczonych widzi nie w niej, ale w Chinach. To nic, że Trump zaczyna wojnę celną z całym światem, w tym z Unią Europejską (której było nie było jesteśmy członkiem), że transatlantycka jedność NATO, jeśli jeszcze nie pęka, na pewno się osłabiła. To nic, że jedność Unii Europejskiej, głównie za sprawą postawy Węgier czy Słowacji, jest wyraźnie zagrożona. To wszystko nic! Polski prezydent jedzie do Berlina z absurdalnym żądaniem reparacji wojennych. Od Ukrainy zaś, która dzielnie walczy nie tylko o swoje istnienie, ale także jest naszym „przedmurzem", domagamy się rozliczeń ze zbrodni UPA sprzed ponad 80 lat! Akurat teraz!

Domaganie się, w dodatku na najwyższym państwowym szczeblu, reparacji od Niemiec jest nie tylko absurdalne, bo wiadomo, że z prawnego punktu widzenia nie ma dziś dla nich żadnych podstaw. Co zresztą prezydentowi Nawrockiemu powiedzieli w oczy i prezydent Niemiec, i kanclerz. Nie tylko ośmiesza nas na arenie międzynarodowej (wyśmiała nas prasa niemiecka i nawet czeska), ale jeszcze ochładza i tak nie najlepsze ostatnio stosunki z Niemcami. W sytuacji, gdy nasze niebo jest praktycznie bezbronne, co pokazała ostatnia rosyjska prowokacja, kiedy pomoc sojuszników europejskich i ich wsparcie naprawdę są nam potrzebne jak nigdy w ciągu ostatnich 35 lat, my – zamiast rozmawiać o współpracy w ochronie wschodniej granicy, która jest zresztą wschodnią granicą NATO i Unii Europejskiej – zaczynamy od nonsensownych żądań reparacji. Reparacji, których wysokość określił niegdyś, nie wiadomo jak licząc, pisowski geniusz Arkadiusz Mularczyk.

Jak je liczył? Czy uwzględnił w tym rozliczeniu Wrocław, Szczecin, Olsztyn czy Gdańsk? A majątek nieruchomy, a także ruchomy pozostawiony przez wysiedlonych z Pomorza, Śląska i Mazur kilku milionów Niemców, przejęty przez Polaków, głównie wysiedlonych z dawnych Kresów Wschodnich, choć nie tylko przez nich? W aktualnej sytuacji politycznej naszej części Europy naprawdę to jest najważniejsze w relacjach z Niemcami? Czy faktycznie w interesie Polski leży dalsze oziębianie stosunków z Niemcami, naszym głównym partnerem gospodarczym, państwem o największym w Europie potencjale gospodarczym i militarnym?

**Najwyraźniej prezydentowi Nawrockiemu IPN pomylił się z Polską, a polityka zagraniczna z historyczną.**

Te niemądre żądania nie tylko szkodzą nam w aktualnej polityce, one będą skutkować jeszcze przez lata. W Polsce odżywają nastroje antyniemieckie. Ale to jeszcze pół biedy. W Niemczech Alternative für Deutschland coraz skuteczniej, jak widać po sondażach, przekonuje swoich wyborców, że dość już kajania się Niemiec za II wojnę światową. Polskie żądania reparacji bardzo w tym AfD pomogą.

A swoją drogą, dlaczego PiS nie domaga się reparacji od Rosji? Najechali nas wspólnie z III Rzeszą, wymordowali i wywieźli w nieludzkich warunkach na Sybir niemal 2 mln obywateli, w dodatku zabrali jedną trzecią terytorium państwa. I co? I nic? A może uznano, że za to dostaliśmy od Stalina rekompensatę kosztem ziem zabranych III Rzeszy? Oj, to bardzo komplikuje rozliczenia. O ekshumacjach na Ukrainie będzie innym razem.

Najwyraźniej panu prezydentowi Nawrockiemu IPN pomylił się z Polską, a polityka zagraniczna z historyczną. To straszny błąd. Za który zapłacimy wszyscy! ■

sklep.tygodnikprzeglad.pl ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI
KSIĄŻKI E-BOOKI PRENUMERATA ELEKTRONICZNA SUBSKRYPCJA ZDANIE

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 8076cc18d8

# Kolej jest dobra dla Polski

## Odbudowa kolei rozwiąże problemy transportowe i zmniejszy wykluczenie komunikacyjne

**KAROL TRAMMER**
– twórca i redaktor naczelny dwumiesięcznika „Z Biegiem Szyn" poświęconego kolei. Niebawem ukaże się jego książka „Przestawianie zwrotnicy. Jak politycy bawią się koleją".

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

**Czy są jakieś plany przywrócenia kolei należnego jej prestiżu i znaczenia?**

– Nie używałbym słowa prestiż, mówiłbym raczej o kluczowej roli, jaką jest zapewnianie mobilności społeczeństwu i dobrych warunków dla logistyki. Generalnie, jeśli chodzi o ruch pasażerski, to powoli wraca on do łask. Oznacza to, że na obecnym etapie łaska polityków jest nieco większa niż dwie, trzy dekady temu, kiedy na kolej spoglądano jak na balast, który nie chce dostosować się do gospodarki rynkowej, chociaż musi. To rozumowanie sprowadzało się do tego, że kolej jest nierentowna i tak jak inne nierentowne branże musi się kurczyć i zanikać. W latach 90. nie widziano w kolei narzędzia do rozwiązywania problemów społecznych i gospodarczych. Dziś podejście polityków do transportu kolejowego trochę się zmieniło, ale nie uważam, by wszystkie decyzje podejmowano w sposób w pełni przemyślany i strategiczny. Obecnie niepokojące są działania dotyczące kolei towarowej. Niekończąca się restrukturyzacja spółki PKP Cargo, która w 2013 r. weszła na giełdę, polega – tak jak w najgorszych dla kolei latach 90. – na zwalnianiu pracowników, złomowaniu taboru i wyprzedawaniu zapleczy serwisowych. Przewoźnik, zamiast walczyć o klientów, dopasowuje swoje zasoby do zmniejszających się przewozów.

**Co można z tym zrobić?**

– Jeśli reforma polega na nieustannym zmniejszaniu zasobów, to prowadzi na dno, od którego potem trudno się odbić. Do dziś zresztą widzimy skutki polityki cięć w przewozach pasażerskich – wykorzystanie kolei mimo jej renesansu wciąż jest w Polsce mniejsze niż w Szwajcarii, Niemczech, Austrii czy nawet na Węgrzech, w Czechach i na Słowacji.

**Karol Trammer** – absolwent Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych UW. Jego teksty i komentarze na temat transportu publicznego ukazywały się na łamach „Gazety Wyborczej", „Dziennika Gazety Prawnej", „Tygodnika Powszechnego", „Przeglądu", „Wspólnoty" czy biuletynu Biura Analiz Sejmowych „Infos".



FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 8076cc18d8

Jeśli chodzi o kolej towarową, to zgłaszane są pomysły jej rozwoju, ale szybko odkłada się je na półkę. Zamiast tego do PKP Cargo są ściągani specjaliści od zwalniania personelu i cięcia zasobów. A zbyt małe zasoby były przyczyną dwóch największych kryzysów w PKP Cargo w ostatnich latach. Najpierw w 2017 r., gdy zamknięto na czas modernizacji magistralę Lublin-Warszawa i pociągi z węglem z Bogdanki do elektrowni Kozienice, Ostrołęka i Połaniec musiały zostać skierowane na długie objazdy. W tej sytuacji do przewozu tej samej ilości węgla potrzeba było znacznie więcej wagonów – szybko zaczęło ich brakować i kryzys rozlał się na cały kraj: kopalnie alarmowały, że nie mają gdzie składować wydobytego węgla, bo PKP Cargo nie podstawia pociągów, a elektrownie raportowały, że mają za małe rezerwy węgla, bo pociągi nie docierają na czas. Kolejny kryzys miał miejsce w 2022 r. – po wprowadzeniu embarga na węgiel z Rosji sprowadzano go z RPA czy Indonezji. PKP Cargo dostało zadanie szybkiego przewiezienia tego węgla w głąb kraju. Miało jednak za małe zasoby i musiało zrezygnować z części dotychczasowych klientów. Dalsze zmniejszanie zasobów to proszenie się o kolejne kłopoty.

**Czytałem artykuł byłego ministra transportu Tadeusza Syryjczyka utrzymany w zupełnie innym tonie. Pokazywał, że PKP Cargo to europejska potęga. Były minister lansuje hasło „Make Cargo Great Again".**

– Z wzorowanym na haśle wyborczym Donalda Trumpa sloganem „Make Cargo Great Again" przyszedł Marcin Wojewódka, który był prezesem PKP Cargo od kwietnia do grudnia 2024 r. i zwolnił w tym czasie 4 tys. pracowników. Choć zapowiadał, że będzie odzyskiwał klientów i zdobywał nowych, realizowana liczba przewozów spadła, a udział PKP Cargo w rynku kolei towarowej na początku 2025 r. był najniższy w historii. A do opinii ministra Syryjczyka podchodzę z dużą rezerwą – to za jego kadencji dokonano największej rzezi połączeń kolejowych: z początkiem kwietnia 2000 r. zlikwidowano ruch pasażerski na 1028 km sieci kolejowej.

Ludzie, którzy likwidowali kolej, dziś mówią o potrzebie jej odbudowy. Prawdą jest, że mamy rozwinięty rynek przewozów towarowych – działa na nim kilkudziesięciu przewoźników: państwowych, prywatnych, zagranicznych. Swoich przewoźników mają duże spółki skarbu państwa: Orlen, KGHM, Grupa Azoty. Na polskich torach obecne są koleje niemieckie, czeskie, jest też prywatny kapitał z USA i Wielkiej Brytanii. Mimo to rynek pozostaje w stagnacji. Przewoźnicy podbierają sobie klientów, a PKP Cargo od lat zajmuje się ciągłą restrukturyzacją.

Dużą barierą dla wzrostu przewozów jest infrastruktura kolejowa. Sieć modernizowano w sposób pogarszający warunki dla ruchu towarowego: likwidowano ładownie, odcinano bocznice, a przede wszystkim masowo degradowano stacje do roli przystanków, czyli likwidowano dodatkowe tory, niezbędne do tego, aby składy towarowe mogły przepuszczać szybsze pociągi pasażerskie. Przez to pociągi towarowe muszą czekać z wyruszeniem w trasę kilka, kilkanaście godzin, aż zakończy się szczyt w ruchu pasażerskim lub wręcz nastanie noc. W przypadku zakłóceń opóźnienia w ruchu towarowym sięgają wielu godzin czy nawet liczone są w dobach, a terminowość jest w logistyce coraz istotniejsza.

**Wspominał pan, że były zgłaszane pomysły uzdrowienia przewozów towarowych.**

– Dotyczyły m.in. odzyskiwania mniejszych klientów. Gdy PKP Cargo postanowiło skupić się na walce o wielkie kontrakty przewozowe, zaniedbało drobnych nadawców. Walka o masowe przewozy wychodziła PKP Cargo słabo, a jednocześnie spółka pozbyła się dużej bazy małych klientów, będącej bardzo dobrym zabezpieczeniem na czas wahań koniunktury i utraty zleceń w przewozach masowych.

**Na razie większość towarów sunie po drogach.**

– Duża liczba tirów na głównych drogach i ciężarówki penetrujące lokalne szosy to naoczne skutki pozbycia się przez PKP Cargo małych klientów. A transport drogowy to silny lobbysta, w którego wsłuchani są politycy – w efekcie mamy nierównowagę między drogami a kolejami. Pociąg przewożący towar płaci za każdy kilometr przejechany po torach, przewoźnicy drogowi płacą zaś tylko za jedną dziesiątą sieci drogowej – cała reszta dróg jest dla nich bezpłatna.

**Ponarzekaliśmy na przewozy towarowe, porozmawiajmy zatem o pasażerskich, gdzie jest lepiej. Dzięki nowym założeniom dla kolei dużych prędkości skrócenie czasu przejazdów przyniesie fundamentalną zmianę jakości podróżowania po Polsce. Tak przekonuje spółka, broniąc decyzji o podwyższeniu prędkości maksymalnej z 250 do 350 km/godz. Ma to się odbywać na nowej linii Y. A czy uda się przyśpieszyć choćby do 250 km/godz.?**

– Od 10 lat pendolino nie może osiągnąć tej prędkości. Na razie rozpędza się do 200 km/godz. Wciąż odsuwane jest podniesienie prędkości do 250 km/godz. na Centralnej Magistrali Kolejowej łączącej Warszawę z Krakowem i Górnośląsko-Zagłębiowską Metropolią. Coraz bardziej upolityczniona dyskusja o prędkości maksymalnej na planowanej linii Y pokazuje, że nie ma ponadpartyjnego porozumienia w kwestii szybkiej kolei. Takiego przedsięwzięcia nie da się zrealizować przez jedną czy nawet dwie kadencje, a założenia nie powinny się zmieniać po każdych wyborach.

Inna sprawa, że gdzie indziej kolej dużych prędkości też wywoływała duże dyskusje – dotyczące chociażby tego, czy szybka kolej powinna służyć przemieszczaniu się tylko między największymi aglomeracjami, czy jednak zapewnić dostępność transportową leżącym po drodze mniejszym miastom i całym regionom. Obecnie w tej kwestii mamy

W latach 90. nie widziano w kolei narzędzia do rozwiązywania problemów społecznych i gospodarczych.



eprasa.pl 8076cc18d8

nawet spór między Ministerstwem Infrastruktury a Ministerstwem Funduszy i Polityki Regionalnej. Do tej debaty wkroczył także prezydent Karol Nawrocki, który nazajutrz po zaprzysiężeniu zjawił się w Kaliszu, by podpisać dokument kierujący do Sejmu projekt ustawy mającej zagwarantować to, aby szybkie pociągi zatrzymywały się w miastach liczących 50-100 tys. mieszkańców.

**Zatrzymuje się czy nie – to pytanie abstrakcyjne, gdy dla wielu Polaków rzeczywistością jest całkowite wykluczenie komunikacyjne.**

– Kolej dużych prędkości nie jest rozwiązaniem dla dojeżdżających do pracy, do szpitala powiatowego czy na zakupy. Szybka kolej nie jest narzędziem do walki z wykluczeniem transportowym. Ale brak stacji pośrednich obsługujących mijane regiony prowadzi do zjawiska, w którym metropolie mają coraz lepsze połączenia dzięki szybkiej kolei, a mieszkańcy obszarów tranzytowych nie odczuwają żadnych korzyści z jej wybudowania. Unia Europejska przestrzega przed tym już od lat 90., a na liniach dużych prędkości we Francji czy w Niemczech budowane są stacje obsługujące mniejsze ośrodki.

Jeśli chodzi o wykluczenie transportowe, to wreszcie musimy zacząć myśleć o regionalnych systemach transportowych całościowo: linie kolejowe i autobusowe muszą tworzyć spójną sieć. Typowym widokiem w Niemczech, Czechach bądź w Holandii są autobusy stojące przed dworcem kolejowym. Kilka minut po przyjeździe pociągu rozjeżdżają się do okolicznych wsi i miasteczek, do których kolej nie dociera. Wszystko jest ze sobą skomunikowane i objęte jednym systemem biletowym.

**Czy w Polsce są samorządy, które rozumieją te potrzeby i zależności?**

– Są regiony, w których władze samorządowe na poważnie zajęły się problemami transportowymi. Bardzo dużo zrobiono w województwach dolnośląskim i małopolskim. Na Dolnym Śląsku samorząd przejmuje od PKP nieczynne linie kolejowe i przywraca je do życia, dzięki czemu na mapę połączeń po latach wróciło wiele miast: Bielawa, Karpacz, Świeradów-Zdrój, Mirsk, Chocianów. Natomiast w Małopolsce stworzono dużą sieć linii autobusowych, które dowożą pasażerów do pociągów z setek miejscowości oddalonych od torów. Na przeciwnym biegunie mamy województwo warmińsko-mazurskie, gdzie jest dużo nieczynnych linii kolejowych, ale nie ma planów ich rewitalizacji, dzięki czemu połączenia mogłyby odzyskać np. Bartoszyce, Węgorzewo, Mrągowo, Lidzbark Warmiński czy Frombork. Nawet na czynnych liniach połączeń jest bardzo mało. Z kolei w województwie podkarpackim postawiono na rozwój kolei aglomeracyjnej wokół Rzeszowa – liczba połączeń na liniach zbiegających się w stolicy województwa jest największa w historii, ale wciąż zaniedbywane są regiony peryferyjne: Bieszczady, Beskid Niski czy okolice Niska, Stalowej Woli i Tarnobrzega. Również w województwie zachodniopomorskim myśli się głównie o połączeniach w rejonie stolicy województwa, resztę zaniedbując.

**Ludzie, którzy likwidowali kolej, dziś mówią o potrzebie jej odbudowy.**

**Mamy zbyt mało przystanków kolejowych?**

– Na pewno bardzo ważnym elementem jest dopasowywanie lokalizacji przystanków do zmieniających się uwarunkowań. Dobre efekty przynosi zarówno przesuwanie przystanków do centrów wsi i małych miast, jak i budowanie nowych. Ostatnio powstał przystanek Kraków Piastów, z którego można w niecałe 10 minut dojechać do centrum. Powstał też nowy przystanek w Oławie, który otworzył na kolej dotychczas pomijaną całą zachodnią część miasta. Dzięki temu z osiedli w Oławie można w 20 minut dojechać do centrum Wrocławia. Ideałem byłoby takie projektowanie nowych przedmiejskich osiedli, żeby nie powstawały tyłem do linii kolejowych, lecz by przystanek kolejowy stanowił ich centralny punt. Kolej byłaby najważniejszym środkiem transportu dla mieszkańców i do miast przestałyby się wlewać codziennie rano rzeki aut.

**W lipcu br. Związek Zawodowy Maszynistów Kolejowych przy wsparciu OPZZ blokował drogi w 13 lokalizacjach w Polsce. Zdaniem związkowców rząd prowadzi antykolejową politykę, a faworyzowany jest transport drogowy. Tysiące osób związanych z realizacją przewozów kolejowych są zwalniane z pracy, a przewozy drogowe rosną – tak mówił szef związku maszynistów Leszek Miętek.**

– To, że podczas ostatnich protestów kolejarze nie wstrzymali ruchu kolejowego, lecz blokowali drogi, doskonale pokazało problem nierównowagi konkurencyjnej między transportem ładunków koleją i drogami. Ta sytuacja jest tolerowana przez kolejne rządy. Gdy związki zawodowe za rządów Mateusza Morawieckiego alarmowały, że kondycja PKP Cargo jest coraz gorsza – ignorowano te głosy, teraz zaś nominaci rządu Donalda Tuska mówią, że związki są współwinne kryzysowej sytuacji w PKP Cargo. Kiedyś Donald Tusk powiedział, że jeśli z kimś może przegrać, to tylko z kolejarzami. Ciekawe, czy nadal tak uważa.

**Jaka w tym wszystkim jest rola Ministerstwa Infrastruktury?**

– Obecny minister infrastruktury Dariusz Klimczak należy do partii, która w kampanii wyborczej mówiła najmniej o transporcie publicznym i kolei. Najwięcej o wykluczeniu komunikacyjnym, odbudowie linii kolejowych i zapewnianiu autobusów lokalnych mówiły Lewica i Polska 2050. Szymon Hołownia w kampanii twierdził, że kolej to dla niego jeden z najważniejszych tematów, ale do resortu zajmującego się koleją nie trafił żaden nominat tej partii. To dużo mówi o polskiej polityce: deklaracje i priorytety z kampanii wyborczej nijak się nie przekładają na decyzje personalne przy formowaniu rządu.

Politycy chyba nie uświadamiają sobie, że transport publiczny, w tym kolej, to najważniejsza usługa publiczna – przynajmniej pod tym względem, że zapewnia dostęp do pozostałych usług publicznych: szkoły, przychodni, teatru czy uniwersytetu.

*Bronisław Tumiłowicz*



eprasa.pl 8076cc18d8

# Pociąg ku przyszłości

## Kolej znowu okazała się narzędziem do rozwiązywania problemów z dostępem do edukacji, opieki zdrowotnej i społecznej czy kultury

Jakub Majewski

Historia była mało łaskawa dla polskich kolei. 30 lat temu branża została praktycznie porzucona przez państwo, wydawała się też mało atrakcyjna dla biznesu. Została właściwie sama ze swoimi problemami, co skazywało ją na przegraną w konkurencji z transportem drogowym. W kolejnych latach zlikwidowano jedną trzecią sieci kolejowej – i kreślono wizje dalszej likwidacji. Setki kilometrów linii kolejowych miały zostać rozebrane. Społeczeństwo, a przede wszystkim politycy koncentrowali się na budowie dróg, a zwłaszcza autostrad.

Ostatecznie kolei udało się uniknąć scenariusza dalszej degradacji dzięki wsparciu Unii Europejskiej. I nie chodzi nawet o pieniądze na inwestycje, ale przede wszystkim o politykę zorientowaną na zrównoważony rozwój różnych gałęzi transportu. Państwa Europy Zachodniej znacznie wcześniej odrobiły bowiem lekcję, do czego prowadzi faworyzowanie samochodów oraz promocja masowej motoryzacji. I doceniły transport szynowy.

Gdy polski rząd udał się do Brukseli z propozycją, aby środki na kolejnictwo przesunąć na budowę autostrad – wrócił z kwitkiem. Od tego momentu kolej zaczęto traktować poważniej. Zauważono, że tworzy alternatywę dla zatłoczonych dróg, sznurów ciężarówek na nowo wybudowanych autostradach i dla zastawionych samochodami ulic i chodników. Dzięki inwestycjom unijnym zaczęto odbudowywać przemysł taborowy. Zauważono, że nie produkujemy w Polsce samochodów, ale pociągi – owszem. Podobnie jak szyny, podkłady, tłuczeń i osprzęt elektryczny do modernizacji infrastruktury kolejowej. Okazało się, że inwestycje w kolej napędzają biznes krajowy, a w motoryzację – zagraniczny.

Dzięki silnej presji unijnej kolej zaczęła się odbudowywać. Chętnych do podróży stopniowo przybywało. Dziś na niektórych liniach brakuje biletów, a polskim rynkiem interesują się inwestorzy z innych krajów.

Gorzej jest w przewozach towarowych, które nie korzystają ze wsparcia publicznego i konkurują bezpośrednio z ciężarówkami. Tu luka inwestycyjna z czasów marginalizacji kolei jest trudna do nadrobienia. Trzeba by odzyskać klientów, którzy przenieśli ładunki na transport drogowy, odbudować zamknięte bocznice i postarać się o ładunki, które zastąpią węgiel.

Obserwując drogę, jaką pokonała kolej od kryzysu lat 90., można mówić o renesansie tej gałęzi transportu. Mimo że jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia, warto zauważyć, że spieramy się już nie o to, które linie likwidować, ale o to, że plany rozbudowy sieci są mało ambitne. I o to, czy pociągi powinny się rozpędzać do 250, czy do 350 km/godz.

Na początku transformacji gospodarczej mało kto wierzył, że rozwój kolei będzie budził zainteresowanie i zyska poparcie społeczne. A jednak udało się odwrócić bieg pociągu zmierzającego na ślepy tor. Oczywiście można mówić o nieefektywności wielu działań, hamowaniu reform, absurdalnych przepisach krępujących innowacyjność, słabej komunikacji z otoczeniem i klientami, ale każdy dostrzeże pozytywne zmiany. Świadczy o tym również reakcja rynku pracy. Przedsiębiorstwa kolejowe długo borykały się z problemem przerostu zatrudnienia i pracowników zwalniały lub wysyłały na wcześniejsze emerytury. Kadra szybko się starzała, a szkoły kolejowe uważano za fabryki bezrobotnych. W rezultacie dziś, w momencie wzrostu przewozów, pojawił się problem luki pokoleniowej i braku kształcenia zawodowego. Mamy jedno technikum kolejowe w Bydgoszczy i rozsiane po całym kraju pojedyncze klasy o profilu kolejowym. A przewoźnicy podkupują sobie maszynistów.

**Rząd udał się do Brukseli z propozycją, aby środki na kolejnictwo przesunąć na budowę autostrad. I wrócił z kwitkiem.**

Warto zauważyć, że wraz z renesansem kolei wzrosły oczekiwania pasażerów. A w jeszcze większym stopniu oczekiwania potencjalnych pasażerów, czyli tych, którzy do kolei nie mają dostępu. W ostatnich wyborach parlamentarnych silnie akcentowano zjawisko wykluczenia czy, mówiąc precyzyjnie, ubóstwa transportowego. Po przeszło 30 latach opowieść o kilometrach nowych dróg i milionach samochodów, które kupili Polacy, zderzyła się z perspektywą obywateli, którzy nie mają prawa jazdy, nie chcą lub nie mogą prowadzić samochodu ze względu na wiek, stan zdrowia albo poziom agresji drogowej. Okazało się, że państwo o tych osobach zapomniało i mają szczęście, jeśli



eprasa.pl 8076cc18d8

mieszkają przy czynnej linii kolejowej. Bo kolej okazała się narzędziem do rozwiązywania codziennych problemów z dostępem do edukacji, opieki zdrowotnej i społecznej czy kultury. U wielu podróżnych odżył nawet bakcyl kolejowy, znów zaczęli się interesować nowymi wagonami, przejmować od kolei i remontować lokalne dworce, a malowanie pociągów stało się elementem tożsamości regionalnej.

W badaniach przeprowadzonych w województwie dolnośląskim mieszkańcy wskazali, że charakterystyczne biało-żółte pociągi samorządowego przewoźnika to jedno z pierwszych skojarzeń, które przychodzi im na myśl, kiedy ktoś pyta o symbole ich województwa. W ten sposób kolej przestaje być wyalienowanym tworem z centralą w Warszawie. Staje się elementem koszyka usług publicznych, do których mieszkańcy chcieliby mieć dostęp. Dlatego kolejne miasta i gminy domagają się uruchamiania do nich pociągów, budowy nowych przystanków czy wprowadzania dodatkowych postojów w ruchu dalekobieżnym. Ludzie oczekują powrotu pociągów, które 20, 30 lat temu likwidowano, proponując im w zamian przesiadkę do samochodów.

Trend ten wzmacnia rosnąca wrażliwość ekologiczna. Bo pociągi od ponad 100 lat wykorzystują napęd elektryczny, który w transporcie drogowym jest przedstawiany jako rewolucja ratująca klimat. Podróż zeroemisyjna nie jest więc mrzonką, pod warunkiem że wybierzemy pociąg.

**Państwa Europy Zachodniej znacznie wcześniej odrobiły lekcję, do czego prowadzi promocja masowej motoryzacji. I doceniły transport szynowy.**

Jakub Majewski jest doktorem nauk humanistycznych, twórcą i kierownikiem Pracowni Polityki Transportowej, pracownikiem naukowo-dydaktycznym Centrum Europejskich Studiów Regionalnych i Lokalnych na Uniwersytecie Warszawskim. Członek rad nadzorczych, zarządów przewoźników i zarządców infrastruktury kolejowej, m.in. PKP Przewozów Regionalnych, WKD, SKM, Kolei Mazowieckich i PKP Polskich Linii Kolejowych. Od 2012 r. wiceprezes Urzędu Transportu Kolejowego, a od 2014 prezes Fundacji Pro Kolej. Członek zespołu ds. wielkoskalowych projektów infrastrukturalnych Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju PAN, rady naukowej projektu „Zintegrowana Sieć Kolejowa" oraz Rady ds. Transportu Kolejowego przy Prezesie UTK

## LISTY

### Dlaczego Kościół zwalcza edukację zdrowotną?

Zdarza nam się zapominać, że Kościół (szczególnie w Polsce) jest siłą polityczną, która tak jak każda inna partia bądź lobby korporacyjne walczy o swój kawałek tortu. A im więcej da się wykroić, tym lepiej. W świecie chrześcijańskim szkoła i Kościół były ściśle ze sobą związane przez 1,3 tys. lat, co w pewnym sensie rozłączyły dopiero reformacja i oświecenie. Kościołowi jest jednak na rękę udawać, że takiej sytuacji nie było. Wtedy można tworzyć pozory, że ma on prawo decydowania w kwestii kształcenia młodych Polek i Polaków. Polska jest zaś podatnym gruntem dla takiego działania. Wystarczy wspomnieć, że w tym kraju nie ma wydarzenia, podczas którego ksiądz nie poświęciłby budynku czy wozu strażackiego. Od biedy pokropi nawet serwer czy światłowód. Biskupi wbrew twierdzeniom nie obawiają się treści przedmiotu edukacja zdrowotna. Nie obawiają się również deprawacji młodzieży. Obawiają się tylko i wyłącznie o możliwość indoktrynowania, która daje im władzę.

PYTANIE TYGODNIA Dlaczego Kościół zwalcza edukację zdrowotną?

*Ignacy Onton, filozof*

### Teoria wielkiej szachownicy

Zarówno w artykule prof. Kołodki, jak i w innych analizach wojny Rosji z Ukrainą (a tak naprawdę przecież z USA i NATO) zadziwia pomijanie teorii wielkiej szachownicy Zbigniewa Brzezińskiego, która moim skromnym zdaniem wydaje się bardzo dobrze tłumaczyć antecedencje, przyczyny i cele tego konfliktu. Według Brzezińskiego Ukraina jest geopolitycznym „sworzniem" mającym decydujące znaczenie dla mocarstwowej kontroli nad Eurazją. Innym takim „sworzniem" jest Iran, mający wedle teorii podobne znaczenie dla kontroli nad Zachodnią Azją vel Bliskim Wschodem, co może równie dobrze jak w przypadku Ukrainy tłumaczyć presję USA na ten niezależny od nich kraj. Jeśli wojna rosyjsko-ukraińska jest rzeczywiście elementem mocarstwowej gry na wielkiej szachownicy, jedynym wyjściem z sytuacji będzie nie jakiś kompromis, ale zdecydowana i nieodwracalna klęska jednej ze stron.

*K. Wozniak*

### Grudziądz semper fidelis

Jan Widacki
Grudziądz semper fidelis

Po lekturze felietonu Jana Widackiego „Grudziądz semper fidelis" zgadzam się z jego prawie całą treścią, a szczególnie ze zdaniem: „Pewnie nie mam znów racji, ale wydaje mi się, że mądry patriotyzm wymaga minimum znajomości historii".

Tak, Panie Profesorze, minimum znajomości historii to również znajomość kontekstu faktu, dlaczego „ponad 80% mieszkańców miasta podpisało volkslistę", co Pana zdaniem miałoby świadczyć o ich „niewierności". Otóż może z Galicji nadal nie widać tego, że „podpisanie" DVL na terenach włączonych do Rzeszy było zupełnie czymś innym niż jej „podpisanie" w Generalnym Gubernatorstwie. Wszak mieszkańcy m.in. Grudziądza byli zmuszeni do znalezienia się na DVL na podstawie informacji udzielonych w obowiązkowym spisie policyjnym w listopadzie 1939 r. Potem dostawali pocztą decyzję administracyjną o zakwalifikowaniu do konkretnej grupy, głównie trzeciej, której członkowie nie byli uznawani za Niemców, co nie przeszkadzało powoływać ich do Wehrmachtu. Te niezakwalifikowane niespełna 20% zostało przeznaczone do wysiedlenia do GG. O ile zatem w Generalnym Gubernatorstwie trzeba było bardzo się postarać, aby się dostać na DVL, o tyle na terenach włączonych do Rzeszy trzeba było bardzo się postarać, aby się na nią nie dostać.

*Piotr Kurzac*



eprasa.pl 8076cc18d8

# Dziennikarze muszą patrzeć władzy na ręce

## Magdalena Rigamonti z Onetu laureatką Nagrody im. Henryka Panasa 2025

Jacek Panas, Magdalena Rigamonti i Maria Bąkowska, wicemarszałkini województwa warmińsko-mazurskiego.

Wystąpienie Magdaleny Rigamonti o roli dziennikarstwa spotkało się z gorącym przyjęciem publiczności.

Wybór laureatów Nagrody im. Henryka Panasa nie jest łatwy. Kryteria przyjęte przez organizatorów, czyli olsztyńskie oddziały Stowarzyszenia Dziennikarzy RP i Związku Literatów Polskich, ograniczają poszukiwania kandydatów, których dorobek zawodowy musi współgrać z dokonaniami patrona. A Henryk Panas (1912-1985) to legenda dziennikarstwa i literatury nie tylko regionalnej. Jego powieść „Według Judasza" zrobiła furorę w latach 70. i była tłumaczona na języki obce. Laureat nagrody jego imienia powinien też być związany z Warmią i Mazurami, gdzie Panas spędził 30 lat życia. Lwowiak z urodzenia, filozof z wykształcenia, więzień Workuty, żołnierz armii Andersa, w 1947 r. powrócił do kraju, odnalazł rodzinę we Wrocławiu i tam włączył się w rytm powojennego życia jako nauczyciel i działacz społeczny. Wisiała jednak nad nim andersowska przeszłość i musiał „się schować" na Mazurach. Tam jako kierownik wiejskiej szkółki pisał opowiadania, zdobywając nagrody w konkursach literackich. W 1955 r. przeniósł się do Olsztyna. Został naczelnym pisma „Warmia i Mazury", w krótkim czasie stając się numerem 1 środowiska twórczego.

Taką gwiazdą z pewnością jest Magdalena Rigamonti, dziennikarka Onetu, wcześniej pisząca w „Newsweeku Polska", „Wprost" i „Dzienniku Gazecie Prawnej", znana jako mistrzyni wywiadu prasowego, autorka licznych książek, w tym „Niewygodni. Mówią prawdę o wojnie". Ponadto wraz z Tomaszem Sekielskim prowadzi podcast „Rachunek sumienia". Jej kandydaturę zgłosił Wacław Radziwinowicz, laureat III edycji Nagrody Panasa, który interesował się cyklem rozmów Rigamonti „Żałoba po Rosji". Okazało się, że pod nazwiskiem Łukaszewicz kończyła IV LO im. Marii Skłodowskiej-Curie w Olsztynie, uczestnicząc w projektach kulturalnych miasta. Na dodatek pochodzi z warmińskiego Pieniężna, a jej wybór stał się tym bardziej oczywisty, że – to kolejne kryterium – jest stała w poglądach.

Tak jak Henryk Panas, którego na uroczystej gali w olsztyńskim zamku, dokładnie w 40. rocznicę jego śmieci (11 września 1985 r.) przypomniał Maciej Wilczek, wnuk patrona, również dziennikarz i pisarz. Nagrodę honorowym patronatem objął marszałek województwa warmińsko-mazurskiego Marcin Kuchciński, a w jego imieniu statuetkę z wizerunkiem patrona wręczyła – w towarzystwie syna pisarza Jacka Panasa – członkini zarządu województwa Maria Bąkowska. Natomiast gratulacje składał wiceprzewodniczący Kapituły Nagrody, redaktor naczelny „Przeglądu" Jerzy Domański, prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy RP (przy okazji wygłosił krytyczną opinię o stanie polskiego dziennikarstwa). List od drugiego współprzewodniczącego, prezesa ZLP Marka Wawrzkiewicza, odczytał Andrzej Cieślak, prezes oddziału ZLP, obchodzącego właśnie 70 lat istnienia na Warmii i Mazurach. Do gratulacji dołączyli prezydent Olsztyna Robert Szewczyk, wicestarosta Artur Wrochna, wicewojewoda Zbigniew Szczypiński i laureat IV edycji Wiktor Marek Leyk. Z kolei przewodniczący oddziału SDRP Marek Książek odczytał listy gratulacyjne od laureata II edycji Aleksandra Kwaśniewskiego oraz ministra nauki i szkolnictwa wyższego Marcina Kulaska, też pochodzącego z Olsztyna. Zdalnie gratulacje przekazał laureat I edycji Krzysztof Daukszewicz. Galę prowadzili Katarzyna Leśniowska i Piotr Burczyk.

Wystąpienie Magdaleny Rigamonti o roli dziennikarstwa, w tym o przeciwdziałaniu dezinformacji i patrzeniu na ręce władzy, spotkało się z gorącym przyjęciem licznie przybyłej na zamek publiczności. Warto dodać, że tego samego dnia laureatka jako przedstawicielka Press Club Polska otworzyła w Olsztynie wystawę „Oczy wojny", a także złożyła kwiaty pod tablicą upamiętniającą Henryka Panasa na jego domu przy ulicy Księcia Witolda.

*(mk)*

FOT. ANNA PANAS (2)



eprasa.pl 8076cc18d8

# Edukacja zdrowotna, czyli wielka improwizacja

Małgorzata Żuber-Zielicz,
Włodzimierz Zielicz

*Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiędzie,*
*Ja z synowcem na czele, i – jakoś to będzie!*

**Adam Mickiewicz, „Pan Tadeusz"**

W poniedziałek 15 września właściwie wszystko zostało już zdecydowane. Zebrania z rodzicami odbywają się w pierwszych dwóch tygodniach września. Wybiera się wtedy m.in. trójki klasowe i przedstawicieli do rad rodziców oraz podpisuje deklaracje, na które przedmioty uczniowie będą uczęszczać, a z których rezygnują. Wszystko po to, by władze szkolne jak najszybciej wiedziały, na czym stoją. Ponieważ biurokracja w polskiej edukacji obliguje przy takiej deklaracji do osobistego podpisu, jakiekolwiek zmiany wymagają wizyty rodzica w szkole. Te jednak będą incydentalne. Tak więc, mimo że termin rezygnacji z udziału w zajęciach upływa 25 września, w statystykach uczestnictwa uczniów w zajęciach z edukacji zdrowotnej niewiele już się zmieni.

Statystyki te stały się elementem wojenki polsko-polskiej. Po redukcji tygodniowej liczby godzin nauczania religii z dwóch do jednej episkopat, a z nim cała praktycznie opozycja, dostrzegł szansę rewanżu i spektakularnego sukcesu.

Partie i media związane z Koalicją 15 Października ujrzały z kolei widmo spektakularnej porażki. Dlatego do 25 września będzie nam towarzyszyła medialna wojna – biskupi i media kościelno-opozycyjne będą przedmiot atakować i wzywać do wypisania dzieci z zajęć, a media i politycy bliscy rządzącej koalicji – przeciwnie.

## Szybko i niechlujnie

Trzeba przyznać, że ministra Nowacka maksymalnie ułatwiła zadanie opozycji i episkopatowi sposobem, w jaki wprowadzała ten nowy przedmiot do szkół. Gros problemów generuje nacisk związany z niesłychanym i niezrozumiałym pośpiechem.

Za rok ma ruszyć wielka reforma programowa (jej jakość to osobny problem!), co zatem przeszkadzało uruchomić edukację zdrowotną wraz z nią? Po uzgodnieniu z podstawami programowymi innych przedmiotów? Byłby wtedy czas na przygotowanie nauczycieli i podręczników, odpowiednią kampanię informacyjną itd. Ministra zaś podpisała podstawy programowe edukacji zdrowotnej przed wyborami prezydenckimi, w trakcie kampanii, w którą była zaangażowana, 26 marca br. – dokładnie dwa tygodnie przed niesławną debatą w Końskich. To bardzo mocno wplotło ten przedmiot w najgorętsze bitwy kampanii wyborczej. A było to zaledwie pięć i pół miesiąca temu! Nawet w bardzo przyśpieszonym cyklu wydawniczym trzeba około roku od podpisania podstaw programowych, by podręcznik trafił do uczniów. No i na dziś jedyny na razie dopuszczony (!) przez MEN podręcznik Wydawnictwa Operon nie jest dostępny – nawet w jego sklepie internetowym.

Podobnie wygląda przygotowanie nauczycieli. Przedmiot jest interdyscyplinarny – wymaga wiedzy z zakresu psychologii, seksuologii, dietetyki, socjologii, klimatologii, higieny cyfrowej itd. Oznacza to, że praktycznie żaden nauczyciel nie jest przygotowany do realizacji całości podstawy programowej edukacji zdrowotnej w ramach ukończonych studiów i dotychczas nauczanego przedmiotu. Potrzebne są trzysemestralne studia podyplomowe – najbardziej zaawansowani nauczyciele są obecnie zaledwie po pierwszym semestrze. Ministra jednym podpisem dopuściła do nauczania edukacji zdrowotnej wielu nauczycieli, ale to czysto formalne dopuszczenie – nijakich realnych kwalifikacji merytorycznych do nauczania tego przedmiotu im nie dało. Szkoła nie dostała też środków na opłacenie sprowadzanych na te zajęcia fachowców, gdyby nauczyciel miał być tylko koordynatorem znacznej części zajęć, jak chce jedna z bliskich MEN koncepcji prowadzenia przedmiotu. Oznacza to, że trzeba by zapłacić nauczycielom edukacji zdrowotnej i dodatkowo zapraszanym specjalistom.

Niezależnie od tego, jak wielki odsetek uczniów zrezygnuje z uczęszczania na edukację zdrowotną (podejrzewamy, że mniej więcej taki jak z dotychczas istniejącego WDŻ), nie będzie to bynajmniej oznaczało, że opozycja i episkopat są tak mocarne. Nasycona ideologią bijatyka medialna w sprawie tego przedmiotu niekoniecznie wpływa na uczniowskie i rodzicielskie decyzje w środowisku o poglądach lewicowo-liberalnych, czyli w elektoratcie obecnie rządzącej koalicji. Elektorat ten słyszał przed wyborami, że dzieci są przeciążone po „reformie" Zalewskiej i dodatkowych akcjach ideologicznych Czarnka – mają za dużo lekcji i prac domowych, szczególnie po wprowadzeniu przedmiotu ideologicznego HiT – i z tym się zgadzał. Wiadomo, jak się skończyło z pracami domowymi. Ministra Nowacka nie zlikwidowała HiT, tylko zamieniła go na edukację obywatelską, a teraz chce poświęcenia kolejnej godziny w tygodniu na edukację zdrowotną.



eprasa.pl 8076cc18d8

Protest przeciwko wprowadzeniu przedmiotu edukacja zdrowotna do szkół. Lublin, 8 września 2025 r.

Wiele rezygnacji z tego przedmiotu wynika więc z pobudek nie polityczno-ideologicznych, lecz pragmatycznych – uczniowie i rodzice chcą mieć więcej czasu na przygotowania egzaminacyjne i odpoczynek.

Przy czym, co warto odnotować, w liceum za rezygnacjami znacznie częściej stoją sami uczniowie, a nie rodzice. Ci ostatni, szczególnie po studiach, często uważają, że znajdą efektywniejszy sposób przekazania treści, które mają być przekazywane podczas zajęć, zwłaszcza zagadnień, o których w medialnej bijatyce najgłośniej. Aktualny stan przygotowań do wprowadzenia tego przedmiotu do szkół umacnia ich w tym przekonaniu. Nie są to więc wybory bis ani plebiscyt za czy przeciw jednej ze stron wojny polsko-polskiej.

## Nadzieja i szansa w nauczycielach

Oczywiście edukacja zdrowotna jako pakiet informacyjny przygotowujący uczniów do wielu praktycznych aspektów życia, nie tylko zdrowotnych, ma rację bytu i perspektywę. Podstawa programowa stworzona pod kierunkiem prof. Izdebskiego jest nowoczesna i zgodna ze światowymi standardami. Na pewno w trakcie tego roku szkolnego powstaną i zostaną dopuszczone do nauki kolejne ciekawe podręczniki. Z dostępnej broszurki reklamowej wspomnianego podręcznika Operonu wynika, że jest on profesjonalnie i interesująco napisany. Opracowano sporo scenariuszy zajęć i innych pomocy dla nauczycieli. Za rok pojawią się już pierwsi absolwenci studiów podyplomowych w pełni przygotowani do uczenia tego interdyscyplinarnego przedmiotu.

W tym roku szkolnym cała nadzieja, ale i szansa, w nauczycielach. W tych, którym się chce i którzy chcieliby robić coś naprawdę twórczego. Do nich akurat uczniowie się zapiszą. Tam, gdzie przedmiot mają prowadzić nauczycielskie indywidualności znane z nieszablonowej (w sensie pozytywnym!) i efektywnej dydaktyki innych przedmiotów, uczniowie/rodzice masowo się nie wypisują. Podobnie jest u tych, szczególnie w szkole podstawowej, którzy wykorzystali pierwsze zajęcia do zademonstrowania co ciekawszych informacji na temat przedmiotu. Zaczynając chociażby od przykładów gier i zabaw wymyślonych przez psychologów do pokazywania różnych aspektów funkcjonowania grupy i człowieka w grupie oraz relacji z innymi. Ale takie podejście wymaga dużego zaangażowania, kreatywności i wiedzy, no i czasu. A przecież na każde potknięcie nauczyciela czyhają rozemocjonowani rodzice o poglądach skrajnych z prawa i lewa, wiedzący lepiej.

Edukacja jednak, o czym trzeba pamiętać, nie jest instalowaniem aplikacji w telefonie, a uczeń nie jest smartfonem. Od wykładu zgodnego z podstawą programową edukacji zdrowotnej uczeń nie zmieni na gwałt swoich zachowań i postaw na propagowane, jak to sugeruje w mediach ministra Nowacka. Szczególnie jeśli są sprzeczne z doświadczeniami i postawami wyniesionymi z domu rodzinnego czy najbliższego otoczenia. Ileż było w szkołach w PRL pogadanek o szkodliwości palenia i picia! I? Uczestnictwo w lekcjach tego przedmiotu zapewne jednak skłoni wielu do przemyślenia i prób modyfikacji zachowań i przekonań czy poszukiwania dodatkowych informacji.

Jedną rzecz MEN na pewno może zrobić. Premier Tusk, promując edukację zdrowotną, przypominał o doświadczeniach młodości, kiedy przeżyciem były filmy, np. „Było sobie życie" czy „Krecik". Tematyka edukacji zdrowotnej jest ponadnarodowa, na świecie powstały tysiące filmów związanych z różnymi aspektami tej edukacji. Warto co lepsze odszukać i przetłumaczyć.

Trzeba też przyznać, że powodowani wyborczą intuicją Donald Tusk, Rafał Trzaskowski i Władysław Kosiniak-Kamysz mieli rację, doprowadzając do tego, że edukacja zdrowotna w tym roku jest nieobligatoryjna. Nieprzygotowany do wdrożenia i obowiązkowy przedmiot, z nauczycielami z łapanki, byłby tragedią, z fatalnymi skutkami zwłaszcza dla niego samego. Chociaż premier, anonsując tę decyzję, powiedział, iż otrzymał zapewnienie z MEN, że edukacja zdrowotna jest przygotowana do wdrożenia…

Małgorzata Żuber-Zielicz – była dyrektor LO im. Batorego i wicedyrektor LO im. Kopernika w Warszawie; w latach 2006-2018 przewodnicząca Komisji Edukacji Rady m.st. Warszawy; w latach 2004-2006 wprowadziła w LO im. Batorego program międzynarodowej matury (IB)
Włodzimierz Zielicz – nauczyciel matematyki i fizyki, były wicedyrektor w LO im. Mikołaja Kopernika w Warszawie

FOT. KRZYSZTOF RADZKI/EAST NEWS



eprasa.pl 8076cc18d8

# Bagaż ratunkowy

## Czy posiadanie plecaka ewakuacyjnego to realna potrzeba, czy marketing oparty na strachu?

Kornel Wawrzyniak

Plecaki ewakuacyjne, określane również jako BOB (od angielskiego bug-out bag), to rodzaj specjalnego bagażu przeznaczonego do spakowania najważniejszych przedmiotów i zasobów na wypadek nagłych zdarzeń, takich jak klęski żywiołowe, długotrwały brak prądu (blackout) czy inne sytuacje wymagające szybkiego opuszczenia miejsca zamieszkania. Taki awaryjny bagaż musi być gotowy do użycia od ręki. Umieszcza się go w łatwo dostępnym miejscu, by można było w razie potrzeby szybko zabrać go ze sobą. Słowem, buty, plecak i w drogę.

Część z nas zadaje sobie jednak pytanie, czy plecak ewakuacyjny jest realną potrzebą, czy opartą na marketingu strachu odpowiedzią biznesu na bieżące wydarzenia. Inni z kolei pytają wprost, co mają do takiego plecaka zapakować.

### Straszą czy zapomnieli powiedzieć?

Ktoś, kto widział w Kanale Zero prezentację plecaka ewakuacyjnego w wykonaniu ministra obrony narodowej Władysława Kosiniaka-Kamysza (11 lipca br.), niekoniecznie został przekonany do zakupu takiego zestawu sprzętowego. Szefowi MON zdecydowanie brakuje zdolności marketingowych. Widać to było szczególnie wtedy, kiedy opowiadał, że latarka może służyć nie tylko jako źródło światła, ale również do oślepienia przeciwnika. Mimo starań minister Kosiniak-Kamysz wyglądał jak dziecko podczas odpakowywania prezentów urodzinowych, które musi pokazywać rodzinie, co dostało, trafnie nazywając kolejne przedmioty: „bidon!", „kompas z gwizdkiem!".

Zarówno wystąpienie dotyczące plecaków, jak i komunikaty na temat rozesłania do każdego gospodarstwa domowego rządowego „Poradnika bezpieczeństwa" czy objaśnianie rodzajów sygnałów alarmowych spowodowały, że część rodaków wpadła w konsternację.

Od prawie czterech lat przy wschodniej granicy mamy strefę wojny. Po ogólnokrajowym zrywie pomocy dla Ukraińców przeszliśmy nad tym do porządku dziennego. Nikt – a odpowiedzialność ta należała już do rządu PiS, który w 2022 r. był u sterów władzy – nie przygotował mentalnie obywateli na to, że mogą ich spotkać różne mniejsze czy większe niedogodności związane z konfliktem zbrojnym dziejącym się niedaleko polskiej granicy.

Do rozmowy o tym, że warto być przygotowanym na różne ewentualności, nie usiedliśmy również w zeszłym roku, po wielkiej wrześniowej powodzi. Przebudzenie nastąpiło dopiero w nocy z 9 na 10 września, po naruszeniu polskiej przestrzeni powietrznej przez ok. 20 rosyjskich dronów.

Decydenci z pomocą mediów zaczęli nas zalewać kolejnymi komunikatami. Na rządowej stronie Gov.pl dostępna jest instrukcja postępowania dla obywateli w razie różnych sytuacji kryzysowych – od przerw w dostawach prądu po ewakuację związaną z atakiem z powietrza. Nazwano ją „Poradnikiem bezpieczeństwa". Chociaż trudno powiedzieć, żeby obywatele poczuli się bezpieczniej od czasu upowszechnienia tej publikacji. „Dezinformacja, cyberataki, zagrożenia hybrydowe, sabotaż czy dywersja są wykorzystywane do destabilizacji państwa. Wojna za naszą wschodnią granicą również wpływa na nasze poczucie bezpieczeństwa", czytamy w poradniku przygotowanym przez MSWiA, MON oraz RCB. Jest w nim też sekcja poświęcona plecakowi ewakuacyjnemu. Ma to swoje konsekwencje. Ludzie w obliczu zagrożenia tracą poczucie kontroli. A z tym najlepiej sobie radzić, będąc sprawczym. Zaczęliśmy więc się zabezpieczać, a plecak ewakuacyjny stał się gorącym tematem tzw. rozmów dystrybutorowych (rodzaj biurowego small talku przy dystrybutorze z wodą). Kto, co i jak zabiera?

> Od prawie czterech lat przy wschodniej granicy mamy strefę wojny. Nikt nie przygotował mentalnie obywateli na to, że mogą ich spotkać niedogodności związane z konfliktem zbrojnym.

### Co spakować?

W rządowym poradniku możemy przeczytać, co powinno się znaleźć na liście niezbędnych rzeczy. Propozycje można jednak dopasowywać do indywidualnych wymogów. W końcu mieszkamy w różnych miejscach, mamy różną kondycję i różne potrzeby. Strona rządowa zaznacza, że plecak powinien mieć każdy domownik, nawet dzieci.

Na liście sugerowanej przez rząd znajdziemy m.in.: wodę butelkowaną lub tabletki do uzdatniania wody, apteczkę z lekami, które zażywają domownicy, oraz środki higieniczne, latarkę i radio, które powinno być na baterie lub korbkę, gotówkę



eprasa.pl 8076cc18d8

Na liście sugerowanej przez rząd są m.in. woda lub tabletki do uzdatniania wody, apteczka, środki higieniczne, latarka i radio, gotówka, telefon, powerbank, ładowarka i kable.

w różnych nominałach, naładowany telefon i powerbank, ładowarkę, pasujące kable.

Jednak to nie koniec. Na liście znajdują się jeszcze scyzoryk lub multitool, zapalniczka, worki na śmieci, mapy drukowane, żywność wysokoodżywcza gotowa do spożycia (batony energetyczne, suszone owoce, bakalie itp.), ubranie dopasowane do pory roku, odzież przeciwdeszczowa, śpiwór, karimata, folia termiczna, a nawet radiotelefon (walkie-talkie). Część tych sprzętów może się wydawać przesadą, ale to już oddajmy pod osąd czytelnikom.

Minister Kosiniak-Kamysz w Kanale Zero zwrócił uwagę na jedną ważną rzecz. O ile truizmem jest mówienie, że trzeba mieć przygotowane wszystkie ważne dokumenty, o tyle zrobienie ich kopii i zgranie na pamięć podręczną typu pendrive jest niezwykle istotne. Dziś taki pendrive to koszt ok. 30 zł i można go dostać przy kasie w każdym większym elektromarkecie. Lepiej skorzystać z urządzenia firmy zajmującej się na co dzień ich produkcją, a nie z jakiegoś promocyjnego pendrive'a, który dostaliśmy na konferencji lub przy zakładaniu konta w banku. Taki może się okazać zawodny.

Warto też pamiętać o tym, co na co dzień nam umyka. Wiele osób ma listę kontaktów w pamięci smartfona, a nie na karcie SIM. Dobrze jest zrobić kopię i zapisać ją na karcie. Gdyby telefon uległ zniszczeniu, pozostanie szansa na odzyskanie karty. Niektórzy sugerują, że warto rozważyć zakup telefonu starszego typu, który działa na jednym ładowaniu zdecydowanie dłużej niż dzień i zapewnia podstawową łączność (rozmowy, SMS-y).

Pewne jest, że plecak niespakowany lub nieuzupełniony, który wymagałby dopakowania w sytuacji awaryjnej, byłby nieprzydatny. Pakując się w stresie, możemy zapomnieć czegoś istotnego.

## Ile to kosztuje?

Jeśli ktoś tak jak ja nie jest preppersem (to ludzie, którzy przygotowują się na wszystkie ewentualności, sytuacje kryzysowe i ich przetrwanie w lesie lub schronie), może się czuć przytłoczony wielością potrzebnych rzeczy. Postanowiłem sprawdzić w praktyce, jak wygląda przygotowanie plecaka ewakuacyjnego (a zwłaszcza ile na to wydam), i udałem się do odpowiedniego sklepu.

Wybrałem popularną sieć ze sprzętem dla fanów wszystkiego, co ma barwy moro. Sprawdziłem wcześniej na stronie internetowej, czy ma w ofercie plecaki ewakuacyjne. Ceny wahały się od 400 zł do 2 tys. Pchany dziennikarską misją i kąsany przez węża w kieszeni postanowiłem jednak skonfrontować się ze sprawą stacjonarnie. Jako laik nie wiedziałem nawet, czy lepsze będą wodoodporne zapałki, czy krzesiwo, skąd zatem miałbym wiedzieć, czy potrzebuję urządzenia wielofunkcyjnego pod nazwą multitool, które według informacji na stronie kosztuje ok. 300 zł.

Już przy wejściu doznałem swoistego szoku, typowego dla osoby nieobeznanej z dziedziną. Owszem, umiem odróżnić rewolwer od pistoletu, ale to wiedza wzięta z „Brudnego Harry'ego", która – jak to bywa z edukacją czerpaną ze srebrnego ekranu – nie zna zapachu prochu. Czym prędzej odszukałem więc sprzedawcę, który – jak się okazało – miał autorską listę przedmiotów niezbędnych w plecaku ewakuacyjnym. Rozmowa z nim przekonała mnie, że nie warto dać się zwariować. Kompas można dostać już za ok. 20 zł, niezbędnik to kolejne 20 zł. Do tego nóż. Lepszy jest prosty niż składany, bo się nie zepsuje – koszt 40 zł, zamiast 140 zł. No i mamy pierwszą „oszczędność". Sensowna latarka to również koszt 40 zł. Jeśli macie

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/ EAST NEWS



eprasa.pl 8076cc18d8

śpiwór sprzed 20 lat, to go wyrzućcie, bo jest wielki i ciężki. Za 80 zł kupicie nowy, rozmiarów większego kubka termicznego. Do tego tabletki uzdatniające wodę za 18 zł (ponoć wystarczają na 4 tys. litrów wody), koc termiczny za 12 zł i butelka wielorazowa za 40 zł.

Uciekając przed kataklizmem, warto też mieć racje żywnościowe. To ok. 20 zł za pół kilo kostki wyglądającej jak chałwa. Mój sklepowy doradca poleca dorzucić jeszcze czekoladę z dodatkiem kofeiny. Mówi, że na takim zestawie można w lesie dać radę przez dwa dni. Gdy zmarzniemy, oczywiście potrzebne będą plastry rozgrzewające, które można przykleić na ubranie lub w śpiworze – 50 zł za 10 sztuk.

Nie zapominajmy o przeciwdeszczowym ponczo za 80 zł. Ci, którzy chcą się wyposażyć na wypadek totalnego kataklizmu, powinni dokupić walkie-talkie – 150 zł za parę o zasięgu do 10 km – oraz płachtę biwakową za 120 zł (to taki namiot, tylko bez stelażu i linek; trzeba go przymocować do drzewa, dzięki czemu może być tymczasowym schronieniem). Ach! Do tego jeszcze mapa, najlepiej laminowana – koszt ok. 30-50 zł. Wreszcie sam plecak, w który to wszystko spakujemy – i tutaj zaskoczenie, jego koszt to zaledwie 105 zł. Chyba dlatego, że niemiecki. Rodzimej produkcji są po 700 zł i chwalą się międzynarodowo, że są „Proudly made in Poland". Tak głosi naszywka na przodzie plecaka. Szkoda takiego, żeby czekał na apokalipsę – to może się przedłużać i ostatecznie plecak może się zmarnować.

## Granice cenowe? Nie istnieją

Osobną kwestią jest apteczka, którą lepiej przygotować samemu. Te dostępne w sklepach i na stacjach benzynowych zawierają głównie ładnie zapakowany bandaż. Apteczka zawierająca opatrunki, bandaże dwóch szerokości, bandaż elastyczny, plastry, leki przeciwhistaminowe, przeciwbólowe, na zapalenie dróg moczowych, rozkurczowe na ból brzucha, węgiel aktywny oraz leki na biegunkę, kosztowała ok. 160 zł.

Ten „rozsądny wybór" sprzętu wraz z podstawowymi medykamentami kosztuje jakieś 900 zł. Gdybym nie wyszedł z domu, zatrzymałbym się pewnie na zestawie za 400 zł.

Chcąc być w zgodzie z zaleceniami z „Podręcznika bezpieczeństwa", należy pamiętać, że plecak musi mieć każdy domownik. Dlatego zestaw rodzinny dla pary z dwójką dzieci to koszt przynajmniej 1,6 tys. zł – jeśli ufać stronie internetowej.

Warto powtórzyć, że każdy z tych plecaków można wyposażyć odrobinę inaczej, poszerzając zakres survivalowych możliwości rodziny. Jak widać, lepiej mieć dzieci, niż być antynatalistą – zawsze to więcej noży w ekipie...

Górny limit cenowy takiego zestawu ewakuacyjnego właściwie nie istnieje, bo zawsze znajdzie się lepszy czy mocniejszy sprzęt. Dobrym przykładem są latarki. Solidną, jak już wspomniałem, można kupić za 40 zł. Ale są i takie po 500 zł, a nawet 1,5 tys. zł. W to, że znalazłem latarkę za 3 tys. zł, i tak nikt mi nie uwierzy – ale sprawdźcie w internecie.

Analizując ze sprzedawcą kolejne sprzęty, zauważyłem, że w sklepie panuje wyjątkowo duży ruch jak na wtorek przed południem. Oprócz mężczyzny w koszulce Polski Walczącej wypatrzyłem co najmniej dwóch ojców z synami w wieku ok. 10 lat. Było też kilku jegomości w garniturach, którzy wyglądali, jakby wyszli wprost z posiedzenia rady nadzorczej w korporacji.

Zapytałem sprzedawcę, czy takie obłożenie wiąże się z wydarzeniami z 10 września. Mężczyzna potwierdził. Okazało się, że bardzo dużo osób przychodzi nie tylko po plecaki ewakuacyjne, ale również po to, aby się zorientować w asortymencie. Często pierwszy raz. Żartując, zapytałem, czy część nie kupuje przypadkiem wykesponowanych w gablotach pistoletów do samoobrony. Sprzedawca spoważniał, ale nadal z uśmiechem wyjaśnił, że mają w sklepie tylko broń czarnoprochową, na kule gumowe lub ewentualnie gazową. Patrząc w dal, powiedział na odchodne: „Ale tak, tak, część z nich nawet te pukawki kupuje do samoobrony. Ja bym jednak polecał panu gaz pieprzowy".

*Kornel Wawrzyniak*
**k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl**

Plecak można kupić już za 105 zł, ale te rodzimej produkcji są po 700 zł i chwalą się międzynarodowo, że są „Proudly made in Poland".

## KSIĄŻKI

Aleksander Poniewierski
**Nie bądź naiwny**
**Sonia Draga, Katowice 2025**

Rzeczowy, a jednocześnie pełen lekkości przewodnik po pułapkach dzisiejszego świata – od fałszywych informacji i deepfake'ów, które rozprzestrzeniają się szybciej niż fakty, po codzienne oszustwa w sieci. Czerpiąc z własnych doświadczeń, autor pokazuje, jak łatwo można paść ofiarą manipulacji. Przytacza historie, które obrazowo tłumaczą konkretne zagadnienia, co pozwala lepiej zrozumieć wyzwania współczesności.

*(es)*

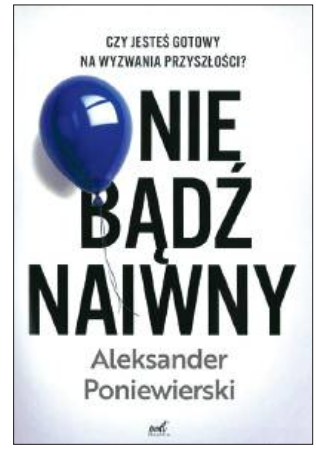




eprasa.pl 8076cc18d8

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

# Faszyści ante portas? Nie, są na szczycie

Zastrzelenie w USA skrajnie prawicowego aktywisty Charliego Kirka odbiło się echem zarówno w USA, jak i na świecie, w tym w Polsce. Może nie warto pomijać tych reakcji, co, jak sądzę, się dzieje. Trzeba zdać sobie sprawę, w jakim punkcie jest polska scena polityczna, Sejm, prezydent. Te zachowania nie są naiwne ani niewinne, są groźne, bo można je także odczytywać jako zapowiedź miejscowych aktywności. Nie jest też tak, że agresywna „żałoba" po amerykańskim faszyście jest czymś nagłym i zaskakującym – faszyzujemy się, m.in. przez przemilczanie, bagatelizowanie i legitymizowanie w przestrzeni publicznej nie tyle poglądów przypominających rdzeń faszyzmów zastanych i odradzających się, ile faszyzmu expressis verbis. Oswoiliśmy się z tym, to zarzut głównie wobec politycznego centrum, nie reagujemy, udajemy, że nie słyszymy, symulujemy, że nie zrozumieliśmy czegoś, czego nie da się inaczej interpretować.

Dwa słowa o zastrzelonym amerykańskim faszyście, którego zresztą polski prezydent odziera całkiem z jego politycznego modus operandi, nazywając z czułością godną lepszej sprawy „młodym mężczyzną, mężem i ojcem". Rzecz w tym, że nic z tego nie uczyniło Kirka gwiazdą skrajnej prawicy i ulubieńcem Trumpa.

Symptomatyczne też, że Facebook usunął wpis Piotra Wilkina, polskiego komentatora, na temat pakietu „poglądów" Kirka (całość zdjętego komentarza zamieściło OKO.press). Czegóż to nie wolno przeczytać na „polskim" FB? „Charlie Kirk był gościem, którego życiowa misja to było szczucie na »podludzi« – którymi, w zależności od humoru czy też dostępnej amunicji erystycznej, byli: lewicowi akademicy (jego organizacja Turning Point USA opublikowała »czarną listę« »lewackich« pracowników naukowych), Latynosi, czarnoskórzy (...), słowem, facet praktycznie nie robił w życiu nic, tylko wskazywał palcem wrogów". „Jaka była jego postawa wobec przemocy w polityce? Cóż, dość powiedzieć, że kiedy szaleniec wparował do domu państwa Pelosi i prawie zatłukł siekierą męża Nancy Pelosi, Paula, Charlie Kirk ogłosił wszem wobec, że... jakiś prawdziwy patriota powinien wpłacić kaucję za napastnika". „Amerykański Departament Stanu ogłosił oficjalnie, że będzie wydalał z USA i zabraniał wjazdu obcokrajowcom, którzy... ośmielili się nabijać ze śmierci Kirka".

Był Kirk zaprzysięgłym zwolennikiem posiadania broni, „wielokrotnie podkreślał, że Druga Poprawka to nie tylko symbol, ale gwarancja wolności przed tyranią rządu. Po każdej strzelaninie stanowczo sprzeciwiał się próbom ograniczenia dostępu do broni, twierdząc, że problemem są przestępcy, a nie »legalni obywatele«" (Bezprawnik.pl).

Oczywiście wszystkie te poglądy Kirka stygmatyzujące wedle m.in. rasistowskiego klucza okraszane były deklaracjami o wartości rozmowy i ścierania się poglądów. Tak się zapędza liberalne centrum do kąta, a potem…

Tymczasem w Polsce ekstaza żalu i współczucia: Sejm, który jako instytucja nie zająknął się nawet na temat ludobójstwa dokonywanego w Gazie przez Izrael, tu ogłasza minutę ciszy ku pamięci. Kreatura poselska, Matecki, prezentuje podobiznę zabitego z miną, jakby mu kto brata zamordował. No bo w rzeczy samej, toż to bracia syjamscy w nienawiści do innych. Ale przeciw aborcji…

Aktywizuje się najnowszy, jeszcze ciepły, prezydent Nawrocki, mówiąc: „Charlie Kirk odważnie bronił wartości cenionych przez nasze narody. Jego przesłanie rezonuje teraz jeszcze mocniej. Łączę się w modlitwie z rodziną tragicznie zmarłego i całym narodem amerykańskim". Jakie są te wspólne wartości, prezydencie Nawrocki? Bo ja ich nie mam.

Żyjemy w opresji manipulatorskiej tezy, że wolność słowa jest ponad wszystkim, że poglądy najbardziej skrajne mają taką samą rację bytu – chyba że są skierowane przeciw prawicy, wtedy to zamach na niezbywalne wolności, cancel culture, gułag i totalitaryzm. Nagle faszysta staje się wzorcem błogosławionego lub świętego: „Zabójstwo młodego mężczyzny, męża i ojca, z powodu różnic politycznych, budzi najgłębszy sprzeciw i podważa same podstawy demokracji" (Nawrocki, OKO.press, 12 września 2025).

A tymczasem w USA popularny talk-show traci Jimmy Kimmel w telewizji ABC. Pozwolił sobie powiedzieć: „Sięgnęliśmy dna. Razem z całym tym gangiem MAGA, który próbuje przedstawić dzieciaka, który zamordował Charliego Kirka, jako kogoś innego niż jednego z nich i robi wszystko, by ugrać na tym polityczny kapitał".

Do takiej radykalnej interwencji wzywał powołany przez Trumpa Brendan Carr, szef Federalnej Komisji Łączności, żądając wstrzymania emisji programu. Przekonywał, że stacja „naraża się na grzywny albo cofnięcie licencji". Decyzję o zdjęciu programu skomentował ojciec ideowy Kirka, Trump, który nie tylko publicznie się ucieszył, ale jeszcze dodał, że Kimmel to „beztalencie", i pogratulował ABC odwagi.

Tak to w niespełna 100 lat, od puczu gen. Franco w demokratycznej Hiszpanii, przez Mussoliniego i Hitlera, po ludobójstwo w Gazie, wracamy do apologi faszyzmu w czystej postaci. I wszystko to z miłości do amerykańskiej broni, co nas nie obroni.

■



Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 807621808

# Od Charliego Kirka do wojny domowej

## Administracja Trumpa potraktowała wschodzącą gwiazdę prawicy jak bohatera narodowego, a nawet męczennika

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Czy zastrzelony 10 września na kampusie uniwersyteckim w Utah Charlie Kirk był świętym, czy prowokatorem? Poniósł śmierć jak żołnierz na polu walki albo jak męczennik? Czy jego śmierć przyniesie Ameryce koniec wolności słowa, a nawet wojnę domową?

Morderstwo dokonane niemal na oczach całego świata (nagrania momentu, gdy kula przeszywa szyję ofiary, można obejrzeć w sieci) prawdziwie wstrząsnęło Amerykanami. Zbladły przy nim wszystkie skandale ostatnich miesięcy: mrożące krew w żyłach uliczne łapanki urządzane na nielegalnie przebywających w kraju imigrantów przez agentów ICE (Immigration and Customs Enforcement, Urząd Celno-Imigracyjny – przyp. red.), nieludzkie warunki w ośrodkach detencyjnych strzeżonych przez krokodyle, a nawet afera z listą Epsteina, która pogłębia rozłam w łonie MAGA.

Szokiem dla Amerykanów był zarówno fakt, że stali się świadkami bezprecedensowego aktu przemocy na tle politycznym, jak i reakcje na to morderstwo. I to nie tylko w społeczeństwie, którego część jest gotowa mniej lub bardziej otwarcie zgodzić się z opinią, że Kirk otrzymał zasłużoną karę za szerzenie mowy nienawiści i ideologii wykluczania, ale przede wszystkim w Białym Domu. Administracja Trumpa potraktowała bowiem 31-letniego aktywistę i wschodzącą gwiazdę amerykańskiej prawicy jak największego bohatera narodowego, a nawet świętego i męczennika. Kirk został pośmiertnie nagrodzony Prezydenckim Medalem Wolności – najwyższym odznaczeniem państwowym dla osoby cywilnej, a jego ciało przewiózł do rodzinnego Phoenix sam J.D. Vance na pokładzie Air Force Two. Trump zaś poinformował Amerykanów, że mają do czynienia z aktem nienawiści ze strony radykalnej lewicy i że mord na „bojowniku o prawdę" zostanie adekwatnie pomszczony.

Płynąca z Białego Domu retoryka wendety, mimo nawoływań do ostudzenia emocji, w tym ze strony republikańskiego gubernatora stanu Utah, tylko się nasilała, a złudzenia, że Trump pójdzie w ślady poprzednich prezydentów, rozwiały się na dobre.

Od historycznej przemowy Abrahama Lincolna na Narodowym Cmentarzu Gettysburskim w 1863 r. (pod Gettysburgiem stoczona została przełomowa bitwa w wojnie secesyjnej) tradycją amerykańskich prezydentów było wychodzenie do narodu w chwilach katastrof z przesłaniem o jedności i dialogu i bezwarunkowe potępienie przemocy. Tak zareagował Bill Clinton po zamachu bombowym w Oklahoma City w 1995 r., George W. Bush po atakach 11 września 2001 r. i Joe Biden po objęciu prezydentury krótko po tym, jak armia MAGA wdarła się na Kapitol. W tych przemówieniach zawsze pojawiało się odwołanie do preambuły konstytucji, którą rozpoczynają słynne słowa: „We, the people" (My, naród), mające zaakcentować odpowiedzialność rządu za działanie na rzecz i w imieniu wszystkich obywateli.

Tydzień po śmierci Kirka stało się jasne, że bez względu na to, co ostatecznie ustalą śledczy, Biały Dom ma zamiar wykorzystać jego śmierć do poszerzenia i umocnienia prezydenckiej władzy w państwie, przy całkowitej zgodzie reszty republikanów.

Przyjrzyjmy się sytuacji. Charlie Kirk, szef konserwatywnej organizacji Turning Point USA, którą założył jako 18-latek i której celem była polityczna aktywizacja młodzieży, m.in. poprzez wizyty na uniwersytetach (zginął w trakcie jednej z nich), był postacią mocno polaryzującą. Chrześcijański nacjonalista i promotor teorii spiskowej o „wielkiej wymianie" (demokraci chcą zastąpić białych Amerykanów kolorowymi i imigrantami), podważał zasadność ustawy o prawach obywatelskich i prawa osób nieheteronormatywnych, a Taylor Swift doradzał, by podporządkowała się przyszłemu mężowi, futboliście Travisowi Kelce'owi, bo jako kobieta to nie ona powinna stać u steru ich życia rodzinnego. Zainicjował też akcję tworzenia przez studentów i upubliczniania rejestrów wykładowców, którzy „sieją lewicową propagandę" i krytykują konserwatywny styl życia.

Wielkiej popularności przysporzył mu pogląd dotyczący posiadania broni – mówił, że nawet jeśli broń

**Biały Dom ma zamiar wykorzystać śmierć Kirka, by poszerzyć i umocnić prezydencką władzę w państwie.**



eprasa.pl 8076cc18d8

Na ścianie budynku w Tel Awiwie wisi bilbord z prezydentem Trumpem obejmującym Charliego Kirka, zastrzelonego na Uniwersytecie Utah Valley. 13 września 2025 r.

„uśmierca rocznie kilka osób, warto ponosić ten koszt, byśmy mieli drugą poprawkę". Był jednym z najbardziej wpływowych prawicowych podcasterów i influencerów. Jego notowania w Waszyngtonie wzrosły po wyborach z 2024 r., gdy uznano, że jego działalność medialna przyczyniła się do zmiany optyki wśród młodych, szczególnie mężczyzn, bez których Trump nie świętowałby zwycięstwa. Własny dług wdzięczności wobec Kirka miał przy tym J.D. Vance. To Kirk lobbował za jego kandydaturą u starszych synów Trumpa, którym ojciec powierzył misję znalezienia wiceprezydenta.

## Donieś na krytyka Kirka

Czy w demokratycznym kraju zbudowanym na ideałach wolności słowa krytyczna ocena działań osoby publicznej winna być czynem karalnym? Po śmierci Kirka Amerykanie dowiedzieli się, że jak najbardziej tak. Trump już dzień po morderstwie przestrzegł naród, że nie będzie tolerował żadnego oczerniania „męczennika za prawdę i wolność", a J.D. Vance, który w ramach hołdu Kirkowi cztery dni później wcielił się w gospodarza jego podcastu „The Charlie Kirk Show", zachęcił Amerykanów, by składali donosy do pracodawców na tych, którzy wyrażają się o Kirku niepochlebnie. Występujący u jego boku Stephen Miller, odpowiedzialny za kształtowanie w Białym Domu polityki imigracyjnej i bezpieczeństwa narodowego, dodał, że administracja wypowiada wojnę wszystkim liberałom i organizacjom liberalnym, bo od tej chwili uznaje je za „ruch terrorystyczny". I nie wygląda na to, że była to tylko hiperbola skonstruowana na potrzeby chwili. Susie Wiles, szefowa sztabu Białego Domu, po śmierci Kirka obwieściła w wywiadzie radiowym: „W zasadzie to już pracujemy (…) nad bardziej kompleksowym planem dotyczącym przemocy w Ameryce" („The Scott Jennings Show", 11 września 2025 r.).

Poleciały już pierwsze głowy. Pracę stracił Howard Kurtz, popularny komentator i gospodarz programów w stacji Fox News, bo powiedział na antenie, że „Charlie Kirk nie był święty". „The Washington Post" zwolnił czarnoskórą publicystkę Karen Attiah, która przypomniała na prywatnym koncie społecznościowym, że Kirk był rasistą. Sugerował, że grono prominentnych czarnoskórych Amerykanek, w tym Michelle Obama, zrobiło karierę wyłącznie dzięki akcji afirmatywnej. Sekretarz transportu Sean Duffy ogłosił, że American Airlines zawiesiły kilku pilotów po odkryciu, że „celebrowali" oni na Facebooku śmierć Kirka. Republikańska senator z Tennessee Marsha Blackburn doprowadziła zaś do zwolnienia wykładowców i rektorów kilku stanowych uczelni za „nieodpowiednie" komentarze po tragedii w Utah.

Mamy już nawet pierwszą zagraniczną „ofiarę" trendu kasowania ludzi za nieprawomyślne opinie o amerykańskim prawicowcu. Jeden z holenderskich koncernów medialnych odwołał dalsze występy brytyjskiego duetu Bob Vylan, ponieważ lider grupy „zadedykował" na koncercie piosenkę Kirkowi, który był „kompletnym gnojem jako człowiek".

Inwigilacja zatacza coraz szersze kręgi, o czym świadczą posty udostępniane w mediach społecznościowych. Czas pokaże, czy jej ofiarą nie padną także eksperci, którzy zwracają uwagę, że doszło do kuriozalnego odwrócenia ról. Oto prawica, oskarżająca onegdaj oponentów o ograniczanie wolności słowa poprzez praktykowanie wokeizmu i niszczącej ludziom życie cancel culture, robi dziś dokładnie to samo. Tylko teraz nie widzi w tym nic złego, twierdząc wręcz, że broni wolności słowa, którą – jej zdaniem – propagował swoją osobą i działaniami Charlie Kirk.

## Ameryka w pułapce

Nie ma wątpliwości – Ameryka znalazła się w pułapce. Specyficzna odpowiedź rządu i części sceny politycznej na akt przemocy może skutkować eskalacją. Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że sytuację, w jakiej znalazł się obecnie kraj – skrajnie podzielony i skłócony politycznie, ideowo i kulturowo – obie strony przedstawiają jako historyczny przełom lub wręcz katastrofę. A ta wymaga ekstremalnych środków zaradczych. Apokaliptyczna retoryka, w której



eprasa.pl 8076cc18d8

nie brakuje, zwłaszcza na prawicy, biblijnego motywu ostatecznej, rozstrzygającej walki dobra ze złem, zbiegła się z czasem autentycznej słabości amerykańskiego państwa.

„W historii demokracji bywają chwile wielkiej desperacji, gdy wydaje się, że system polityczny nie jest wystarczająco responsywny, zaangażowany, a nawet w całości legalny, i z tym mamy dziś do czynienia", mówi Jon Michaels, prawnik z Uniwersytetu Kalifornii w Los Angeles i autor książki „Vigilante Nation. How State-Sponsored Terror Threatens our Democracy" („Naród samosądów. W jaki sposób terror wspierany przez państwo zagraża naszej demokracji"). Oczywiście, jak wskazuje Michaels, nie jest to zjawisko Ameryce nieznane. Przemoc zawsze wzrasta w okresach wzmożonych przemian społecznych. W latach 60. minionego wieku, gdy trwała walka o równość rasową i obywatelską, kraj mierzył się z falą terroryzmu wewnętrznego.

„Martwi mnie co innego – tłumaczy Michaels. – To, że akty przemocy zdarzają się dziś częściej, w krótszych odstępach czasu, a podziały, które przecież charakteryzowały nas od zawsze, opuściły arenę ideologicznej debaty i kontestacji i stały się o wiele bardziej kinetyczne".

Przypomnijmy, że w czerwcu tego roku zastrzelono demokratkę z Minnesoty, byłą spikerkę stanowej Izby Reprezentantów, Melissę Hortman i jej męża. Również w czerwcu zamordowani zostali pracownicy ambasady izraelskiej w Waszyngtonie, a w Boulder w stanie Kolorado doszło do podpalenia uczestników manifestacji przeciwko wojnie w Gazie. W kwietniu podpalono dom demokratycznego gubernatora Pensylwanii Josha Shapiro (Shapiro uszedł z życiem), w grudniu 2024 r. w Nowym Jorku został zaś zastrzelony dyrektor koncernu ubezpieczeniowego UnitedHealth Brian Thompson. Morderca, Luigi Mangione, w niektórych kręgach uchodzi za bohatera wojny o sprawiedliwość społeczną.

Republikanin z Luizjany Steve Scalise przemawia na Kapitolu w otoczeniu członków Kongresu podczas czuwania po śmierci Charliego Kirka. 15 września 2025 r.

Nie można w tym miejscu nie wspomnieć o zamachu na Donalda Trumpa podczas jego wiecu wyborczego latem 2024 r. (drugi zamach udaremniono), o makabrycznym pobiciu w 2022 r. męża Nancy Pelosi, wieloletniej przewodniczącej demokratów w niższej izbie Kongresu, i o próbie egzekucji w 2011 r. demokratycznej kongresmenki Gabrielle Giffords w Tucson w Arizonie. Giffords przeżyła, ale w wyniku ataku jest niepełnosprawna.

**Amerykanów od dawna trawi poczucie, że żyją w systemie, który pęka, amerykański sen jest zaś zarezerwowany dla tych, którzy są bogaci już na starcie.**

## Oni nam ukradli amerykański sen

Za gniewem i żądzą odwetu na ludziach o odmiennym światopoglądzie i głoszących inne wartości stoi jednak o wiele więcej niż bieżąca polityka Białego Domu, choć bez wątpienia nasila ona akty przemocy. Amerykanów po obu stronach politycznego spektrum od dawna przecież trawi poczucie, że żyją w systemie, który pęka, amerykański sen zaś jest dzisiaj zarezerwowany wyłącznie dla tych, którzy są bogaci już na starcie. Donalda Trumpa wniosła do Białego Domu fala nadziei, że dzięki niemu skończy się ekonomiczna beznadzieja wyniszczająca Amerykę, zwłaszcza w szeregach opuszczonej przez demokratów klasy robotniczej i na prowincji. Bezradni wobec niewidzialnego „systemu" wyborcy Trumpa z ulgą odnaleźli się w narracji, w której sprawcy ich niedoli mają konkretną twarz: imigrantów, innowierców, genderystów, osób o odmiennym kolorze skóry. I można ich za to konkretnie zaatakować, w układzie „my kontra oni", w którym zresztą nader efektywnie funkcjonował Charlie Kirk.

Rzecz kolejna to niepokojące, rozczarowujące wskaźniki gospodarcze. Osiem miesięcy od inauguracji drugiej kadencji Trumpa Ameryka wciąż czeka na gospodarczy cud, podczas gdy wojny celne, które miały go zapewnić, zdają się pchać ją w odwrotnym kierunku. Najnowsze raporty biją na alarm, że rynek pracy od kilku miesięcy niebezpiecznie się zwija (w sierpniu gospodarka stworzyła tylko 22 tys. nowych miejsc pracy), a liczba osób pozostających na bezrobociu od sześciu miesięcy lub dłużej (to prawie 2 mln ludzi) jest



eprasa.pl 8076cc18d8

porównywalna z czasami pandemii (Bureau of Labor Statistics, sierpień i wrzesień 2025 r.).

Do tego wszystkiego rosną inflacja i ceny, a efektem przegłosowanej w lipcu One Big Beautiful Bill, Jednej Wielkiej Pięknej Ustawy, już teraz są skokowe podwyżki polis dla ubezpieczonych na rynku prywatnym. Szykowane jest również okrojenie dostępu do opieki medycznej dla warstw najsłabiej zarabiających, wynikające z częściowego cięcia kosztów w rządowym programie ubezpieczeniowym Medicaid. Trump wciąż cieszy się poparciem swojej twardej bazy MAGA, jednak systematycznie odnotowuje odpływ wyborców niezależnych, którzy go poparli w 2024 r., oraz zetek, w tym młodych mężczyzn (YouGov/Yahoo, 30 czerwca 2025 r.).

## Broń i algorytmy

„Nie jest tak, że ludzie z marszu angażują się w akty politycznej przemocy, ale gdy zaistnieją odpowiednie okoliczności, rośnie ryzyko, że zechcą użyć przemocy jako formy kary i odwetu", przestrzega Lilliana Mason, politolożka z Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa i współautorka książki „Radical American Partisanship: Mapping Violent Hostility, Its Causes, and the Consequences for Democracy" („Radykalna stronniczość polityczna w Ameryce. Brutalna wrogość, jej przyczyny i konsekwencje dla demokracji").

Dla Mason nie będzie więc zaskoczeniem, jeśli po zakończeniu śledztwa w sprawie śmierci Kirka dowiemy się, że oskarżony o to morderstwo Tyler Robinson należał do takiej właśnie grupy ludzi: wściekłych, oskarżających Kirka o sianie nienawiści, ale i zawiedzionych. Mało jest dowodów na to, że głosił radykalnie lewicowe poglądy. Pochodził przecież z przykładnej rodziny republikanów i od małego był entuzjastą broni.

Przywodzi nas to jednocześnie do ostatniego punktu w rozważaniach o tym, co napędza i co może jeszcze bardziej napędzać przemoc polityczną w USA. Barbara Walter, politolożka i historyczka z Uniwersytetu Kalifornii w San Diego oraz autorka bestselleru „How Civil Wars Start And How To Stop Them" („Jak wybuchają wojny domowe i jak je powstrzymać"), ma na to odpowiedź zawartą w dwóch słowach: broń i algorytmy.

Na każdego ze 100 mieszkańców w USA (w tym niemowlęta) przypada już dziś 120 sztuk broni. Większość morderców ma do niej legalny dostęp. Zabójstwo Kirka nie było jedyną tragedią, w której broń odegrała tego dnia główną rolę, choć media ledwie o tym napomknęły. W sąsiadującym z Utah stanie Kolorado mniej więcej w tym samym czasie 16-letni licealista urządził strzelaninę w swojej szkole. Ofiarami śmiertelnymi byli dwójka uczniów i on sam.

„Za radykalizacją polityczną, która często poprzedza akt przemocy, oraz polaryzacją ideową, która prowadzi do coraz większego upadku norm społecznych, odpowiada internet. Nie przypadkiem problem z mową nienawiści zaczął narastać od końca pierwszej dekady XXI w., gdy dostaliśmy do ręki smartfona i mogliśmy jeszcze bardziej zanurzyć się w media społecznościowe. Odkąd big techy odkryły, że najłatwiej utrzymać naszą uwagę, serwując informacje dające nam poczucie, że ktoś lub coś stanowi dla nas niemal śmiertelne zagrożenie – było po sprawie. Prawda jest taka, że gdyby nie algorytmy, morderca Kirka najprawdopodobniej byłby dziś studentem z przyszłością, a Charlie Kirk by żył", powiedziała Walter w podcaście Scotta Gallowaya „Civil War Ahead" (14 września 2025 r.).

Czy eskalacja przemocy oznacza, że Ameryka rzeczywiście może się znajdować w przededniu wojny domowej?

Specjalny zespół zadaniowy CIA badający zagrożenie krajów wojną domową już jesienią 2020 r., po tym jak Trump zanegował wyniki wyborów i ruszył z akcją „Stop the Steal", uznał Amerykę za anokrację i wpisał na listę krajów do obserwacji. Walter uważa, że sytuacja obecnie jest dużo gorsza.

„Ostatni raz, gdy mieliśmy do czynienia z porównywalnym do dzisiejszego ruchem uzbrojonych po zęby bojówek i milicji, które doprowadziły do zamachu bombowego w Oklahomie w 1995 r., społeczeństwo jednomyślnie potępiło ten akt przemocy jako niedopuszczalny, a FBI rozpoczęło agresywną akcję przeciwko tym ugrupowaniom, co doprowadziło do załamania się ich aktywności. Nic takiego nie ma dzisiaj miejsca, ani ze strony służb, ani społeczeństwa. Przeciwnie, słyszymy głosy, że już mamy wojnę i dobrze, bo trzeba się zemścić, wyeliminować wroga. To przerażająca dynamika. Jeszcze bardziej przerażająca jest jednak świadomość, że nie mamy w tej chwili polityków, którzy chcieliby powstrzymać to szaleństwo w racjonalny sposób. Nie ma ich po żadnej stronie", konkluduje prof. Walter.

*Eliza Sarnacka-Mahoney*


**Porozrywane Stany**

Błyskotliwa analiza „amerykańskiej duszy" i politycznych wyborów

**Eliza Sarnacka-Mahoney,** dziennikarka i pisarka związana z Polską i USA

58 zł

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
**Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską.


FOT. AP/EAST NEWS, AFP/EAST NEWS



eprasa.pl 8076cc18d8

# Początek końca skrajnej prawicy?

## Prezydent Argentyny mierzy się z porażką po wyborach prowincjonalnych

Wojciech Ganczarek
Korespondencja z Argentyny

To był nieduży motor o małej mocy. Łysy mężczyzna bez kasku trzymał się ramion młodszego kierowcy, który pędził wąską ulicą stołecznego przedmieścia. Tak z wiecu wyborczego uciekał José Luis Espert, rozpoznawalny poseł partii rządzącej. Ludzie drwili potem, że polityka schodzi na psy. Dawniej to było, proszę pana, dawniej to się helikopterami uciekało. Do zdarzenia doszło na obrzeżach Buenos Aires. Prezydent Javier Milei z siostrą Kariną ulotnili się samochodem terenowym. Sąsiadom z Lomas de Zamora nie spodobała się ani prezydencka wizyta, ani porcja obelg, jakie usłyszeli z ust Esperta, polityka blisko związanego z osobami uwikłanymi w świeżo nagłośnioną aferę łapówkową.

To właśnie po tej aferze poparcie dla niedawno utworzonej partii Javiera Mileia La Libertad Avanza (LLA, Wolność Idzie Naprzód) zaczęło spadać wyraźniej niż do tej pory. Na tyle, że 7 września w wyborach do parlamentu Buenos Aires, najludniejszej prowincji w kraju, LLA sromotnie przegrała (33,71%) z opozycyjnym lewicowym blokiem Fuerza Patria (47,28%). Czy to początek końca neoliberalnej restauracji?

### Wątróbka z cebulą

Fernando jest moim osobistym barometrem sytuacji społeczno-politycznej w Argentynie. Mieszka w zamożnej miejscowości Villa La Angostura. Lubi gotować, lubi jeść i z sumiennością godną lepszej sprawy dzieli się nagraniami wideo ze swoich weekendowych uczt. Gdy się poznaliśmy w pandemicznym 2020 r., oglądałem jego wołowe żeberka i matambre a la pizza – wysoce ceniony kawałek wołowiny z sosem pomidorowym i serem. Tak to wyglądało do 2023 r., kiedy Fernando po chwilowym romansie z wieprzowiną przerzucił się na pieczone kurczaki. Ostatnio coraz częściej widuję wątróbkę z cebulą i dania wegetariańskie. Wystarczająco często, by zacząć się martwić.

Gdy w lipcu tego roku wróciłem do Argentyny, w grupie znajomych nauczycieli akademickich mówiło się, że jedynym, który jeszcze kupuje wołowinę, jest Adam, Węgier. Reszta przerzuciła się na skrzydełka kurczaka i kaszę. A gdy Sergio, inżynier agronom i właściciel starej toyoty hilux, musiał nagle oddać samochód do naprawy, ze zdziwieniem zauważył, że nikt, nawet bogate siostry bliźniaczki, nie jest w stanie pożyczyć mu pieniędzy na zaliczkę dla mechanika.

To na prowincji. W stolicy nie byłem, ale ci, którzy jeździli, powtarzają, że podczas gdy anglojęzyczne dzienniki dla finansistów zachwycają się argentyńskim cudem gospodarczym, nawet w eleganckiej dzielnicy Belgrano zaroiło się od osób bezdomnych.

Co mówią liczby? Bezrobocie nie wzrosło drastycznie: z 5,7% pod koniec 2023 r. do 7,9% na początku 2025 r. W tym samym czasie wyrejestrowano 15 tys. małych i średnich przedsiębiorstw. Bramy na stałe zamknęły liczne zakłady przemysłowe, w ciągu roku ich produkcja spadła o prawie 10%. Kraj opuścili międzynarodowi gracze, wśród nich Exxon Mobil, HSBC, Procter & Gamble, Clorox, Mercedes Benz, Telefónica czy SHV Holdings (Makro). Francuski Carrefour wciąż szuka kupca, który przejąłby sklepy, a to pewnie dlatego, że dane dotyczące konsumpcji należą do najbardziej alarmujących. Argentyńczycy jedzą nawet o połowę mniej chleba niż półtora roku temu, 14 tys. piekarni zbankrutowało, poziom spożycia wołowiny jest najniższy od 20 lat, a sprzedaż w supermarketach w 2024 r. była o 17,3% mniejsza niż rok wcześniej. Powód: wysokie ceny, niskie zarobki i świadczenia oraz rosnąca niestabilność zatrudnienia.

Nauczyciele jeżdżą na Uberze, naukowcy i specjaliści emigrują, emeryci i renciści co tydzień w każdą środę manifestują niezadowolenie, a policja pod wodzą minister Patricii Bullrich sumiennie traktuje ich pałkami, strzela do nich gumowymi kulami i dusi gazem. W sierpniu tego roku minimalna emerytura wyniosła w przeliczeniu ok. 1,1 tys. zł, podczas gdy ceny podstawowych produktów



eprasa.pl 8076cc18d8

3% wartości każdego zamówienia na leki dla osób z niepełnosprawnościami miało trafiać do kieszeni Kariny Milei. Nz. protest w Buenos Aires, 12 września 2025 r.

żywnościowych są wyższe niż w Polsce. Za kilogram żółtego sera płaci się co najmniej 30 zł, 10 zł za kilogram chleba, 25 zł za kilogram wieprzowiny (podaję ceny poza stolicą). Jakby tego było mało, w ciągu pierwszego półtora roku rządów Javiera Mileia rachunki za prąd, gaz czy koszty transportu wzrosły o kilkaset (!) procent.

## Zaciskanie cudzego pasa

Trudną sytuację ekonomiczną Argentyńczyków władze tłumaczą koniecznością zaciskania pasa. Inaczej się nie da, powtarzają, chociaż nigdy nie przedstawiają na to dowodów. W imię oszczędności zamknięto lub sparaliżowano wiele instytucji, w tym argentyńską agencję prasową Télam, dyrekcję dróg krajowych, narodowy instytut technologii rolnictwa, instytuty teatru, ludności rdzennej czy wody. Pozostawiono bez finansowania instytucje kultury, uniwersytety i szpitale, w tym specjalistyczny ośrodek onkologii dziecięcej. Na to wszystko nie było pieniędzy, chociaż, owszem, starczyło ich na wielokrotne podwyższenie finansowania wywiadu, służb specjalnych czy na importowane pociski z gazem pieprzowym.

Z czasem entuzjaści rozmontowania państwa zaczęli odczuwać na własnej skórze, że zamykane instytucje powołano kiedyś w konkretnym celu. Dziś samochody, które w ostatnich miesiącach zmieniły właściciela, jeżdżą z rejestracjami drukowanymi w punkcie ksero, a tysiące Argentyńczyków mają problemy z przekraczaniem granic, bo niewidzialna ręka rynku nie radzi sobie ani z rejestracjami, ani z wyrabianiem dokumentów. Z gaszeniem pożarów lasów, łagodzeniem skutków powodzi czy łataniem dróg również miewa problemy.

Obietnica jest ta sama, co w latach 90. Wystarczy sprywatyzować firmy i usługi państwowe, a kraj – bez planu i strategii – sam z siebie zacznie się rozwijać. Czy temu rozwojowi rzeczywiście posłuży oddanie w prywatne ręce elektrowni wodnych i jądrowych? Czy świetlaną przyszłość w technologicznym XXI w. zapewni Argentynie zawieszenie projektu małych reaktorów modułowych CAREM i zamknięcie CEATSA – jedynej w regionie firmy zajmującej się próbami technicznymi satelitów i sprzętu wojskowego? Na razie efektów nie widać.

Trudno rozliczyć rząd Javiera Mileia z postępów w rozwoju, bo poza fantastyczną wizją, że będzie dobrze, nie przedstawiono żadnych konstruktywnych planów działania. Jedyną obietnicą, którą mogą zweryfikować wyborcy, jest obniżenie inflacji. Ta zaś w ogromnej mierze zależy od zmiennego kursu argentyńskiego peso do dolara.

Przed wyborami w prowincji Buenos Aires z początku września minister gospodarki Luis Caputo oferował bony dłużne z roczną stopą zwrotu na poziomie nawet 65% (!). Jeszcze do kwietnia tego roku zagraniczni inwestorzy mieli zagwarantowany kurs peso zależny od dolara z miesięczną dewaluacją rzędu 1% (mechanizm crawling peg). Wystarczyło zjawić się w Argentynie z dolarami, zamienić je na peso, za peso kupić bony dłużne, po roku zamienić je z powrotem na dolary po z góry znanym kursie i w ten sposób wypompować z kraju kilkudziesięcioprocentową przebitkę w twardej walucie (mechanizm carry trade).

I chociaż argentyńska produkcja szorowała po dnie, peso cieszyło się entuzjastycznym zainteresowaniem spekulantów, zwanych szumnie inwestorami. Jedyny problem polega na tym, że w pewnym momencie kończą się dolary na wypłacanie owym spekulantom wygórowanych odsetek. Wówczas trzeba po raz kolejny prosić o pożyczkę Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Argentyna jest dziś najbardziej zadłużonym w MFW krajem na świecie. Druga jest ogarnięta wojną Ukraina, a i tak należności Kijowa są cztery razy niższe niż długi władz w Buenos Aires.

12 września Ceyla Pazarbasioglu, dyrektorka departamentu strategii, polityk i kontroli MFW, ogłosiła rezygnację. To ta sama urzędniczka, która w kwietniu krytykowała kolejną pożyczkę dla Argentyny, oceniając, że nowy kredyt będzie praktycznie nie do spłacenia. „Ta operacja jest jeszcze bardziej nieuczciwa niż w 2018 r.”, miał powiedzieć portalowi



eprasa.pl 8076cc18d8

La Política Online jeden z urzędników MFW. Przypomnijmy: 7 czerwca 2018 r. MFW podpisał z Argentyną rządzoną przez Mauricia Macriego umowę kredytową na 50 mld dol. To najwyższa suma w historii instytucji. Ministrem finansów tamtej ekipy był ten sam Luis Caputo. Pożyczki udzielono wbrew regułom MFW i w wyniku wyraźnej presji prezydenta Donalda Trumpa.

Po co dawać pieniądze komuś, kto nie będzie w stanie ich oddać? Wiedzą o tym dobrze latynoamerykańscy chłopi. Zmusza się ich do pracy w majątkach ziemskich i w kopalniach za pomocą długu na ubrania i alkohol, zaciągniętego u samego pracodawcy.

Podczas gdy miejska opinia publiczna żyje oburzeniem z powodu zamknięcia kolejnej instytucji kluczowej dla życia społecznego (opozycja) lub pieje z radości na widok cierpienia ludzi zwalnianych z pracy w owych instytucjach (zwolennicy rządu), na dalekiej prowincji trwa ofensywa górnicza. W całym kraju pojawiają się nowe projekty górnicze i reaktywowane są starsze. Tym chętniej, że mocodawcy są zwolnieni z podatków i odpowiedzialności za środowisko naturalne, ale mają priorytet w dostępie do wody. Najczęściej inicjatywy te wywołują otwarty konflikt z lokalnymi społecznościami.

## Pierwsza rana

Rządowi Mileia szło do tej pory zaskakująco gładko. Zastraszani i od czasu do czasu przekupywani posłowie opozycji głosowali jak trzeba, a nawet przyznali prezydentowi specjalny przywilej rządzenia przez dekrety. Ale pod koniec sierpnia tego roku do opinii publicznej trafiły nagrania, na których Diego Spagnuolo, były dyrektor Narodowej Agencji ds. Niepełnosprawności i bliski przyjaciel posła Esperta, wyjaśnia schemat łapówek, który miał funkcjonować w umowach na dostawy leków dla osób niepełnosprawnych. Padły konkretne liczby: 3% wartości każdego zamówienia miało trafiać do kieszeni Kariny Milei, siostry prezydenta. Informacja wyszła na jaw w momencie, gdy w miastach trwały masowe manifestacje przeciw prezydenckiemu wetu wobec ustawy o sytuacji kryzysowej osób z niepełnosprawnościami.

**Argentyna jest dziś najbardziej zadłużonym w MFW krajem na świecie.**

Fakt istnienia schematów łapówkowych nie dziwi. Wspomniane 3% z kontraktów medycznych to i tak niewiele w porównaniu z miliardami, które wypompowują z Argentyny specjaliści od carry trade, tacy jak instytucja finansowa J.P. Morgan, w której pracowali m.in. minister gospodarki Luis Caputo, prezydent Banku Centralnego Santiago Bausili czy sekretarz ds. polityki gospodarczej José Luis Daza. Interesujące w przypadku afery łapówkowej Kariny Milei jest to, że pozwolono o niej mówić. Przez pierwszy tydzień sprawę omawiały wszystkie największe media, w tym wierne rządowi „Clarín", „La Nación" czy telewizja TN. Do tamtego momentu cichy pakt był aż nazbyt widoczny: ani słowa o problemach, skandalach i szemranych powiązaniach Mileiów w kraju i za granicą. Ale pakt upadł i arogancki na co dzień poseł Espert musiał uciekać na motorze. Niedługo później partia La Libertad Avanza doznała pierwszej dotkliwej porażki w wyborach. „Wolnościowym" władzom nie przyszło do głowy nic lepszego, jak zabronić rozpowszechniania wiadomości dotyczących łapówek, ale nie uspokoiło to nastrojów społecznych.

Gdy drapieżniki zwęszą krew, zaczynają tropić ofiarę. Gabinet Mileia krwawi i ci, którzy do tej pory chowali głowę w piasek, ośmielili się zadać pierwsze ciosy. Sąd w La Placie wstrzymał dekret zmierzający do prywatyzacji Banco Nación. Sąd Federalny w San Martín wstrzymał zwolnienia w narodowym instytucie technologii rolnictwa, a w Mendozie uratował przed tym samym losem pracowników instytutu ds. produkcji wina, dumy argentyńskiego interioru. W końcu Kongres odrzucił weto Mileia w sprawie ustawy o sytuacji osób z niepełnosprawnościami.

Dlaczego pakt o niekrytykowaniu Mileia został złamany? Komu pokrzykujący prezydent przestał być potrzebny? Czy kciuk skierowany w dół pokazali producenci soi, dla których argentyńskie peso jest zbyt silne i w przeliczeniu na dolary zyski z eksportu są dla sojeros niezadowalające? Czy do głosu doszły niedobitki rodzimego przemysłu, fabrykanci, którzy nie są w stanie konkurować z tanim importem zalewającym kraj? Takie historie są znane. Wydarzyły się w Argentynie w latach 1976-1983 oraz między rokiem 1990 a 2000, kiedy ówczesny prezydent Fernando de la Rúa uciekł z Casa Rosada helikopterem Sikorsky S-76B.

26 października w Argentynie odbędą się częściowe wybory parlamentarne. Argentyńczycy wybiorą na nowo połowę posłów i jedną trzecią senatorów. Jeśli ekipa Mileia zdoła utrzymać lub powiększyć liczbę miejsc w Kongresie, media zapomną o aferach, dziennikarze udadzą, że nic się nie stało, i pozostanie mieć nadzieję, że MFW przyzna Argentynie kolejny kredyt na spłatę poprzedniego. Jeśli koalicja La Libertad Avanza osłabnie, może to być początek końca rządu spekulantów.

*Wojciech Ganczarek*



eprasa.pl 8076cc18d8

Oko w oko

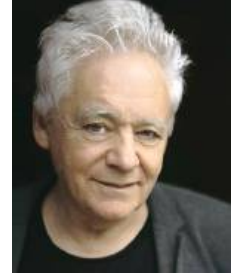

Tomasz Jastrun

# Wszystko dla demokracji

Nalot dronów na Polskę nie tylko przypomniał o tym, że wojna na wschodzie nas dotyczy. Ujawnił też, jak wiele jest zakutych łbów. Ale przecież powiedziały nam o tym już wybory, głosy na Brauna i Nawrockiego. Teraz to niemal w 100% ich wyznawcy snują teorie spiskowe: te drony to ukraińska robota, chcą nas wciągnąć w wojnę. Ale przecież nawet moi znajomi, którzy mają sporo oleju w głowie, po „dronowym deszczu" zachowują się niemądrze. Znajoma kazała mężowi kupować nasiona, przede wszystkim grochu, by sadzić na balkonie na czarną godzinę, poza tym postanowiła kupić we Włoszech mieszkanie, by być dalej od wschodniej granicy. W sklepie słyszę, jak klientka rozmawia z ekspedientką, gdzie najlepiej uciekać, uzgadniają, że poza Europę.

Gigantyczny wir fałszywych informacji w sieci, kłamstw i nonsensów ukazuje, jak powszechny jest brak rozumu. Więcej tego niż kiedyś? Nie, teraz po prostu głupota i zła wola mają potężne narzędzia, by się upubliczniać. Gdyby dawne pokolenia dysponowały internetem, strach pomyśleć, co by pisano. Teraz głos wybitnego intelektualisty waży w sieci tyle samo, ile głos durnia. Dureń i szaleniec zalewany jest milionem informacji, ale wybiera te, które współgrają z jego głupotą lub ją karmią.

Tusk i Nawrocki zostali wyciągnięci w środku nocy z łóżek i zaraz się spotkali, by radzić, co robić, aby ratować naród. To było bliskie i ciepłe spotkanie, jak bywa w środku nocy, gdy mroźny podmuch ze wschodu, a ma się jeszcze pamięć kołdry. Wielki niepokój prezesa, co z tego wyniknie, z tej nagłej bliskości, i bieda, bo przespał smacznie tę noc, podobnie jak noc stanu wojennego.

•

Siedzę na pięknym rynku w Wejherowie, piję kawę, a do ciastka dobierają mi się gołębie – takiej ptasiej bezczelności jeszcze nie doświadczyłem. W tym rynku jestem zakochany. Ratusz, a z boku barokowy kościół. Lubię tam siedzieć i sączyć z wolna harmonię architektury.

Longin Skrzypiński i jego żona Danusia jak co roku robią piknik rodzinno-polityczny. Longin założył Fundację Wspólnie Do Demokracji. Ma niezwykły dar ściągania do Wejherowa wyjątkowych ludzi. Bywał tu Adam Michnik, co dało nam szansę pogodzić się po wielu latach. Adam gniewał się na mnie dłużej, niż nabiera mocy przedawnienie za zabójstwo. Teraz znowu przyjechał Waldemar Żurek, nowy, niezwykły minister sprawiedliwości, który zabrał się do sprzątania stajni Augiasza. Z Waldkiem spotykam się tu rok po roku. Jest ciepły i uczciwy. Pojawili się znani działacze dawnej Solidarności, dygnitarze władz samorządowych, znani prawnicy. Jest nawet ministra zdrowia. Wielka feta w parku, gdzie scena i liczne stragany ze wszystkim. Żurek ciągnie za sobą trzech ochroniarzy, nie jest tym zachwycony, bo to w dzień i w nocy kaftan bezpieczeństwa, ale Tusk tak zadecydował.

Nazajutrz Gdańsk, w biegu, Europejskie Centrum Solidarności. Jestem tu po raz pierwszy, „zardzewiały budynek" jak wielki, stary okręt. Obok bramy stoczni las stoczniowych żurawi i pomnik Poległych Stoczniowców z trzema krzyżami. Pamiętam, jak architekt rysował ten pomnik w stoczni na kartonie podczas sierpniowego strajku. Jest tu mozaika nowej architektury, która interesująco miesza się ze starą. Potem do ratusza na wystawę „Nasi chłopcy" o Polakach wcielonych do Wehrmachtu. Jaką trzeba być polityczną kreaturą, by robić nagonkę na tę wystawę, że antypolska, co czyniła prawica.

Później Teatr Szekspirowski. Wzruszenie, pamiętam, jak prof. Jerzy Limon, mógł być rok 1995, umówił się ze mną na spotkanie w nadziei, że pomogę mu zdobyć pieniądze na budowę tego teatru. Miał taką, zdawało się, zupełnie szaloną ideę. Wierzył naiwnie w moje szwedzkie koneksje. Pomogła mu Unia Europejska. I sen Limona stał się rzeczywistością.

Wzruszające listy od Żurka, już z podróży, o tym, że czyta moje opowiadania. Dałem mu „Trąbę powietrzną". Nie wiedziałem, jak sformułować dedykację, podpowiedział, by wpisać: „Trzymaj się", co uczyniłem. Pisze, że po raz pierwszy od czasu, kiedy jest ministrem, czyta coś innego niż pisma prawnicze. Dzięki temu czuje się lepiej, nie tak przygnieciony ogromem zadań i wielkim urzędem. Jego entuzjazm wobec tych opowiadań to viagra na moją impotencję twórczą.

•

Ukończyłem 75 lat. Jak w to uwierzyć? Dziwne uczucie, że jestem nadal młody, ale ten młody jest zmuszony dźwigać na swoich barkach starego. Umarł Robert Redford, poczułem się tym osobiście dotknięty, i tego dnia umarła Daniela, córka poetów Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego, spotykałem się z nią dawno temu w Nowym Jorku. ■

**Najlepsze życzenia!**

**Naszemu felietoniście Tomaszowi Jastrunowi z okazji 75. urodzin składamy serdeczne życzenia zdrowia, niesłabnących sił twórczych i kolejnych lat pełnych literackich inspiracji. Oby nigdy nie zabrakło tematów, które wywołują tyle emocji i skłaniają do dyskusji.**

*Jerzy Domański i zespół „Przeglądu"*

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

**Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl**



eprasa.pl 8076cc18d8

# POLACY DO POLSKI

## W zeszłym roku w więzieniach na Wyspach przebywało ponad 900 obywateli Polski

Zuzanna Muszyńska

Kiedy brytyjskie ministerstwo spraw wewnętrznych opublikuje przed końcem roku dane dotyczące narodowości przestępców, będziemy się wstydzić za naszych. W opinii dziennika „The Telegraph" w statystykach dominować będą Albańczycy, Rumuni i Polacy. W aresztach Anglii i Walii przebywa ponad 10 tys. cudzoziemców, spośród których najwięcej pochodzi z Albanii (11%), Polski (8%) i Rumunii (7%). Osoby tych narodowości najczęściej deportowano z Wielkiej Brytanii w 2024 r.

Polacy na Wyspach mają na koncie wyjątkowo brutalne przestępstwa. Współczesne niewolnictwo, makabryczne morderstwa, przestępstwa seksualne, liczne przypadki przemocy domowej i przestępczość zorganizowana przyczyniły się do negatywnego postrzegania Polonii w brytyjskich mediach i stały się argumentem w dyskusji o deportacjach zagranicznych przestępców.

### Kozioł ofiarny

Polki i Polacy boją się stygmatyzowania po ujawnieniu danych. Wzrostu uprzedzeń wobec migrantów obawiają się również organizacje praw człowieka. Fizza Qureshi z Migrants' Rights Network uważa, że nagłaśnianie narodowości cudzoziemców, którzy popełnili przestępstwa, jest „rażącym przejawem szukania kozła ofiarnego". James Wilson z organizacji wspierającej przetrzymywanych w aresztach imigracyjnych w podobnym tonie komentuje decyzję rządzących: „Mniej niż rok po zamieszkach przeciwko azylantom rząd ryzykuje podsycanie dalszych podziałów (…) i uprzedzeń w naszych społecznościach".

W latach 2015-2025 w brytyjskich sądach skazano ok. 36 tys. Polaków. W zeszłym roku w więzieniach na Wyspach przebywało ponad 900 obywateli Polski. Należy jednak pamiętać, że Polacy mają znacznie niższy wskaźnik przestępczości niż średnia brytyjska (4-5 skazanych na 1 tys. Polaków rocznie wobec 12 skazanych na 1 tys. Brytyjczyków).

Dlaczego rząd chce publikować dane o narodowości przestępców? Konserwatywna opozycja uważa, że laburzyści ulegli presji opinii publicznej. Robert Jenrick, obecny sekretarz sprawiedliwości w gabinecie cieni, mówi: „Wreszcie zobaczymy twardą rzeczywistość – masowa migracja napędza przestępczość w naszym kraju". Źródła rządowe twierdzą, że zapowiadana publikacja danych to skutek przebudowy resortowych systemów statystycznych, które dotychczas nie podawały szczegółowych informacji na temat obywatelstwa przestępców. „The Guardian" wskazuje, że rządząca Partia Pracy chce zmniejszenia poparcia dla partii Nigela Farage'a Reform UK, która sporo namieszała w wiosennych wyborach do władz lokalnych.

Nigel Farage jeńców nie bierze. Mówi, że w ciągu ostatnich 20 lat przestępczość stała się powszechna w całej Wielkiej Brytanii, kraj stoi „w obliczu upadku społecznego", a jej dotychczasowe badania w Anglii i Walii były „oparte na całkowicie fałszywych danych". Szef antyimigranckiej Reform UK twierdzi, że „ludzie boją się chodzić do sklepów" i „wypuszczać z domu swoje dzieci". Zdaniem Farage'a w wielokulturowym Londynie ubywa turystów i bogaczy. Gdyby został premierem (jego partia prowadzi obecnie w sondażach), to – jak twierdzi – przewietrzyłby wypełnione po brzegi więzienia, wysłał groźnych przestępców za granicę, aby odbyli wyroki m.in. w Kosowie, Estonii i Salwadorze, oraz przeniósł zagranicznych więźniów do kraju ich pochodzenia. Brzmi znajomo?

### Deportuj teraz

Wyrzucić wszystkich tych, którzy przyjechali i nabałaganili. Nie wpuszczać nowych, szczególnie tych z małych łodzi – przywrócenie kontroli nad swoimi granicami przez rząd Wielkiej Brytanii było jednym z kluczowych zagadnień referendum w sprawie brexitu w 2016 r. – i jest nim nadal. W przededniu referendum „Daily Mail" informował, że przestępczość wśród imigrantów w Wielkiej Brytanii wzrosła w ciągu pięciu lat o prawie 40%. Pierwsze miejsce na niechlubnej liście skazanych zajmowali Polacy, za nimi Rumuni. 700 wyroków tygodniowo wobec migrantów z Unii Europejskiej budziło wątpliwości, czy rozszerzenie Unii było dobrym pomysłem. „Wolność przemieszczania się prowadzi do dziesiątek tysięcy przestępstw popełnianych każdego roku", mówił Jack Montgomery, członek

**Deportacjom towarzyszą hasła o „ochronie społeczeństwa przed niebezpiecznymi przestępcami" i „oszczędnościach dla brytyjskich podatników".**



eprasa.pl 8076cc18d8

Kwiaty na miejscu zbrodni w Hounslow w Londynie, gdzie Michał W. w czerwcu 2023 r. popełnił rodzinobójstwo – zabił żonę, dwójkę dzieci, a na końcu siebie.

eurosceptycznej grupy kampanijnej Leave.EU.

Z danych na koniec 2024 r. wynikało, że na deportacje w Wielkiej Brytanii oczekiwało ponad 19 tys. osób. W latach 2010-2023 deportowano ponad 66 tys. zagranicznych przestępców, w tym dużą grupę Polaków (tu również nie można ustalić ich dokładnej liczby, ponieważ brytyjskie statystyki nie podają szczegółowych informacji co do przyczyn deportacji w podziale według obywatelstwa).

Rząd zaostrza politykę deportacyjną: program „Deportuj teraz, odwołaj się później" [od wyroku], pozwalający na przyśpieszone odsyłanie do ojczyzn cudzoziemców, którzy popełnili przestępstwa i przebywają w więzieniach w Anglii i Walii, zanim będą mogli odwołać się od decyzji brytyjskiego sądu, właśnie rozszerzono z 8 do 23 krajów pochodzenia. Według najnowszych przepisów większość zagranicznych więźniów może zostać deportowana po odbyciu 30% kary, a nie, jak dotychczas, po odbyciu jej połowy. Docelowo rząd chce pójść dalej i wprowadzić natychmiastowe deportacje więźniów obcego pochodzenia. Przepisy nie obejmują terrorystów, morderców ani skazanych na dożywocie. Deportacjom cudzoziemców towarzyszą hasła o „ochronie społeczeństwa przed niebezpiecznymi przestępcami" i „oszczędnościach dla brytyjskich podatników". Koszt utrzymania jednego więźnia w brytyjskim więzieniu to ok. 50 tys. funtów rocznie.

Rosnąca populacja więźniów w połączeniu z brakiem nowych więzień wywiera presję na system. W sierpniu zeszłego roku w całym kraju w celach były wolne zaledwie 83 miejsca. W październiku z powodu przepełnienia więzień ponad 1,1 tys. osadzonych w Anglii i Walii wypuszczono po odbyciu zaledwie 40% zasądzonego wyroku (nie dotyczy to skazanych za ciężkie przestępstwa, przestępstwa seksualne i terroryzm), co wzbudziło wiele kontrowersji.

Brexit już był, deportacje więźniów przyśpieszają. Zeszłoroczne protesty po zamordowaniu przez ciemnoskórego 17-latka trzech dziewczynek w Southport przerodziły się w antyimigracyjne i antyislamistyczne zamieszki – straszenie obcymi działa niezawodnie. Dotyka m.in. Polaków, także tych ciężko pracujących, którzy miewają pod górkę, co mogą zawdzięczać równie ciężko pracującym na złą opinię Polonii przestępcom z Polski.

## Polskie bestie

Zabójstwa z użyciem przemocy są wśród Polaków przyczyną 25-30% skazań. Jedna z najnowszych i najbardziej makabrycznych zbrodni została popełniona przez 42-letniego Marcina M. z Manchesteru. W marcu 2024 r. zabił młotkiem swojego 67-letniego współlokatora Stuarta Everetta, a następnie poćwiartował jego ciało na 27 części, które przewoził autobusami komunikacji miejskiej i rozrzucał w różnych zakątkach aglomeracji manchesterskiej. Do tej pory odnaleziono zaledwie jedną trzecią ciała. M. próbował ukryć zbrodnię, wysyłając z telefonu ofiary wiadomości do krewnych o tym, że Stuart przebywa w szpitalu z powodu udaru, a nawet wysłał kartkę urodzinową do brata zabitego.

W marcu br. M. został skazany na dożywocie z możliwością ubiegania się o zwolnienie po 34 latach. Sędzia określił sprawcę jako osobę mającą „obsesję na punkcie przemocy i makabry".

Po zabójstwie czteroletniego Daniela Pełki z Coventry w 2012 r. media porównały wygląd chłopca zakatowanego przez matkę i jej partnera do ofiary obozu koncentracyjnego. Dziecko zmuszano do picia roztworu soli, podtapiano w wannie z zimną wodą, głodzono i bito. W chwili śmierci czterolatek ważył zaledwie 10,5 kg – tyle, ile półtoraroczne dziecko. Zmarł z powodu urazu głowy. Oprawcy zostali skazani na dożywocie z minimalną karą 30 lat więzienia. Mariusz K. zmarł w więziennej celi w 2016 r., Magdalena Ł. pół roku wcześniej popełniła samobójstwo, dokładnie w dniu urodzin syna.



eprasa.pl 8076cc18d8

Imigranci z Polski, obok licznych przypadków maltretowania dzieci, znajdują się też w czołówce przestępstw popełnianych na tle seksualnym. Seryjny gwałciciel Rafał B. został skazany na dożywocie za sadystyczne gwałty na dwóch Polkach. 40-latek posługiwał się fałszywymi dokumentami. W 2011 r. zgwałcił kobietę w Polsce, ale przed odbyciem kary (dwa i pół roku więzienia) uciekł do Wielkiej Brytanii. Swoje ofiary poznawał przez portale randkowe, a następnie związywał je, wielokrotnie gwałcił, a same ataki filmował.

Za szczególnie brutalne przestępstwa seksualne skazano na 14 lat więzienia „polską bestię" z Hull. 36-letni Polak skrępował ofierze ręce taśmą klejącą i przez kilka godzin „upokarzał i wykorzystywał w przerażający sposób". Sędzia Paul Watson uznał to za „jedną z najgorszych spraw", z jakimi miał do czynienia w swojej 40-letniej karierze. Podkreślił, że sprawcy „nie chodziło o zaspokojenie seksualne, ale o poniżenie, upodlenie i władzę".

W niedzielę 14 sierpnia 2011 r. 30-letni Damian R. zamordował sześć osób: żonę i dwoje własnych dzieci (nz.), teścia oraz przyjaciółkę żony z córeczką.

## Zawodowcy

Do Polaków należy także kolejny niechlubny rekord – stworzyli największy w historii Wielkiej Brytanii gang trudniący się współczesnym niewolnictwem. Został on rozbity w 2019 r. Ośmiu Polaków skazano na kary od 3 do 11 lat więzienia za wykorzystywanie co najmniej 400 rodaków. Przestępcy zwozili do Anglii bezdomnych, byłych więźniów i alkoholików, zabierali im dokumenty, zmuszali do pracy za grosze (czasem za 50 pensów dziennie). Sędzia Mary Stacey podczas procesu w Birmingham Crown Court określiła tę organizację przestępczą jako „najambitniejszą, najrozleglejszą i najwydajniejszą sieć powiązanych ze sobą szeroko zakrojonych spisków (…)".

W wyniku śledztwa prowadzonego pod kryptonimem „Operacja Fort" przez trzy lata przez West Midlands Police stwierdzono, że zorganizowana grupa przestępcza składała się z członków dwóch polskich rodzin przestępczych. Ofiary miały od 17 do ponad 60 lat. Gang zarobił na nich w latach 2012-2017 ponad 2 mln funtów, podczas gdy ofiary otrzymywały zaledwie 20-40 funtów tygodniowo za 12-godzinne dni pracy.

Przestępcy używali sieci rekruterów w północno-wschodniej Polsce. Podchodzili do ludzi przed sklepami monopolowymi, schroniskami dla bezdomnych lub pod bramami więzień i oferowali pracę. Każdej ofierze mówiono, że może zarobić 250-400 funtów tygodniowo z zapewnionym noclegiem i wyżywieniem.

Na terenie Anglii gang używał 32 wynajętych nieruchomości. Część domów nie miała ogrzewania, ciepłej wody, urządzeń kuchennych czy mebli. Ofiary zachęcano do szpiegowania się nawzajem w zamian za więcej jedzenia, przenoszono je między nieruchomościami późno w nocy, wywołując uczucie dezorientacji. Oszukiwano, mówiąc, że ich status w Wielkiej Brytanii jest nielegalny, mimo że byli obywatelami UE z prawem pobytu i pracy. Dwóm osobom, które skarżyły się na złe traktowanie, kazano wykopać własne groby w lesie. Jedną, rozebraną do naga, w obecności pozostałych pracowników polano jodyną chirurgiczną i powiedziano jej, że usuną jej nerki, jeśli nie będzie cicho.

Ofiary gangu pracowały w centrach recyklingu odpadów, na farmach, w fabrykach przetwórstwa spożywczego, fabrykach patroszenia indyków, w magazynach i przy sortowaniu paczek.

Za wykorzystywanie polskich obywateli do pracy przymusowej i tworzenie sieci współczesnego niewolnictwa skazano również polski czteroosobowy gang z Tyneside, którego członkowie otrzymali wyroki od 5 do 12 lat. Liderów kolejnego polskiego gangu zajmującego się handlem ludźmi i stręczycielstwem skazano na kary od 18 miesięcy do 8 lat więzienia. Gang działał w latach 2015-2021 – zidentyfikowano ponad 300 potencjalnych ofiar, spośród których 134 kobiety zostały uratowane i objęte ochroną. Większość ofiar pochodziła z Polski. Liderzy gangu prowadzili domy publiczne, m.in. w Londynie.

Polacy odgrywali także kluczową rolę w międzynarodowym handlu narkotykami. Nielegalne substancje przewożono między Holandią a Wielką Brytanią. Narkotyki przemycano w zapasowych oponach ciężarówek, pralkach i lodówkach. Byli też

**W latach 2010-2023 deportowano ponad 66 tys. zagranicznych przestępców, w tym znaczącą liczbę Polaków.**



FOT. PRESS ASSOCIATION/EAST NEWS, REX FEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl 8076cc18d8

zaangażowani w rozbudowane oszustwa podatkowe typu „karuzela".

## Co się zdarzyło na rajskiej wyspie

W niedzielę 14 sierpnia 2011 r., po powrocie na wyspę Jersey ze spędzonego w Polsce urlopu, 30-letni Damian R. zamordował sześć osób. Zajęło mu to zaledwie kwadrans. Ofiarami byli: żona Izabela (30 lat), dwoje własnych dzieci – pięcioletnia Kinga i dwuletni Kacper, teść Marek (56 lat), przyjaciółka żony i jej córeczka. Sprawca użył dwóch kuchennych noży, zadając każdej ofierze po kilkanaście ciosów. Zbrodnię poprzedził kryzys małżeński – żona wyznała, że miała romans.

Do feralnej niedzieli wyspa Jersey uchodziła za najbezpieczniejsze miejsce w Zjednoczonym Królestwie, a może nawet w całej Europie – piszą w książce „Głosy. Co się zdarzyło na wyspie Jersey" (Czarne 2019) Ewa Winnicka i Dionisios Sturis.

Wyspiarze szczycą się tradycją ratowania i przyjmowania wszystkich, których zniesie na Jersey prąd morski lub los. Polacy przybywali na wyspę od końca ubiegłego stulecia do prac sezonowych – najpierw na polach, przy zbiorach serwowanych w Buckingham Palace ziemniaków Jersey Royal, później w hotelach i restauracjach. W 2011 r. stanowili już 3% populacji wyspy, która jest cztery razy mniejsza od Warszawy. W ziemniaczano-hotelowym sezonie było ich nawet 8 tys. Razem z imigrantami z portugalskiej Madery i Kenii stanowili podporę obu branż.

Damian R. pracował na budowie – należał do wyspiarskiej Polski A. Lepsze zarobki, mieszkanie z ogródkiem w stolicy raju podatkowego – Saint Helier. Żona zajmowała się dziećmi.

R. mógł, jak piszą autorzy, obejrzeć podczas przeprawy promem z Francji relację BBC z pogrzebu w Norwegii – trzy tygodnie wcześniej Anders Breivik zamordował 77 osób: dzieci i nastolatków. Breivik ujawnił, że do czynu pchnął go wewnętrzny głos, który zwracał uwagę na zalew lewactwa, rasową nieczystość i zdradę wartości. Obrońcy Polaka również skupili się na głosach, które R. miał słyszeć m.in. w radiu. Prokurator był innego zdania. „On tych ludzi dobijał", twierdził podczas procesu. Świadek zeznał, że w pewnym momencie R. zmienił sposób trzymania noża, tak by lepiej było mu atakować. Sąd uznał, że R. cierpiał na ciężką depresję, ale wiedział, co robi. Skazał go na 30 lat pozbawienia wolności za każde z sześciu zabójstw (wyroki miały biec równolegle).

R. trafił do Więzienia Jego Królewskiej Mości Full Sutton, gdzie wyrok odsiadywał zabójca Daniela Pełki, Mariusz K. Dzieciobójca imigrant mówiący po angielsku z akcentem zajmuje miejsce na samym dole więziennej drabiny społecznej. K. wytrzymał w Full Sutton niespełna trzy lata. Koledzy z sąsiadujących cel sugerowali, że jeśli sam się nie zabije, pomogą mu w tym. Próbował, ale go odratowano. Ostatecznie zmarł na zawał serca. Damian R. odebrał sobie życie w 2018 r., w wieku 37 lat.

O polskim nożowniku pisały serwisy informacyjne na całym świecie. W „Guardianie" R. był „męskim szowinistą", który „wolał zabić, niż pozwolić żonie odejść". W polskich mediach „załamywano ręce nad ofiarami i biednym góralem, który chciał wrócić w rodzinne strony, ale oszukał go zły deweloper. Oraz żona". Dzieci na Jersey miały pytać: czy zły pan chce mnie zabić? Czy sąsiad z Polski jest zły?

## To skomplikowane

Kiedy powstawała książka o tragedii polskiej rodziny na Jersey, Polki stanowiły – według statystyk policyjnych – jedną czwartą wszystkich ofiar przemocy domowej w Wielkiej Brytanii. Następne na liście były Albanki. Tylko w pierwszych pięciu miesiącach 2018 r. w samym północnym Londynie zginęły cztery Polki. Zostały zamordowane przez polskich partnerów.

Damian R. miał wyznać koledze z Polski, że „zagranica to jest bagno" – można wyjechać, zarobić pieniądze. On siedział na Jersey tylko dla kasy. Czekał na moment, kiedy wróci albo do Bydgoszczy, albo do Nowego Sącza i kupi mieszkanie. „Za granicą traktują nas jak śmieci", mówił. Sturis i Winnicka w reportażu wspominają o licznych zaburzeniach psychiatrycznych zdiagnozowanych u osób, które wyjechały z Polski. Emigracja jest pułapką i niektórzy widzą z niej tylko jedno wyjście?

„Każdy czasem wpada w dołek – nie musisz siedzieć w nim sam", można przeczytać po polsku w ulotce „Dołek budowlańca", kolportowanej w ostatnim czasie na terenie londyńskiej gminy Hounslow, m.in. w polskich sklepach. Kampania ma na celu psychiczne wsparcie mężczyzn z branży budowlanej. Długie godziny pracy, napięte terminy, kryzysy w związkach, zadłużenie i uczucie izolacji mogą sprawić, że ludzie czują się zdesperowani, sięgają po narkotyki, alkohol lub hazard. Z ankiety przeprowadzonej wśród 920 budowlańców wynikało, że 94% doświadczyło w ciągu ostatniego roku stresu, 83% lęku, a 60% depresji. Jeden na czterech (28%) ankietowanych miewał myśli samobójcze. W branży budowlanej zatrudniony był Michał W. z Hounslow, który w czerwcu 2023 r. popełnił rodzinobójstwo – zabił żonę, dwójkę dzieci, a na końcu siebie.

Gmina chce pomagać mieszkańcom, rząd chce wygrać kolejne wybory. Bycie Polakiem w Anglii po publikacji danych o narodowości przestępców może stać się problemem. Brytyjczycy owinięci we flagi z czerwonym krzyżem już dziś protestują przed hotelami zamieszkanymi przez azylantów – jutro poszukają kozłów ofiarnych wśród innych mniejszości. A wtedy, mówiąc na ulicy po polsku, lepiej będzie ściszyć głos.

*Zuzanna Muszyńska*

**W październiku ub.r. z powodu przepełnienia więzień ponad 1,1 tys. osadzonych w Anglii i Walii wypuszczono po odbyciu zaledwie 40% zasądzonego wyroku.**



eprasa.pl 8076cc18d8

# ZBRODNIE kolonializmu europejskiego

## Nowożytny kolonializm w XIX i XX w. pochłonął życie milionów ludzi na całym świecie

Bohdan Piętka

Wielkie odkrycia geograficzne na przełomie XV i XVI w. otworzyły epokę europejskiego kolonializmu, która trwała aż do drugiej połowy XX w. i była naznaczona brutalną przemocą oraz eksploatacją podbijanych ziem i ludów. Omówienie wszystkich zbrodni europejskiego kolonializmu przekracza ramy artykułu, skupię się zatem na najbardziej drastycznych zbrodniach epoki kolonializmu w XIX w. i pierwszej połowie XX w.

Był to okres intensywnego rozwoju kapitalizmu. W poszukiwaniu nowych rynków zbytu, tanich surowców i darmowej siły roboczej mocarstwa europejskie wyruszyły na podbój Afryki i Azji. Dzięki eksploatacji podbijanych terytoriów największe państwa Europy Zachodniej zbudowały swoją potęgę gospodarczą i polityczną.

### Niemieckie ludobójstwo w Afryce

Jednym z tych państw były Niemcy, które dość późno, bo dopiero po zjednoczeniu w 1871 r., rozpoczęły ekspansję kolonialną w Afryce. Dlatego Berlin już na wstępie przegrał rywalizację z Brytyjczykami i Francuzami w „wyścigu o Afrykę". Miało to później konsekwencje w skierowaniu niemieckiej ekspansji na Europę, co skutkowało I i II wojną światową. W Afryce Niemcy zdobyły tylko cztery kolonie: Niemiecką Afrykę Południowo-Zachodnią (1884, obecnie Namibia), Niemiecką Afrykę Wschodnią (1885, obecnie Tanzania, Burundi i Rwanda), Togoland (1884, obecnie Togo) i Kamerun Niemiecki (1884). Na obszarze Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej miało miejsce pierwsze ludobójstwo XX w., jak określa się zagładę ludności Herero i Nama w latach 1904-1908.

Na początku 1904 r. plemię Herero pod wodzą Samuela Maharera zbuntowało się przeciwko niemieckiej kolonizacji ich terytorium. Powstańcy zabili ok. 100 niemieckich kolonistów. W odpowiedzi Berlin wysłał w sierpniu 1904 r. 15-tysięczny korpus ekspedycyjny, na którego czele stanął gen. Lothar von Trotha. Zastosował on strategię spalonej ziemi i przeprowadził typową akcję eksterminacyjną, przypominającą późniejsze zbrodnie hitlerowskie. W bitwie pod Waterbergiem von Trotha pokonał powstańców, ale celowo pozwolił im wymknąć się z okrążenia. Następnie zepchnął rebeliantów wraz z towarzyszącymi im rodzinami na skraj pustyni Omaheke (zachodnia część pustyni Kalahari), gdzie zostali otoczeni i pozbawieni dostępu do źródeł wody pitnej. Przez dwa miesiące schwytani w pułapkę Hererowie umierali z pragnienia i głodu. Każdy, kto próbował się zbliżyć do źródeł wody, był zabijany przez niemieckich żołnierzy.

Niemieccy lekarze eugenicy prowadzili na więźniach z Shark Island rasowe badania medyczne.

Pomimo rozkazu cesarza Wilhelma II, nakazującego przerwać akcję pacyfikacyjną, von Trotha kontynuował zagładę Hererów. Tych, którzy przeżyli, kazał umieścić w obozach koncentracyjnych i oznaczyć symbolem GH (Gefangene Herero).

Największy obóz powstał na Wyspie Rekinów (niem. Haifischinsel, ang. Shark Island) w Zatoce Lüderitza. W latach 1904-1908 zginęło w nim co najmniej 3,5 tys. Hererów, których zmuszono do niewolniczej pracy przy budowie linii kolejowej prowadzącej z Zatoki Lüderitza do Keetmanshoop. Wielu w okrutny sposób zamordowali niemieccy koloniści. W 1908 r. zostało już tylko ok. 15 tys. z 80 tys. Hererów żyjących w 1904 r. Zamordowano też ok. 10 tys. osób z plemienia Nama, które wznieciło rebelię w 1905 r.

Niemieccy lekarze eugenicy, np. późniejszy współtwórca teorii wyższości „rasy nordyckiej" oraz współautor hitlerowskiej koncepcji zagłady Żydów i Romów Eugen Fischer czy współodpowiedzialny za przeprowadzenie w III Rzeszy akcji T4 Fritz Lenz, poddawali więźniów z Shark Island rasowym badaniom medycznym. 778 głów odciętych jeńcom Herero i Nama wywieziono do Berlina, gdzie posłużyły niemieckim lekarzom do tworzenia pseudonaukowych publikacji z dziedziny teorii i higieny rasy. Polityczny popyt na takie publikacje wzrósł szczególnie po 1933 r.

To nie był jedyny związek ludobójstwa Hererów i Nama z hitleryzmem. W szeregach ruchu nazistowskiego znalazło się wielu weteranów, którzy na początku XX w. tłumili powstania tych afrykańskich ludów czy służyli na froncie tureckim podczas



eprasa.pl 8076cc18d8

W Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej miało miejsce pierwsze ludobójstwo XX w. Nz. Hererowie schwytani i pilnowani przez żołnierza niemieckiej Schutztruppe, 1904 r.

I wojny światowej i byli świadkami tureckiego ludobójstwa Ormian. Ich relacje nie tylko dostarczyły Hitlerowi wiedzy na temat technicznej strony organizacji ludobójstwa, ale również utwierdziły go w przekonaniu, że taką zbrodnię można popełnić bezkarnie.

## Koszmar w Kongu

Niemiecką wojnę eksterminacyjną w Afryce Południowo-Zachodniej inne mocarstwa kolonialne uznały za przypadek ekstremalny. Nie rozumiano mordowania tubylców, których można wykorzystać jako darmową siłę roboczą. Ale tę darmową siłę roboczą też wyniszczano. Skrajnym tego przykładem było Kongo.

Zanim w 1908 r. formalnie powstało Kongo Belgijskie, istniało tam od 1885 r. tzw. Wolne Państwo Kongo – prywatna kolonia króla Belgów Leopolda II Koburga. Ogromny obszar w sercu Afryki, 2 mln km kw., został oddany belgijskiemu monarsze na mocy ustaleń konferencji berlińskiej z lat 1884-1885, która regulowała sprawy kolonizacji Afryki. Zgodnie z deklaracją Leopolda II pod jego patronatem miała się rozwinąć w Kongu działalność misjonarska i filantropijna. Faktycznie zaś Wolne Państwo Kongo stało się obiektem brutalnej nawet jak na standardy XIX-wiecznego kolonializmu eksploatacji połączonej z wyniszczeniem rdzennej ludności. Władzę w kolonii przejęły powiązane z belgijskim monarchą spółki, które prowadziły rabunkową gospodarkę przy pozyskiwaniu kauczuku i kości słoniowej.

Mieszkańcy każdej wioski musieli dostarczyć wyznaczoną ilość kauczuku w określonym terminie. Pilnowało tego wojsko kolonialne złożone z Afrykanów pod belgijskim dowództwem – Force Publique. Praca przy pozyskiwaniu kauczuku w dżungli była niezwykle ciężka i niebezpieczna. Żeby zmusić do niej tubylców, brano jako zakładników ich rodziny i stosowano na masową skalę terror. Kobiety wzięte jako zakładniczki były bezkarnie gwałcone przez żołnierzy Force Publique. Dzieciom odcinano dłonie lub stopy, jeśli ich ojcowie nie dostarczyli wymaganej ilości kauczuku. Symbolem belgijskiego okrucieństwa stał się chicotte – bat ze skóry hipopotama, wyciętej w długą, ostro zakończoną spiralę. Było to podstawowe narzędzie kaźni belgijskich nadzorców. Niezwykle brutalne rządy kolonialne mogły doprowadzić do zmniejszenia się populacji Konga w latach 1885-1920 nawet o połowę, czyli o 8 mln ludzi.

Ekspansja kolonialna prowadziła zawsze do destabilizacji politycznej i społecznej. Wojnom kolonialnym i ekspedycjom karnym towarzyszyły degradacja lokalnej gospodarki i kultury, usuwanie tubylców z ich dotychczasowych siedzib oraz epidemie chorób mających dotychczas charakter endemiczny.

We francuskiej Algierii okrutne ekspedycje karne trwały przez ćwierć wieku (1830-1856). Liczba ludności tubylczej zmniejszała się w tym okresie o 0,8% rocznie. Ponadto w latach 1866-1870 mieszkańcy tej kolonii zostali zdziesiątkowani w wyniku suszy i epidemii różnych chorób. Trwały wzrost demograficzny zaczął się tam dopiero po 1870 r.

Arenami pochłaniających ogrom ofiar wojen były Sudan, kolonie francuskie w Afryce Zachodniej oraz Afryka Wschodnia. Niejednokrotnie mordercze walki ciągnęły się latami. Tak było m.in. w Bugandzie (obecnie Uganda), gdzie w latach 1893-1899 Brytyjczycy zbrojnie narzucili swój protektorat i dokonali okrutnej pacyfikacji, oraz w Sudanie, gdzie wojska brytyjskie od 1881 do 1899 r. tłumiły powstanie mahdystów. Uporały się z nim dopiero w wyniku ekspedycji karnej lorda Horatia Kitchenera i zwycięskiej bitwy pod Omdurmanem 2 września 1898 r. Dysproporcja strat w tej bitwie – 48 zabitych po stronie brytyjskiej i ok. 9,7 tys. po stronie powstańców sudańskich – pokazuje charakter typowej wojny kolonialnej. W bitwie pod Omdurmanem uczestniczył młody Winston Churchill. Służba w koloniach (brał udział także w II wojnie burskiej, 1899-1902) w znaczący sposób ukształtowała jego mentalność polityczną i stała się dźwignią kariery.

## Włoska inwazja i okupacja Etiopii

Przykładem szczególnie bezwzględnej wojny kolonialnej była inwazja faszystowskich Włoch na Cesarstwo Etiopii (3 października 1935-9 maja 1936 r.), jedyne państwo afrykańskie, które nie zostało skolonizowane aż do lat 30. XX w. Włosi

FOT. EAST NEWS



eprasa.pl 8076cc18d8

próbowali podbić Etiopię już w drugiej połowie XIX w., ale zostali pokonani przez cesarza Menelika II w bitwie pod Aduą (1 marca 1896 r.). Do planów podboju powrócił Mussolini.

Włoski najazd na Etiopię cechowała brutalność i bezwzględność znana z późniejszych agresji faszystowskich. Na obraz tej wojny składały się masowe bombardowania, ostrzał ciężkiej artylerii oraz mordowanie ludności cywilnej. Długotrwały opór niedostatecznie uzbrojonych wojsk etiopskich pod wodzą cesarza Hajle Syllassjego I złamało dopiero użycie przez Włochów fosgenu i iperytu. Zginęło 4350 Włochów oraz ok. 4,5 tys. wspierających włoskie wojska Askarysów (żołnierzy tubylczych wojsk kolonialnych z Erytrei i Somali Włoskiego).

Potworne zbrodnie europejskich mocarstw kolonialnych nigdy nie zostały osądzone.

Straty etiopskie wyniosły niemal 70 tys. żołnierzy i co najmniej 120 tys. cywilów. Była to ostatnia wojna kolonialna w Afryce, która jednak przewyższała okrucieństwem wszystkie poprzednie. Również włoska okupacja Etiopii w latach 1936-1941 była niezwykle brutalna i pochłonęła ok. 600 tys. ofiar. W odwecie za opór partyzantki etiopskiej bestialsko masakrowano ludność cywilną. Po nieudanym zamachu z 19 lutego 1937 r. na generalnego gubernatora i wicekróla Rodolfa Grazianiego włoscy faszyści zamordowali ok. 30 tys. Etiopczyków, w tym prawie całą nieliczną inteligencję (tzw. masakra w Addis Abebie). Około 35 tys. Etiopczyków zginęło w utworzonych przez okupanta obozach koncentracyjnych, 24 tys. stracono z wyroków sądów doraźnych, a ok. 300 tys. zmarło w wyniku zniszczenia ich wiosek.

Szwajcarsko-irański historyk Bouda Etemad oszacował, że w latach 1750-1913 w wojnach kolonialnych zginęło lub zmarło w następstwie chorób 280-300 tys. żołnierzy z Zachodu. Do tego doliczył 120 tys. poległych z tubylczych formacji wojsk kolonialnych (tzw. Askarysów). Liczbę azjatyckich i afrykańskich wojowników, którzy zginęli w walce z kolonizatorami, Etemad określił na 0,8-1 mln. Pozostałe straty wśród kolonizowanych ludów Afryki i Azji są trudne do oszacowania.

W następstwie epidemii chorób przywleczonych przez Europejczyków ludność Tahiti zmalała w 1881 r. do 6 tys., czyli do jednej dziesiątej populacji z 1769 r. Populacja Kanaków we francuskiej Nowej Kaledonii zmniejszyła się w drugiej połowie XIX w. o 70%. Na Fidżi tylko w 1875 r. epidemia grypy pochłonęła jedną czwartą z ok. 250 tys. mieszkańców. W latach 1803-1876 ludność Tasmanii zmalała z ok. 2 tys. osób do zera. Spośród 1,1 mln rdzennych Australijczyków, którzy w 1788 r. żyli na kontynencie, w 1860 r. pozostało 340 tys. Podczas tzw. gorączki złota w latach 1848-1860 populacja tubylczych ludów Kalifornii spadła ze 100-250 tys. do 25-35 tys. osób.

Najtragiczniejsze skutki, szacowane na co najmniej 28 mln ofiar, przyniosły głód i epidemie w latach 1860-1921 w Indiach Brytyjskich. Tak wysokiej śmiertelności nie można wytłumaczyć masakrami kolonialnymi. Była ona rezultatem przyśpieszonej modernizacji (budowy sieci kolejowych, wielkich systemów nawadniających itd.), której towarzyszyły nagły wzrost mobilności i urbanizacja dokonująca się w skrajnie złych warunkach higienicznych, co sprzyjało szerzeniu się malarii i innych chorób.

## Zagłodzony Bengal

Tragicznej klęski głodu Indie Brytyjskie doświadczyły też podczas II wojny światowej. Do tragedii doszło w latach 1942-1944 w Bengalu (teren dzisiejszych wschodnich Indii i Bangladeszu). Klęska głodu, która pochłonęła od 2 mln do 4 mln ofiar, była do uniknięcia, ale rząd brytyjski nic w tym celu nie zrobił. Kiedy wiosną 1942 r. wojska japońskie opanowały Birmę, w Bengalu pojawiło się ok. 1 mln uchodźców z Birmy i Syjamu (dzisiejszej Tajlandii). Dodatkowo równowaga żywnościowa regionu została naruszona przez przesunięcie tam licznych wojsk brytyjskich oraz słabe zbiory ryżu spowodowane przez tajfuny. Gubernator prowincji John Herbert postanowił oczyścić sąsiadujące z Birmą obszary z wszystkiego, co mogłoby pomóc Japończykom w ewentualnej inwazji. Dlatego wojsko i policja skonfiskowały lub spaliły kilkadziesiąt tysięcy rowerów i łodzi, zniszczyły także setki kilometrów torów kolejowych. Doprowadziło to do unicestwienia lokalnego rybołówstwa, co pogłębiło rozmiary klęski głodu.

Gabinet wojenny Winstona Churchilla nie reagował. Churchill był zdecydowanym przeciwnikiem niepodległości Indii i nigdy nie ukrywał niechęci do mieszkańców subkontynentu. Słabe, głodujące i wewnętrznie skłócone Indie jawiły się w jego cynicznej kalkulacji jako kraj łatwy do kontrolowania. „Hindusi tylko mnożą się jak króliki i kosztują nas milion funtów dziennie, a nic nie robią, by wesprzeć nas w wojnie", powiedział na posiedzeniu swojego gabinetu. Dopiero nowy gubernator generalny i wicekról Indii, marsz. Achibald Wavell, opanował w połowie 1944 r. klęskę głodu w Bengalu.

Nowożytny kolonializm tylko w XIX i XX w. pochłonął życie milionów ludzi na całym świecie. Potworne zbrodnie europejskich mocarstw kolonialnych nigdy nie zostały osądzone. Dzisiaj w niemałej mierze są zapomniane. Przesłoniły je dramatyczne wydarzenia i ofiary XX w.

Czołowe państwa Zachodu zbudowały swoje bogactwo na niezliczonych ofiarach, cierpieniu i degradacji rdzennych mieszkańców Ameryki Łacińskiej, Afryki, Azji, Australii i Oceanii. W drugiej połowie XX w. kolonializm został zastąpiony neokolonializmem, który w wielu wypadkach utrwalił peryferyjny status i pogłębił problemy cywilizacyjne wybijających się na niepodległość narodów Afryki i Azji.

*Bohdan Piętka*



eprasa.pl 8076cc18d8

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

# Kaj staje siódemka

Zbyszek Rokita zaś napisał „Kajś". No, prawie – jego nowa książka o Górnym Śląsku została sporządzona jako forma sylwiczna, oprócz fragmentów eseistycznych o historii regionu i jego geopolitycznym usytuowaniu znajdziemy tu części dramatów, krótkie prozy, a także zdjęcia Arka Goli, największego spośród fotografów, w których Śląsk się przegląda. Rzecz nosi tytuł „Aglo" – pod taką samą nazwą Rokita z Golą robią co roku w Bytomiu najbardziej śląski z festiwali literackich. Aglo – od aglomeracji, konurbacji górnośląskiej, którą Rokita nazywa swoją domowiną, używając słowiańsko-łużyckiego odpowiednika niemieckiego heimatu. Liczące ponad 2 mln mieszkańców śląsko-dąbrowskie wielomiasto jest czwartą co do liczebności metropolią Unii Europejskiej, po Berlinie, Madrycie i Rzymie.

I ja w tym molochu się urodziłem, odchowałem, zakładałem i rozkładałem rodziny (piyrszo libsta z Chorzowa, piyrszo ślubno z Gliwic), a jako zapiekły antysamochodziarz przez cztery dekady przemierzałem go komunikacją miejską, najczęściej tramwajami, czyli po śląsku banami. To w nich podsłuchiwałem ludzi, wsłuchiwałem się w ich opowieści i tak się zebrało i wzięło całe to moje pisanie z bany wyjęte, z godek i plotek tłumu śląskiego, w który wciśnięty przejeżdżałem kolejne dzielnice. Rokita przemierza Aglo siódemką, królową śląskich banek, najdłuższą na Śląsku 46-przystankową trasą z Katowic, przez Chorzów i Świętochłowice, aż do Bytomia. Jeździłem nią sześć lat na uniwersytet, to była moja linia przesiadkowa, kiedy akurat czterdziestka zjeżdżała do zajezdni, przesiadałem się w Batorym; mieszkałem też pół roku przy chorzowskim dworcu kolejowym, nad wiecznie remontowanym torowiskiem siódemki, mam z tą trasą przejechane dnie i nieprzespane przez nią noce, czytam więc książkę Rokity nostalgicznie, bo to moje rewiry opisuje z okna banki.

Na przykład katowicki plac Wolności z wysokim, pustym cokołem usytuowanym centralnie: „Za Cesarstwa Niemieckiego był to pomnik niemieckich cesarzy, za II Rzeczpospolitej – powstańców śląskich, za III Rzeszy – żołnierzy Wehrmachtu, a za PRL – żołnierzy sowieckich. Co jakiś reżim przychodził do Katowic, stawiał na placu Wolności swoich bohaterów. Sołdaci wytrzymali długo, do 2014 roku, ale od tego czasu najatrakcyjniejszy cokół w Aglomeracji stoi pusty. Katowiczanie posłuchali Stanisława Jerzego Leca, który w »Myślach nieuczesanych« radził: »Burząc pomniki, oszczędzajcie cokoły. Zawsze mogą się przydać«. Nie ma bowiem lepszej metafory losów Śląska niż pusty cokół. Mariusz Szczygieł przytoczył kiedyś słowa praskiego taksówkarza: »Wy, Polacy, lubicie być pomnikiem, a my lubimy być gołębiem«. Wtedy pomyślałem sobie, że uzupełnieniem będą Ślązacy: przypadła im rola cokołów, na których inni stawiają swoje pomniki".

Analogicznie z oszczędności i zmiennych kierunków wiatru historii wzięła się nazwa mojej rodzinnej dzielnicy – Chorzowa Batorego. Założoną w XIX w. Bismarckhütte trzeba było po I wojnie światowej przemianować, ale tak, aby się zachowało logo uznanej firmy, czyli litera B w koronie. Potrzeba było jakiegoś polskiego króla, więc ostatecznie w ramach polonizacji padło na… Węgra.

Jadę z Rokitą i wysiadać mi się nie chce, jadę i wspominam zapachy mojego dzieciństwa, a raczej smrody zakładów koksochemicznych, hut i kopalń – podobnie jak Kazimierz Kutz o tym, że powietrze jest przezroczyste, dowiedziałem się, dopiero kiedy pierwszy raz wyjechałem poza Aglo.

Erwin Sówka, najwybitniejszy śląski artysta organiczny, twierdził, że Ślązacy „siedzą na drugim Słońcu na chwilę przed odpaleniem", bo gdyby ta bryła węgla szeroka na kilkadziesiąt kilometrów i głęboka na kilometr rozgorzała, mielibyśmy rozbłysk drugiego Słońca – to jest moc energii, z której tutejszy lud czerpał siłę, wedle mistyka z Zawodzia. Sówka przefedrował 35 lat na kopalni, w monochromatycznej, mrocznej przestrzeni, dlatego jego obrazy były takie kolorowe – górnik wyjeżdżający na powierzchnię widzi świat w intensywnym nasyceniu barw.

Rokita uparcie docieka w swoich tekstach, kim jest właściwie Homo Silesius. W „Aglo" odważnie rewiduje kwestię powstań śląskich, w oficjalnym polskim dyskursie historycznym przedstawianych w ciągu polskich zrywów narodowowyzwoleńczych, tymczasem była to nierzadko walka bratobójcza, coś na podobieństwo wojny domowej, bo przecież większość Ślązaków w plebiscycie opowiedziała się przeciw Polsce. Ślązakom nie tylko kulturowo bliżej było do Niemiec. Rokita jest też dociekliwy w kwestii przymusowych wcieleń, bo niektórzy „dziadkowie z Wehrmachtu" wracali z wojny z odznaczeniami i nie otrzymali ich za kelnerowanie w oficerskiej kantynie. Przywołuje stary śląski wic, który w krainie „dziadków z Wehrmachtu" był wcale akuratny, mnie go opowiadał ojciec, kiedy pytałem o zdjęcia dziadka Józefa w niemieckim mundurze (dziad ze strony ojca miał szczęście, bo służył we Francji, taty mojej mamy, dziadka Alojza, nie ominął ostfront): „Kaj żeś był na wojnie? W AK. W Armii Krajowej? Nie, w Afrika Korps".

Czyta się tę mądrą książkę świetnie, cieszę się, że mój kamrat wciąż pisze o naszej wspólnej domowinie z niewyczerpaną energią, najżwawiej zaś wtedy, gdy rzecz zahacza o „fusbalozofię", której obaj oddajemy się wiernie, każdy po swojemu, każdy w swoich dystryktach, ale obaj z umiłowaniem dla śląskiej piłki.

■



eprasa.pl 8076cc18d8

# Komediowy dotyk Machulskiego

## Oglądanie filmów to inwestycja czasu. A nasz czas jest bezcenny

Rozmawia Jan Tracz

### JULIUSZ MACHULSKI

**Juliusz Machulski** – jeden z najpopularniejszych reżyserów w historii polskiego kina, producent filmowy, aktor, scenarzysta i autor poczytnych kryminałów. W jego filmografii znajdziemy m.in. „Seksmisję", „Vabank", „Kilera", „Kingsajz" czy „Szwadron". Założyciel Studia Filmowego Zebra. Niedawno premierę miała jego długo oczekiwana kontynuacja komedii „Vinci". Nakładem Wydawnictwa Sonia Draga ukazał się właśnie wywiad rzeka z reżyserem („3174 filmy mojego życia"), który przeprowadził Krzysztof Varga.

**Jaki jest ostatni film, który pan obejrzał?**

– „F1" z Bradem Pittem w reżyserii Josepha Kosinskiego.

**I jak?**

– Nie byłem dobrym widzem dla tego filmu, wolałem „Ferrari" Michaela Manna, bo tam był lepszy scenariusz i mogłem się związać z bohaterami. A tutaj to bardziej kino o zmianie kół bolidów niż o ich kierowcach. Drugi „Top Gun" Kosinskiego sprawił mi znacznie większą radość. Był nawet lepszy od oryginału. Ale najlepszy film Kosinskiego, jaki widziałem, to „Tylko dla odważnych" – porażająca i wzruszająca produkcja o amerykańskich strażakach.

**Zastanawiam się, czy emocje przy obcowaniu z kinem są u pana nadal te same. Czy to wciąż ta najwyższa forma rozrywki jak np. 50 lat temu?**

– Tak mi się wydaje – inaczej ta zabawa nie miałaby sensu. Na pewno dziś inaczej odbieram filmy. Kiedy jako dzieciak zaczynałem chodzić do kina, zachwycałem się nim w zupełnie inny sposób. Pierwszy western, film akcji, wojenny, o piratach… Tamte emocje zapamiętam na całe życie. Ale gdy obejrzałem w kinie kilka tysięcy filmów, coraz trudniej mnie zadowolić. Chociaż przyznam, że nadal staram się być takim naiwnym, dziecinnym widzem. Chcę zapomnieć o tym, że siedzę w kinie. Pragnę dać się porwać historii, wejść w ten świat na ekranie. Ostatni raz zdarzyło mi się to przy „Avatarze" Jamesa Camerona w 2009 r.

**Czyli 16 lat temu!**

– Poczułem się wtedy dzieckiem i bardzo ubolewałem, kiedy pojawiły się napisy końcowe, bo chciałem jeszcze posiedzieć w tym świecie. Ale to rzadkie przypadki, gdy aż tak daję się wciągnąć.

**Wciąż czuje się pan kinofilem?**

– Bardziej niż filmowcem. Choć wolę staroświecką nazwę kinoman.

**W jaki sposób objawia się u pana ta kinofilia? To potrzeba pochłaniania wszystkiego, co związane z filmem?**

– Dziś nie mam potrzeby oglądania każdego filmu, który wchodzi do kin. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy pójście do kina wiązało się z masą planowania i wyrzeczeń. W telewizji były tylko dwa programy, żadnych VHS, DVD, a platformy streamingowe istniały tylko w umysłach pisarzy SF. Dawniej każde wyjście do kina to było logistyczne przedsięwzięcie, pewnego rodzaju uroczystość, więc może dlatego te tytuły bardziej zapadały w pamięć. Pierwsze poważne filmy „dla dorosłych" obejrzane jeszcze w czasach liceum wspominam aż do teraz. „Nocny kowboj", „Zbieg z Alcatraz", „Absolwent", „Odyseja kosmiczna" pozostały ze mną na zawsze. Dziś, gdy jesteśmy bombardowani produkcjami ze wszystkich stron, nie zdobywa się już filmów, tylko je konsumuje. Przez to, że są na wyciągnięcie ręki, niejako tracą na wartości.

**Nieraz wspomina pan, że niektóre pomysły nieustannie wiszą w powietrzu. Kino już się powtarza? Przewiduje pan scenariusz, w którym filmy zaczną zjadać swój ogon?**

– To pytanie tak naprawdę dotyczy wszystkich dziedzin sztuki. Dla mnie kino jest od tego, abyśmy przeżyli coś nowego i oryginalnego. Kiedyś pojawił się Orson Welles z filmem „Obywatel Kane", następnie takim przełomem były po 50 latach „Wściekłe psy" Quentina Tarantino. Jeden i drugi zmienili na zawsze



eprasa.pl 8076cc18d8

filmowy sposób opowiadania. I dziś chyba potrzebujemy kolejnego takiego przełomu, bo sporo rzeczy już się powiela, jakby pisała je sztuczna inteligencja, a czasem wręcz sztuczna ćwierćinteligencja. Z drugiej strony przychodzą nowe pokolenia widzów, które zachwycają się remake'ami, bo nie miały okazji obejrzeć oryginalnych tytułów. Niezależnie od okoliczności zawsze wycukrują się filmy, które będą ważne dla wszystkich, bez względu na różnice pokoleniowe lub gust. Te zmiany zachodzą organicznie i dzięki temu kino wciąż może pozostać świeże. Tym bardziej że dziś nie ma „czystych" gatunków, jak to było jeszcze w poprzednim stuleciu. Dobrym przykładem jest tryptyk feministyczny, czyli „Barbie", „Substancja" i „Jutro będzie nasze". Każdy jest inny, a mimo to są podobne.

**W książce „3174 filmy mojego życia" wraca pan do pierwszych świadomie obejrzanych tytułów w kinie Śnieżka w Rabce. Pada tytuł „Być albo nie być" (1942) Ernsta Lubitscha o aktorach teatru planujących zamach w okupowanej Warszawie. Na ile jest to emblematyczny tytuł spośród filmów, które na pana wpłynęły? Bo dzieła Machulskiego to kino wyobraźni, nierzadko jednak osadzone w rzeczywistości.**

– Co ciekawe, jest tam grzech założycielski samego scenariusza, bo wojna w 1939 r. wybucha w filmie wieczorem, a nie o świcie. Ale Amerykanie nie musieli wtedy wszystkiego wiedzieć. Scenariuszowo było lepiej, żeby to się stało podczas wieczornego spektaklu (śmiech). Aczkolwiek to nie jest dla mnie film z tych naprawdę najważniejszych. Największe wrażenie wywarła na mnie „Mechaniczna pomarańcza" Stanleya Kubricka. Po seansie nie mogłem się od niej uwolnić – gdybym w 1972 r. nie wiedział, że chcę iść do szkoły filmowej, ten film na pewno by to spowodował. Na końcu książki podałem listę 50 tytułów, które „zmieniły moje życie". Do niej również odsyłam.

**Dzisiaj mówi się o tzw. dotyku Lubitscha, czyli estetyce narracyjnej reżysera, która sprawiała, że jego opowieści były szczere, życiowe, ale i nieco przesłodzone. Czy jest coś takiego jak komediowy dotyk Machulskiego? Pewien rodzaj wrażliwości, który moglibyśmy opisać słowami?**

– Czasem słyszę takie opinie. Ktoś mi mówi, że oglądał coś mojego i od razu wiedział, że to „film Machulskiego". Chociaż nie do końca rozumiem, na czym ten „mój dotyk" miałby polegać. Może chodzi o pewien rodzaj dystansu i ironii, który istnieje w moich filmach? I o to, że lubię swoich bohaterów? Zazwyczaj robiłem komedie lub kryminały, więc zakładam, że ten „dotyk Machulskiego" sprowadza się do odbioru mojego humoru, tego, w jaki sposób patrzę na świat. Jako młody reżyser zawsze uciekałem od otaczającej mnie rzeczywistości – w przyszłość, przeszłość, byle nie to, co za oknem (śmiech).

**W książce dwa razy wspomina pan jeszcze jeden tytuł, „Nauczyciela z przedmieścia" (1967) z Sidneyem Poitierem. To film o tym, że w wymagającym zawodzie można pozostać dobrym człowiekiem. Mawia pan, że reżyser zawsze powinien mieć klasę i traktować wszystkich z szacunkiem. Pan próbował trzymać się tej zasady przez całe życie. Czy szukanie takich paralel jest na wyrost?**

– Były takie filmy – jak właśnie ten – które unosiły duszę o kilka centymetrów i w jakiś sposób mnie uwzniosłały. Czasem kino, tak jak literatura, może zrobić coś z człowiekiem i zmienić jego spojrzenie na świat. I nie zapominajmy, że oglądając film, inwestujemy swój czas, a nasz czas jest bezcenny. Dlatego zawsze się cieszę, kiedy po dwóch godzinach w kinie czuję, że film rezonuje ze mną na wielu płaszczyznach emocjonalnych. Nigdy nie lubiłem zimnych, wykalkulowanych tytułów w rodzaju Jeana-Luca Godarda czy Larsa von Triera.

Nigdy nie jest za późno na eksperymentowanie.

**Zanim odejdziemy od dzieciństwa: pamięta pan pierwsze seanse z ojcem? Mówi się, że to są często definiujące momenty na linii rodzic-dziecko.**



eprasa.pl 8076cc18d8

– Wychowywałem się w aktorskiej rodzinie, więc to kino było z nami od zawsze. Ogromnie imponował mi zawód aktora, który pozwalał wcielać się w wiele życiorysów, de facto stawać się kimś innym. Janek – mój ojciec – lubił chodzić do kina jeszcze przed wojną i ten zwyczaj został z nim na całe życie. Mieliśmy w domu rytuał: co niedzielę wybieraliśmy się razem do kina. On wtedy zauważył, że interesowały mnie fotosy z filmu, które zawsze oglądałem także po seansie. Część to były zdjęcia scen, które nie weszły do filmu, i ja to zawsze wyłapywałem! Podobała mu się moja uważność. A uważność i wrażliwość na szczegóły są podstawą reżyserii. Kino było dla nas obu niezbędne do życia, a na sali kinowej byliśmy trochę jak kumple, którzy co tydzień spędzają wspólnie czas i stają się sobie coraz bliżsi.

**W serialu „Mad Men" jest scena, w której główny bohater Don Draper (Jon Hamm) po raz pierwszy idzie do kina ze swoim synem. Oglądają „Planetę małp" (1968) i ten rytuał powoduje, że Draper potrafi wreszcie spojrzeć na syna z ojcowską miłością. Pan podobno uwielbia seriale.**

– Tak, bo te najlepsze produkcje mają spokojny nastrój, skupiający się często na codzienności i rozwoju bohaterów. Ludzie wymyślają coraz ciekawsze rzeczy, zapełniają tzw. filmowe białe plamy. Choćby polskie „Matki pingwinów". Aż się zdziwiłem, że nikt wcześniej nie zajął się takim tematem! Albo „Infamia" – serialu o Romach nigdy w Polsce nie było. A „Mad Men" jest świetny, bardzo lubię Jona Hamma, znakomity aktor!

**Myśli pan, że seriale stały się substytutem kina środka?**

– Jestem wręcz o tym przekonany. Seriale mają jedną przewagę: opowiadają dłuższą historię, dzięki temu mogą być pogłębiane i jeszcze bardziej realistyczne. Ta nowa fala zaczęła się bodajże od „Rodziny Soprano". Czas przestał tam grać rolę: mieliśmy sceny, w których bohater może bezinteresownie patrzeć na kaczki w swoim stawie. I mimo że był to serial o gangsterach, nie napędzał akcji za wszelką cenę. Wielosezonowe seriale zaczęły być niczym dobre powieści, które dzięki dłuższemu trwaniu pozwalają nam lepiej zrozumieć bohaterów i zbliżyć się do nich. Ostatnio takim przełomem było „Dojrzewanie" na Netfliksie. Każdy odcinek jest nakręcony w jednym ujęciu, co stwarza iluzję, jakbyśmy uczestniczyli w tym, co się dzieje na ekranie. Dzisiejsza lekkość kamer, które są niezwykle mobilne, zmieniła filmowe obrazowanie raz na zawsze.

Kadr z filmu „Vinci 2".

Artystom zazwyczaj trudno się pożegnać z widzami. – Może trudno, ale trzeba próbować.

**Wspomina pan o fascynacjach Stanleyem Kubrickiem i Billym Wilderem. Jeśli już przyrównywać pana do innych twórców, to ja bym powiedział: polski George Cukor. To twórca klasycznych hollywoodzkich komedii i dramatów, o którym mówiło się „actor's director", czyli świetnie reżyserował aktorów. Pan ma nosa do castingu, ale tego tematu z Vargą nie poruszyliście do końca w książce. A pańskie kino stoi też rolami i tym, jak są obsadzone.**

– Zawsze zdawałem sobie sprawę, jak istotny może być casting. A dziś wiem, że po scenariuszu jest on najważniejszym elementem filmu. Jeśli rola jest dobrze napisana, a wykonawca do niej pasuje, to już po pierwszym dniu zdjęciowym dobry aktor wie więcej o swojej postaci niż scenarzysta i reżyser. Moja metoda zazwyczaj polegała na tym, że czekałem na to, co aktor przyniesie mi od siebie. Staram się za wiele sobie nie wyobrażać (i tym samym nie oczekiwać) poza takim mglistym azymutem, który sobie filmowo wyznaczam. Dokładnie obserwuję, w jaki sposób aktorzy zachowują się na planie. Widzowie tego nie wiedzą, ale najciekawsze rzeczy najczęściej wychodzą spontanicznie i intuicyjnie. Jednak najlepsza improwizacja jest wtedy, kiedy scena jest precyzyjnie napisana.

**Wierzy pan w chemię ekranową? Mamy przyjacielsko-braterską relację między Stuhrem i Łukaszewiczem w „Seksmisji".**

– W nowym „Vincim" taki flow mają Więckiewicz i Szyc. Ale to chemia, która się zrodziła już przy pierwszej części. Tak czy siak, zazwyczaj staram się obsadzać role, wykorzystując psychofizyczne warunki aktorki czy aktora. Pamiętam, jak dawno temu wypatrzyłem w teatrze Marcina Dorocińskiego i wiedziałem, że to jest facet, który ma potencjał aktora filmowego. Kiedy oglądałem „Czas apokalipsy", zauważyłem nieznanego jeszcze Harrisona Forda w trzecioplanowej roli. Miał tam kilkuminutową scenę, a ja pomyślałem,



FOT. ANDRZEJ BANAŚ/POLSKA PRESS/EAST NEWS, ADAM GOLEC/WARNER BROS. DISCOVERY

eprasa.pl 8076cc18d8

że takiego aktora chciałbym dłużej oglądać na ekranie. Bardzo się ucieszyłem, gdy zobaczyłem go kilka lat później już w głównych rolach w „Gwiezdnych wojnach" i „Indianie Jonesie". Gdy byłem młodszy, nie zdawałem sobie sprawy z tego castingowego „szóstego zmysłu". Obsadziłem w „Seksmisji" Jurka Stuhra, mimo że wszyscy mi go odradzali. I całe szczęście, bo to Jurek razem z Olem zrobili ten film.

**W rozmowie z Krzysztofem Vargą pojawia się też wątek mentorski: Jerzy Kawalerowicz był pańskim opiekunem w świecie filmowym, do którego wówczas pan wkraczał. Nie był w pełni do pana przekonany, aczkolwiek wierzył w pański zapał i umiejętności. Dziś bagatelizujemy to, że młody człowiek czasem potrzebuje takiego Kawalerowicza w swoim życiu. Zakładam, że to była szkoła życia dla pana.**

– Kawalerowicz to był człowiek filmu: nie tylko reżyser, ale i producent z krwi i kości. Gdyby nie uwierzył we mnie 45 lat temu, dzisiaj byśmy nie rozmawiali. Czytając scenariusz czy oglądając materiały z planu, wyłapywał takie niuanse, o których w życiu bym nie pomyślał. Nieustannie się od niego uczyłem.

**A czy dziś pan jest mentorem dla kogoś młodego? Doszło do tej wymiany pokoleniowej?**

– Obawiam się, że nie. Choćby przy serialu „Mały Zgon" współpracowałem z dwoma debiutującymi reżyserami, którzy robili wrażenie, że nie potrzebują żadnego wsparcia czy pomocy z mojej strony. I to nie oznacza, że efekt końcowy zawsze musiał być zły. Ale wiele scen mogło być lepszych, gdyby bardziej ze mną współpracowali. Ten brak potrzeby „swojego Kawalerowicza" wynika pewnie z czasów, w których żyjemy. Obserwujemy upadek autorytetów nie tylko w świecie filmu. Dziś każdy ma kamerę w telefonie, więc z automatu może zostać filmowcem. To po prostu inna rzeczywistość niż ta, w której zaczynałem.

**W tym roku skończył pan siedemdziesiątkę. Często zadaje pan sobie pytania, co by było, gdyby? Czy to jednak była kariera, z której udało się wycisnąć dosłownie wszystko?**

– Na pewno dałoby się więcej, ale zakładam też, że mogło być o wiele mniej. Jako reżyser jestem wystarczająco spełniony. Miałem bardzo dużo szczęścia. I myślę sobie, że to była satysfakcjonująca podróż.

**Czy ten zawód zaskakuje jeszcze pana w jakikolwiek sposób? Czy przy kręceniu „Vinci 2" miał pan taki moment, kiedy powiedział pod nosem: wow?**

– Jest tam sekwencja, która odkrywa pewne informacje poprzez ukazanie tej samej sceny z zupełnie innej perspektywy. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie zastosowałem, co udowadnia, że nigdy nie jest za późno na eksperymentowanie.

**I co dalej? W książce przyznaje pan, że 70 lat to moment, w którym powoli trzeba schodzić ze sceny. Artystom zazwyczaj trudno się pożegnać z widzami. Ale pan jest pewny swego.**

– Może trudno, ale trzeba próbować (śmiech). Nie mówię definitywnie, że to już wszystko. Tylko nie chcę sięgać po projekt, który nie spowoduje u mnie szybszego bicia serca. „Vinci 2" miał wartość dodaną. Robiliśmy coś podobnego po 20 latach i mogliśmy zobaczyć, w jaki sposób wszyscy się zmieniliśmy. Ale fizycznie reżyseria to ciężka praca i coraz bardziej to po sobie widzę. Dziś czuję się nasycony kinem, zarówno jako reżyser, jak i producent. Może coś jest na rzeczy – sam Tarantino mówi, że ósmy film będzie jego ostatnim. I potem się z nami pożegna. Jest ode mnie osiem lat młodszy, ale najwyraźniej i tak dochodzi do podobnych wniosków. A przecież my się z Quentinem nie zgadaliśmy (śmiech).

> Najlepsza improwizacja jest wtedy, kiedy scena jest precyzyjnie napisana.

**Mówi się, że pańskie kino jest ponadczasowe. Co powoduje, że film – niezależnie od gatunku – można określić w ten sposób?**

– Trudno powiedzieć, sam nie miałem w planach kręcenia evergreenów. Tytuły, które odpowiadają potrzebom widowni na dany moment w historii – „Człowiek z żelaza" Andrzeja Wajdy czy „Śmierć jak kromka chleba" Kazimierza Kutza – mają trudniej z przetrwaniem próby czasu. Inaczej będzie z filmem o przedwojennym kasiarzu, który z założenia już był „stary".

**W Stanach Zjednoczonych nadal oglądają „Żądło".**

– To właśnie miałem na myśli!

*Jan Tracz*

eprasa.pl 8076cc18d8

Wiesław Kot

## Robert Redford 1936-1925

# Blondyn XX wieku

### Najbardziej podziwiany amant filmowy stał się patronem kina awangardowego

Urodził się z sinicą i przez pierwsze dni nie było pewne, czy przeżyje. Za to już jako kilkulatek był najbardziej wygadanym i ruchliwym dzieciakiem w okolicy. Kiedy podrósł, praktykował z całą rodziną cotygodniowy rytuał: chodzenie do kina, ale także do biblioteki. „Jelonka Bambi" obejrzał przeszło 20 razy. Nie umiał jeszcze porządnie czytać, ale już sylabizował „Odyseję". Jego świat stanął na głowie, kiedy dowiedział się, że uwielbianego stryja w ostatnim roku wojny zastrzelił hitlerowski snajper. Po raz pierwszy zetknął się ze śmiercią. To był przebłysk „powagi życia", zwłaszcza że jako 10-latek zachorował na polio. Ale szybko się z tego otrząsnął.

## Rodzaj ekranowego piękna

Jako urodzony przystojniak zaczął mieć coraz większe powodzenie u dziewcząt, co bardzo mu się podobało. Po latach hollywoodzkie pisemka notowały, że gdy do wytwórni wchodził Robert, żeński personel wpadał w ekscytację. Tymczasem zaczął liderować bandzie podobnych sobie łobuzów. Wstawali przed świtem, pożyczali sobie piwo od sąsiadów, kąpali się w ich basenach i buszowali po okolicy, ukrywając się przed patrolami policji. Raz nie zdążył uciec, został zatrzymany.

Wkrótce przestał chodzić do szkoły, zamiast tego zajął się surfingiem. Próbował marihuany i haszyszu. Woził się podrasowanymi autami. Kiedy trafił na koncert młodego Elvisa, który śpiewał jeszcze jako support przed znaczniejszym wykonawcą, zrozumiał, że i on, z niebogatej rodziny, ma szansę. „Pomyślałem wtedy: no proszę, chłopak znikąd, z jakiejś zapadłej dziury, a potrafił dokonać czegoś takiego!".

Ciągle go nosiło. Zamiast postarać się o miejsce na którejś z rodzimych uczelni, pojechał do Paryża i zaczął studiować malarstwo. W wolnych chwilach przyłączał się do demonstracji przeciwko inwazji Związku Radzieckiego na Węgry. Wreszcie wrócił do Stanów i z głupia frant zaczął studiować w American Academy of Dramatic Arts na Manhattanie aktorstwo. Wybrał je, licząc na to, że podczas objazdów teatralnych po kraju będzie miał okazję malować różne okolice Stanów Zjednoczonych. Na tym zależało mu naprawdę. Uważano go za talent z dużymi możliwościami, choć nauczyciele aktorstwa wytykali mu złą dykcję, problemy z emisją głosu, to, że jego kwestie rozumieją tylko trzy pierwsze rzędy. Kolejne role teatralne ćwiczył na wszelki wypadek poza akademią, w Central Parku,

„Żądło" od początku zapowiadało się na przebój ekranów.



eprasa.pl 8076cc18d8

na ulicach, w samochodzie. No i grywał w klasykach: w „Antygonie" Sofoklesa czy w „Mewie" Czechowa.

Aktorstwo, jakiego wymagano od niego, wydawało mu się ogromnie skostniałe, więc zapisał się do Actors Studio Lee Strasberga, w którym kształcili się już Paul Newman, James Dean czy Geraldine Page. Zaczęły się występy w serialach – nawet w jednym kolorowym. Producentom przeszkadzała jednak zbyt ostentacyjna uroda Roberta. Brał każdą propozycję, bo telewizja dawała jakieś pieniądze, a w teatrze klepało się biedę.

Przyszła pora na przymiarki filmowe. W kinie mocniej zaznaczył się wówczas w filmie „Obława" Arthura Penna (1966), gdzie zagrał z młodszą o rok Jane Fondą. Tymczasem Ameryka była zaniepokojona kryzysem rakietowym, przerażona zabójstwem Kennedy'ego i wojną wietnamską. Zastrzelony został pastor Martin Luther King. Redford wyczuwał nowy rytm czasu: słuchał „Sierżanta Pieprza" Beatlesów, zapuścił włosy i próbował grzybków halucynogennych. A w przygotowaniach był już western „Butch Cassidy i Sundance Kid". Jedną z ról miał grać ówczesny król ekranu Paul Newman. Do roli Sundance'a przeznaczono Redforda.

Na planie zaiskrzyło między nimi od razu. Redford wspominał: „Nikt z nas nie miał poczucia, że robimy najważniejszy western końca lat 60., a mimo to powstało coś przełomowego". Teraz już o tego aktora, który bardzo się podobał zwłaszcza damskiej widowni, zaczęły się toczyć przetargi. Pisano, że to „jeden z największych skarbów kina, jak Clark Gable. Ten rodzaj ekranowego piękna powinni badać uczeni, bo rzecz jest w proporcjach i milimetrach, tak jak w uśmiechu Mony Lizy".

Na fali tarć politycznych zwróciła jego uwagę historia o kandydacie na gubernatora Kalifornii, manipulowanym przez całe otoczenie, spin doktorów i media. Kończyła się rewolucja hipisowska i film „Kandydat" opowiadał o buntowniku, który kiedyś tam spalił amerykańską flagę, potem wkładał kwiaty w lufy karabinów, a wreszcie zajął się na serio polityką. Zamierzał zmienić układ, ale w finale okazało się to układ połknął jego.

## Patron filmowców

Równolegle toczyła się inna historia. W 1961 r. Robert Redford i jego żona Lola kupili w stanie Utah hektar ziemi i wybudowali dom. Kiedy pieniędzy za wielkie filmowe role było więcej, dokupili jeszcze kilka tysięcy hektarów i nazwali to miejsce Sundance, dla upamiętnienia postaci, którą Robert zagrał w słynnym westernie.

Dwie dekady później, w 1980 r., Redford założył tu ośrodek promujący młodych filmowców. To miała być przeciwwaga dla Hollywood z jego wielkimi komercyjnymi kobyłami. Pracowano od podstaw: uczono się pisać scenariusze, kadrować, robić zdjęcia próbne i przygotowywać dystrybucję ukończonego filmu. W pierwszym roku działalności wystartowało tu 17 amatorów, którzy w trakcie burzliwych dyskusji uczyli się sztuki kręcenia filmu od zera. Do podziału mieli budżet wynoszący zaledwie kilka tysięcy dolarów. Kiedy jednak zjawili się sponsorzy, instytucja się rozrosła i można było mówić o alternatywnym ośrodku filmowym. Sam Redford zaś stał się światowym patronem kina niezależnego.

Na Sundance zarabiał jego ośrodek narciarski, restauracja, a z czasem firmowana przez niego linia odzieży w stylu Dzikiego Zachodu. Przełom nastąpił w 1989 r., kiedy z Sundance wyszedł film „Seks, kłamstwa i kasety wideo" Stevena Soderbergha. To zwróciło na całym świecie uwagę na Sundance i na propagowaną tu zasadę: pozwolić kręcić filmy początkującym artystom, by wyrażali siebie.

Wcześniej ośrodek w Sundance rozrastał się i wymagał nowych dotacji. Właśnie z tego powodu Redford przyjął rolę w filmie, który zapowiadał się na przebój ekranów – w kryminalnej komedii retro „Żądło". Występowali tu dwaj gwiazdorzy, Redford i Newman, co zachęcało ich do rywalizacji i na planie dawali z siebie wszystko. Po premierze w Boże Narodzenie 1973 r. film został nominowany do nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej w większości kategorii, w tym dla najlepszego aktora, dla Roberta Redforda. No i Oscar! Teraz mówiono, że jeśli Redford występuje w filmie, to odciska na nim największe piętno.

Mógł przebierać w scenariuszach. Tak zaczęły się przymiarki do ekranizacji powieści „Wielki Gatsby" F. Scotta Fitzgeralda. Gatsby'ego mieli grać Warren Beatty albo Jack Nicholson. Przeważyło to, że Redford był przystojny. Przedsięwzięcie okazało się fiaskiem, choć włożono mnóstwo pieniędzy w reklamę, a rynek zalano gadżetami, począwszy od whisky Ballantine's, a na urządzeniach kuchennych Gatsby'ego skończywszy. Film wydawał się kompletnie nie na czasie – naród z zapartym tchem obserwował w telewizji przesłuchania uczestników afery Watergate.

> To, czego szukam, przez cały czas miałem pod nogami. Przyroda jest nieskażona polityką i władzą. Jest niezmienna.

Redford szybko zrozumiał, jak ważne są teraz sprawy polityczne, i zaczął się domagać, aby Bob Woodward, jeden z dziennikarzy, którzy wytropili aferę, stworzył scenariusz na ten temat. Sam miał zagrać Woodwarda, do pary mieli dobrać jeszcze Ala Pacino, ale stanęło na Dustinie Hoffmanie jako drugim dziennikarzu, Carlu Bernsteinie. Hoffman i Redford byli perfekcjonistami. Dublom nie było końca. Ostatecznie reżyser Alan Pakula zużył 90 km taśmy, z czego wykorzystał niecałe 4 km do zmontowania filmu, który trwa dwie godziny i 18 minut. Tytuł „Wszyscy ludzie prezydenta" zarobił 51 mln dol. Ale to było apogeum kina politycznego. Na ekrany wchodziły „Szczęki" Stevena Spielberga, które na zawsze odmieniły kino i popchnęły je w stronę coraz mniej wymagającej rozrywki.

## Zaklinacz ekranu

Zmieniało się kino, zmieniał się Redford. W 1970 r. przeczytał, że Amerykanie to niecałe 6% ludności



eprasa.pl 8076cc18d8

Z Dustinem Hoffmanem w filmie „Wszyscy ludzie prezydenta".

W „Zaklinaczu koni" z Kristin Scott Thomas.

Ziemi, a zużywają 40% zasobów, emitując jednocześnie 50% wszystkich zanieczyszczeń. Coraz mniej myślał o rolach, coraz częściej skłaniał się ku akcjom społecznym, ekologicznym i obronie mniejszości. W Sundance zorganizował konferencję „Cieplarniana głasnost" we współpracy z Akademią Nauk ZSRR na temat światowego ocieplenia klimatu. Sam też wekslował w stronę kina bardziej refleksyjnego i dogłębnego. Dlatego zdecydował się zagrać w „Pożegnaniu z Afryką", partnerując Meryl Streep. Poszedł także w głąb i przedstawił zjadliwy portret amerykańskiej klasy średniej w „Zwyczajnych ludziach" (Oscar za reżyserię).

W „Zaklinaczu koni" według powieści Nicholasa Evansa dał, jak pisała krytyka, pewne podstawy zen. Do filmu podchodził bardzo osobiście. Kiedy studiował tę historię na ranczu w Montanie i prace się przedłużały, wytwórnia Disneya zagroziła wycofaniem się z projektu. W odpowiedzi Redford z własnych pieniędzy sfinansował pierwsze pięć miesięcy pracy nad filmem. Najtrudniejsze okazało się jednak reżyserowanie samego siebie. I rozmiary filmu. By zadowolić wytwórnię, wycięto z dziełka 50 minut, a i tak trwa ono prawie trzy godziny. Snuje się jak ballada.

Tymczasem ten nowy Redford, za którym wytwórnie nie nadążały, tłumaczył: „Dla mnie to jest historia czechowowska, a Czechow lubił zaskakiwać widza niewłaściwą reakcją bohatera, która obnażała istotę rzeczy". Dlatego polecił scenarzyście: „Chrzanić rygory czasowe. Robimy to po swojemu".

„Zaklinacz koni" pochłonął 80 mln dol., najwięcej ze wszystkich filmów, które Redford reżyserował. Obraz wszedł na ekrany w maju 1998 r. i szybko zgarnął na całym świecie 120 mln dol. Tym razem Redford zrezygnował z jakichkolwiek prób reklamy, choć proszono go np. o wywiad u Oprah Winfrey.

Kręcąc nowe filmy, deklarował: „Staram się brać odpowiedzialność za swój talent. Pogodziłem się z tym, że spora część widzów postrzega mnie jako romantycznego bohatera o pewnej ustalonej reputacji moralnej". Sam jednak chciał wykroczyć poza tę formułę. Jego syn Jamie mówił: „Zobaczyłem, że ojciec pierwszy raz od dawna ma wyostrzoną uwagę. Wcześniej był rozproszony". W połowie lat 90. jakby zdał sobie sprawę ze swoich celów życiowych. Nie był już tak rozbiegany.

Teraz skłaniał się ku życiu rodzinnemu. Zaczął bardziej się troszczyć o swoje dzieci. Nigdy nie rozpieszczał ich finansowo, uważając, że to psuje młodych ludzi. Każdemu dziecku zaoferował dom i wsparcie w trudnych sytuacjach, ale uznał, że to wystarczy i należy im stworzyć okazję do rozpostarcia skrzydeł.

Kiedy po sześćdziesiątce coraz częściej wycofywał się na swoją farmę w Utah, był już człowiekiem spełnionym, który godzi się z upływającym czasem. Wsiąkał w okoliczną naturę. Pisał: „Przez wiele lat szukałem dla siebie odpowiedniej religii, ale żadna nie spełniała moich oczekiwań. Nawet jeżeli przynosiły chwilowe ukojenie, prędzej czy później budziły we mnie opór. A tymczasem to, czego szukam, przez cały czas miałem pod nogami: tym czymś była przyroda. Przyroda jest nieskażona polityką i władzą. Jest niezmienna".

*Wiesław Kot*



FOT. EAST NEWS (3)

eprasa.pl 8076cc18d8

KURTYNA W GÓRĘ

## The Best Off

Ze spotworniałą odmianą polskości reżyser Marcin Liber i dramatopisarz Jarosław Murawski mierzą się w teatrze od lat, by wspomnieć przejmujące legnickie „III Furie" czy monumentalne wałbrzyskie „Na Boga!". Inaugurujące sezon w Teatrze im. Słowackiego „Polish Horror Story" stanowi kontynuację tych zmagań.

Tym razem śledzimy przygody dwójki bohaterów, poszukiwaczy duchów – Arniego (Wojciech Dolatowski) i Wolfa (Antoni Milancej), którzy na scenicznym cmentarzu, czy może śmietnisku wyobraźni zbiorowej, odgrzebują narodowe truchła. Są w tym zestawie upiory młodopolskie: wampiryczny Gustaw (Daniel Malchar), piękna, acz nieco nadgniła zombie Zośka (Magdalena Osińska) i upozowany na przedstawiciela Goralenvolku upiór Wacław (Rafał Dziwisz). Są też postacie i wątki bardziej współczesne, takie jak Muza

Influencerka (Karolina Kazoń), cyniczni ludzie mediów (Marta Waldera, Rafał Dziwisz, Dominik Stroka), a nawet latający spodek i zielone ludziki. Jest Wyspiański i kryzys męskości, FOMO oraz zidiocenie medialne. Wszystko to sprawnie zmontowane w serię epizodów przerywanych songami Nagrobków – w konwencji politycznej burleski. I choć ogląda się to nieźle, niczego nowego o Polsce się nie dowiadujemy.

*Michał Centkowski*

**Jarosław Murawski, „Polish Horror Story", reżyseria Marcin Liber, Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, premiera 12 września 2025**

**„U mnie wszystko w porządku", reżyseria Cezary Tomaszewski, scenariusz, muzyka, teksty piosenek Norbert Bajan, Studio Teatrgaleria, premiera 5 września 2025**

## Wszystko w porządku?

Tytuł aż wyzywająco kontrastowy z wymową spektaklu. Bo to przecież opowieść o gwałtownym odejściu, o nieprzeczuwanym przez najbliższych samobójstwie. O porażce partnera, który nie dostrzegł, że jego przyjaciel woła o pomoc, a teraz sam siebie pyta, jak do tego mogło dojść. Nie usłyszał albo zbagatelizował i teraz zmaga się z tą traumą, a opowieścią przeplataną piosenkami i rozsypywanymi kawałkami cynfolii maskuje rozpacz.

Nie ma tu słów wielkich czy rzucanych na wiatr. Cezary Tomaszewski wychodzi na początku z Szafy (taki napis widnieje na bocznych drzwiach wiodących na scenę, a ściślej do pola gry, bo sceny w Modelatorni Teatru Studio nie ma) i rozpoczyna spektakl „U mnie wszystko w porządku". To po części rekonstrukcja odważnego performansu Norberta Bajana, a po części próba znalezienia odpowiedzi na pytanie, czy można było zapobiec najgorszemu. Piosenki przeplatają się z cytatami z poradników na temat depresji i pomocy w kryzysie samobójczym. Na „scenie" zjawia się kilkakrotnie Monika Obara jako terapeutka, ale pytanie nie znajdzie odpowiedzi. Chyba tej odpowiedzi nie można znaleźć i na zawsze pozostanie niezabliźniona rana. Przedstawienie jest jedynie sposobem na częściowe uwolnienie się od ciężaru współwiny i symboliczny kontakt z kimś tak bliskim, a tak dalekim.

Skromny, operujący prostymi środkami spektakl silnie oddziałuje na publiczność. Jeśli nawet ktoś nigdy nie zetknął się z dramatem ludzi, którzy nie potrafili już dłużej żyć, to i tak odczuwa trudny do opisania żal po takich tragicznych decyzjach osób nieznajomych, najczęściej mężczyzn w sile wieku, sprawiających nieraz wrażenie ludzi silnych i spełnionych, a tak naprawdę niezdolnych do życia. Mądry, wart namysłu spektakl teatru faktu. Delikatny, stawiający trudne pytania bez czułostkowego roztkliwiania się.

*Tomasz Miłkowski*

MIĘDZY OKŁADKAMI

Stuart Turton

## Morderstwo u kresu świata

**tłum. Jacek Żuławnik**

**Albatros, Warszawa 2025**

Autor założył sobie u początków kariery, że każda jego powieść będzie inna. I rzeczywiście, w dodatku do gatunków podejście ma swobodne, grunt, by były w książce napięcie i tajemnica. Debiutanckie „Siedem śmierci Evelyn Hardcastle" dzieje się właściwie poza czasem. „Demon i mroczna toń" z kolei to podróż w wiek XVII, o wiele bardziej racjonalna mimo atmosfery grozy. Teraz zaś Turton wykonał skok w przyszłość, na tyle odległą, by ludzkość nauczyła się, jak zapewnić sobie długowieczność w zdrowiu. Tylko że nie wyzbyła się przywar. Z dobrodziejstw postępu korzystali jedynie bogaci – aż pojawiła się mordercza mgła i świat żywych został zredukowany do jednej wyspy. Lecz po 100 latach i ją mgła może pochłonąć. Już się zbliża…

To przewrotna dystopia o ewangelicznym przesłaniu „ostatni będą pierwszymi". Jest zagadka do rozwiązania, jak w rasowym kryminale, wręcz pokłady sekretów do odkrycia. Tu naprawdę nic nie jest takie, jak się wydaje.

*Aleksandra Pańko*

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. REGINA ZAWADZKA-BIGAJ, NATALIA KABANOW, MATERIAŁY PRASOWE



eprasa.pl 8076cc18d8

# Futbol wielki i najmniejszy

## Święto lig prowincjonalnych

Wojciech Kuczok

Wystartowała Liga Mistrzów, mecze wielkie, poziom kosmiczny, ale o tym za chwilę, albowiem moja ulubiona impreza piłkarska, zwana Pucharem Tysiąca Drużyn, czyli Puchar Polski, wchodzi w fazę z obligatoryjnym udziałem reprezentantów dwóch najwyższych lig. Dla klubów prowincjonalnych to jest święto, tym bardziej że przeładowany kalendarz najlepszych drużyn często sprawia, że odpuszczają sobie PP, a zatem nie masz ci lepszej okazji do tego, by Dawid sprał Goliata. Czasem zaś Dawid tak się rozpędzi, że całe rozgrywki wygrywa bezczelnie i niespodzianie – mieliśmy takich przypadków już sporo, choćby w ubiegłym roku, gdy trofeum wzniosła krakowska Wisła, niejako na pocieszenie, bo Biała Gwiazda od kilku lat nie potrafi powrócić do Ekstraklasy.

Jako że zdobycie krajowego pucharu stanowi przepustkę do rozgrywek europejskich, marzenie o tym, że LZS Kozia Wólka może zagrać z wielkim europejskim klubem, jest teoretycznie spełnialne, choć już nie tak prawdopodobne, jak to bywało drzewiej, przed wynalezieniem Ligi Europy i kwalifikacji. Mój ukochany Ruch po raz ostatni zdobył Puchar Polski przed prawie 30 laty jako drużyna z zaplecza Ekstraklasy, dzięki czemu na stadionie przy ulicy Cichej mógł być z honorami podejmowany legendarny Eusébio, ówcześnie odgrywający rolę ambasadora Benfiki, której do dziś pozostaje największą legendą. Niebiescy dostali bęcki w Lizbonie, w rewanżu zatem wykorzystali rozleniwienie rywali i wyrwali punkty, choć do chorzowskich legend przeszła dziesięciominutowa absencja najlepszego strzelca Ruchu, który z przejęcia w trakcie meczu musiał zejść do szatni za potrzebą (trener wolał zaczekać, aż snajper się załatwi, bo nie miał sensownych zmienników).

W 1993 r. także Niebiescy pobili rekord wszech czasów, wprowadzając do finału drużynę z… piątego szczebla rozgrywek. Ich rezerwy, obficie, choć regulaminowo wspomagane przez zawodników pierwszej drużyny, przeszły przez rozgrywki jak huragan i dopiero w serii rzutów karnych musiały uznać wyższość GKS Katowice, naonczas naszej eksportowej ekipy z wiodącą rolą braci Świerczewskich. W Ruchu II najbardziej zadziornym i nieustępliwym graczem był wtedy Michał Probierz, a w linii ataku grał kozacki duet Radosław Gilewicz i Roman Dąbrowski. Z dziesięciu jedenastek tylko jednej nie udało się wykorzystać właśnie Gilewiczowi, Niebiescy zatem na dwumecz z Benficą (bo to Portugalczyków wylosowała Gieksa w pierwszej rundzie PEZP) musieli poczekać jeszcze trzy lata.

**W Ruchu II najbardziej zadziornym i nieustępliwym graczem był Michał Probierz, a w linii ataku grał kozacki duet Radosław Gilewicz oraz Roman Dąbrowski.**

Rok wcześniej historyczny sukces osiągnęła Miedź Legnica, ćwierć wieku przed swoim pierwszym awansem do Ekstraklasy, sensacyjnie wygrywając w finale z Górnikiem Zabrze także rzutami karnymi. Legniczanie w nagrodę mogli się zmierzyć z Monaco, prowadzonym wtedy przez Arsène'a Wengera, a na legnicki stadionik przyjechały takie gwiazdy jak Jürgen Klinsmann, Lilian Thuram czy zdobywca jedynego gola Youri Djorkaeff.

Jedyną drużyną spoza dwóch najwyższych lig, której udało się spełnić marzenia do końca i sięgnąć po Puchar Tysiąca Drużyn, była gdańska Lechia, jeszcze jako ówczesny trzecioligowiec. Skądinąd finał w 1983 r. był jedynym w historii, w którym zmierzyły się ze sobą drużyny spoza Ekstraklasy – Lechia wygrała z Piastem Gliwice. Dzięki temu triumfowi do Gdańska przyjechał Juventus z Bońkiem i Platinim w składzie. W niesamowitej ciżbie kibiców, obsiadujących oprócz trybun pobliskie płoty, drzewa i dachy, znalazł się nawet Lech Wałęsa, przez co reżimowa TVP musiała przerywać transmisję, gdy tłum go wywoływał. Lechia nawet przez kilkanaście minut wygrywała, by ostatecznie przegrać 2:3. Jacek Grembocki, obrońca gdańskiej ekipy, wspominał piłkarską przygodę życia, mówiąc, że polscy piłkarze mogli zobaczyć z bliska, dotknąć, a nawet powąchać gwiazdy światowego formatu – PRL była wtedy na gospodarczym dnie, więc zapach zachodnich perfum był naszym piłkarzom nieznany i obezwładniający.

Uwielbiam chodzić na mecze kopciuszków z wielkimi klubami, tę atmosferę przejęcia historyczną chwilą, gdy trybuny maleńkich stadionów zapełniają się szczelnie, a kibice chłoną każdą minutę ze świadomością, że takie święto może już nigdy się nie powtórzyć – zapamiętują każdą akcję, aby mieć o czym opowiadać wnukom.

Najdłuższy mecz w życiu oglądałem w 50. urodziny na stadionie bielskiego Rekordu, kiedy gospodarze, niegrający nigdy wcześniej na szczeblu centralnym, podejmowali Pogoń Szczecin. Mecz rozpoczął się w październikowe popołudnie, by każdy chętny zdążył na niego po pracy,



eprasa.pl 8076cc18d8

Julian Ryerson z Borussii Dortmund (po lewej) walczy o piłkę z Kenanem Yıldızem z Juventusu podczas meczu Ligi Mistrzów. Turyn, 16 września 2025 r.

ale tak, aby w razie ewentualnej dogrywki bądź serii jedenastek wyrobić się przed zmierzchem, bo na Rekordzie sztucznego oświetlenia nie ma. Szczecinianie z Kamilem Grosickim i szeregiem gwiazd w składzie nie byli w stanie sobie poradzić przez 120 minut, a kiedy Tomasz Nowak strzelił gola z 50 m, flisz karpacki zadrżał od Koziej Górki po Szyndzielnię, taki wrzask wydobył się z gardeł tubylczych. Grupce fanatyków Pogoni było to nie w smak, więc zaczęli wygrażać gospodarzom, na co nadgorliwe służby porządkowe zareagowały gazem łzawiącym, tyle że wiatr natychmiast przeniósł gryzącą chmurę na trybunkę główną z miejscami prasowymi – nigdy się tak nie popłakałem na meczu. Owóż, mecz dobiegał końca nieomal w ciemnościach, bo nikt nie przewidział, że dopiero… 24. rzut karny zadecyduje o wyniku.

Przed rokiem oglądałem mecz rezerw Podbeskidzia z Odrą Opole na stadionie Zapory w Wapienicy, przy którym zbiegiem okoliczności przyszło mi później zamieszkać w uroczym zaciszu. Tymczasem wybieram się do Goczałkowic – rezerwy tutejszego LKS, klubu wciąż tu grającego Łukasza Piszczka, pomimo reprezentowania szóstego poziomu rozgrywek nie są bez szans w starciu ze Stalą Stalowa Wola. Będzie feta bez względu na wynik, „Goczały” jeszcze nie dostąpiły zaszczytu gry na takim poziomie. Obstawiam też, że w tym tygodniu odbędzie się pierwszy etap rzezi tłustych kotów z wyższych lig, które wciąż egzystują w myśl zasady przewodniej „skupiamy się na lidze, odpuszczamy puchary”. Bo w Polsce wciąż piłkarz woli zarobić tak, żeby się nie narobić – wyczuwam swąd sensacji np. w Ozimku, gdzie Małapanew zagra ze Zniczem, w Wikielcu, gdzie przyjedzie Podbeskidzie, oraz w Andrychowie, do którego wybiera się Chojniczanka (ja również).

A na futbolowych szczytach zaczęło się wielkie granie: przebojem pierwszej rundy Ligi Mistrzów był wariacki mecz w Turynie, właściwie jego druga połowa, w której Juventus podzielił się z Borussią po równo ośmioma bramkami. Włosi zagrali dwa szalone mecze w odstępie kilku dni, bo w lidze wygrali z Interem 4:3 i najwyraźniej wychodzą z kryzysu. Skądinąd mecz Juve z mediolańczykami był spóźnioną celebrą Dnia Ojca. Mój rówieśnik Lilian Thuram, mistrz świata i Europy, został właśnie, nie schodząc z trybun, MVP meczu za sprawą dwóch celnych strzałów sypialnianych: sprzed 28 (Marcus) i 24 (Khéphren) lat – jego synowie zagrali przeciw sobie na Allianz Stadium i trafili po razie, obaj zresztą głową. Idealna symetria, prezent dla dumnego papy, jakby się bracia umówili przed imprezą rodzinną.

Największą sensację w pierwszej kolejce Champions League sprawili zawodnicy Karabachu Agdam, ogrywając w Lizbonie Benficę całkiem zasłużenie. Nasz Mateusz Kochalski wcale nie musiał się nawysilać w bramce, choć dwa gole na początku meczu wpuścił, koledzy odrobili je z nawiązką. Niestety, to był jedyny Polak, który zagrał w pełnym wymiarze minut – Robert Lewandowski zszedł po 70 minutach w cieniu fantastycznego występu Marcusa Rashforda, który dwoma golami zapewnił Barcelonie zwycięstwo w Newcastle. Piotr Zieliński wszedł w końcówce, kiedy Inter już kontrolował zwycięski wynik w Amsterdamie. Nicola Zalewski przesiedział na ławce cały mecz Atalanty, ale przynajmniej nie można go winić za kompromitację drużyny Ivana Juricia w Paryżu – Włosi nawet nie podjęli walki, PSG wygrało 4:0. Śmiem jednak twierdzić, że to Zalewski przetrwa w Bergamo dłużej niż chorwacki szkoleniowiec.

**Uwielbiam chodzić na mecze kopciuszków z wielkimi klubami, gdy trybuny maleńkich stadionów szczelnie się zapełniają.**

Spośród faworytów najbardziej zachwycił Bayern, który w Monachium nie dał pograć Chelsea. Rozczarowało Atlético, choć za sprawą Marcosa Llorentego do końca wierzyło w wywiezienie punktu z Liverpoolem. Po straconej bramce w doliczonym czasie wściekły Diego Simeone prawie się pobił z kibicem. Rozum odebrało też Carvajalowi, który huknął „z Zidane’a” przeciwnika i wyleciał z boiska, ale Real, jak to Real, poradził sobie nawet w dziesiątkę, tym razem z Olympique Marsylia. ■

FOT. AP/EAST NEWS



eprasa.pl 8076cc18d8

# Nowy uśmiech z Afryki

## Maroko, podobnie jak kiedyś Turcja i Albania, staje się liderem turystyki stomatologicznej

Tomasz Skowronek

Maroko, raj dla turystów korzystających z chirurgii plastycznej, przyciąga coraz więcej Hiszpanów poszukujących również taniej opieki stomatologicznej. Rada Stomatologów Hiszpańskich (Consejo General de Dentistas de España) ostrzega przed nadużyciami w tych praktykach i krytykuje tamtejsze standardy higieniczne.

### Perełka turystyki stomatologicznej

Agadir, miasto na atlantyckim wybrzeżu południowego Maroka, niecałe trzy godziny lotu z Hiszpanii, jest najsłynniejszym marokańskim kurortem – to ulubione miejsce miłośników słońca i oceanu. Słynie z długiej na ok. 10 km plaży i sportów wodnych. W ostatnim czasie zyskuje popularność w innej niż wypoczynek dziedzinie. Staje się stolicą turystyki stomatologicznej w Maroku.

W jednej z dzielnic Agadiru, Technopole, powstaje coraz więcej klinik oferujących wysokie standardy leczenia. Implanty kosztują w nich ok. 900 euro, a oferty za leczenie kanałowe lub założenie korony zaczynają się od 120-250 euro. To ceny bardzo atrakcyjne w porównaniu z 2,5-3 tys. euro za implanty bądź 400-800 euro za korony w Wielkiej Brytanii czy we Francji. Marokańskie portale internetowe zachęcają odwiedzających Agadir do „odkrycia perełki turystyki stomatologicznej w Maroku".

W mediach społecznościowych reklamowane są kompleksowe usługi i na pierwszy rzut oka wspaniałe doświadczenia. „Odmień swój uśmiech w Maroku dzięki licówkom kompozytowym za jedyne 1250 euro za osobę lub 2000 euro za dwie!". To jedno z wielu haseł pojawiających się na TikToku. Można tam znaleźć również filmy, na których hiszpańscy pacjenci pokazują nowe zęby, relaksują się przy basenie i dodają, że wyjazd do Maroka był doskonałą decyzją.

Przykładowy siedmiodniowy pobyt w Agadirze może obejmować: lot z Madrytu, odbiór z lotniska, zakwaterowanie w czterogwiazdkowym hotelu, wstępną konsultację, założenie licówek lub koron, badanie kontrolne oraz czas wolny na relaks lub wycieczki, takie jak przejażdżka na wielbłądzie lub quadzie. Ceny pakietów zaczynają się od 1,2-2 tys. euro, w zależności od wybranej usługi i rodzaju hotelu.

Te szybkie i niedrogie usługi łączone kuszą coraz więcej hiszpańskich turystów. Wystarczy wysłać zdjęcie zębów do kliniki przeprowadzającej zabieg, otrzymać zdalną diagnozę i zarezerwować pakiet. Co w nim dostaniemy? Obietnicę idealnego uśmiechu, którego trwałość ma wynosić 10-15 lat.

### Zagrożenia i paradoksy

Do Maroka coraz chętniej podróżują pacjenci z Europy, Afryki i Bliskiego Wschodu. W Rabacie, Casablance, Marrakeszu, Agadirze i Tangerze znajduje się kilka wyspecjalizowanych klinik medycznych. Chociaż brakuje aktualnych danych na temat rozmiaru tego rodzaju turystyki, to informacje opublikowane przez Medical Hospitality Morocco w 2018 r. pokazują, że do kraju rocznie przybywa na różne zabiegi chirurgiczne, od plastycznych poczynając, na leczeniu poważnych chorób kończąc, ok. 500 tys. turystów. Według The Medical Tourism Index (MTI), który ocenia atrakcyjność poszczególnych krajów jako kierunków turystyki medycznej, Maroko może się znaleźć w czołówce, tuż obok Turcji, Tajlandii, Egiptu, Indii, Libanu i Malezji. Szacuje się, że na świecie co najmniej 20 mln ludzi co roku podróżuje do krajów z tanim systemem opieki zdrowotnej.

Rada Stomatologów Hiszpańskich ostrzega jednak przed zagrożeniami, jakie ten trend może stwarzać. Dr Óscar Castro Reino, prezes hiszpańskiej Izby Lekarsko-Stomatologicznej, krytycznie podchodzi do turystyki medycznej w Maroku. Twierdzi, że tego typu zabiegi, przeprowadzane w ciągu „kilku godzin", to czas niewystarczający na postawienie pełnej diagnozy. Uważa, że „obsesja na punkcie idealnie białych zębów (…) prowadzi do popełniania błędów, które mogą mieć nieodwracalne konsekwencje".

Óscar Castro Reino zwraca uwagę, że marokańskie kliniki nie podlegają takim przepisom sanitarnym jak w Hiszpanii, gdzie wymagane są regularne kontrole sanitarne. Skutki tego mogą być nieprzewidywalne: „Nie wiemy, co się stanie, jeśli po powrocie pacjenta do Hiszpanii wystąpią jakiekolwiek komplikacje

**Do Maroka na różne zabiegi chirurgiczne, od plastycznych poczynając, na leczeniu poważnych chorób kończąc, przybywa rocznie ok. 500 tys. turystów.**



eprasa.pl 8076cc18d8

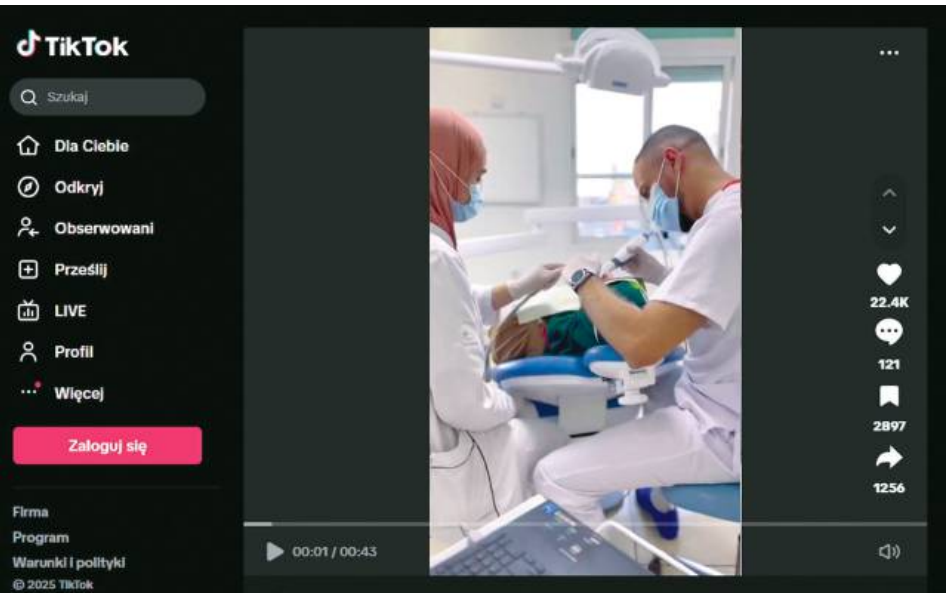


związane z licówkami, które kupił w Maroku, ani kto będzie odpowiedzialny za tę sytuację".

Jednocześnie, jak przekonuje hiszpański dziennik „El Confidencial", podczas gdy coraz więcej Hiszpanów rozważa różne zabiegi w Maroku, zamożni Marokańczycy nadal cenią hiszpańską opiekę medyczną. Niektórzy wykupują prywatne ubezpieczenie zdrowotne w Hiszpanii, marokańskie kobiety przyjeżdżają np. zrekonstruować błonę dziewiczą.

Dr Mohamed Sdira, prezes Narodowego Stowarzyszenia Dentystów Maroka, broni miejscowych usług dentystycznych i medycznych. „Jeśli trafiają do nas pacjenci z Hiszpanii, Francji czy innych krajów, to dlatego, że jesteśmy w stanie dobrze ich leczyć, a nasze stawki są niższe niż w Europie. Mamy dentystów, którzy są doskonale wykwalifikowani i zapewniają opiekę na bardzo wysokim poziomie. Czegoś takiego Hiszpanie nie mają we własnym kraju, znajdują to tutaj, w Maroku, a za tę samą jakość płacą niższą cenę", mówił marokańskiej redakcji Médias24.

Jak podaje portal Africa24, kraj pozycjonuje się wysoko jako cel podróży pacjentów zagranicznych, poszukujących wysokiej jakości opieki medycznej, ale też zorientowanych na korzystanie z dziedzictwa kulturowego. Marokańska wiedza medyczna, która nie budzi już wątpliwości wśród zagranicznych pacjentów, sprawia, że kraj ten plasuje się na siódmym miejscu w Afryce w rankingu systemów opieki zdrowotnej. Przyciąga to coraz więcej pacjentów zainteresowanych przede wszystkim stomatologią i medycyną estetyczną.

## Nielegalne gabinety, znieczulenia z czarnego rynku

Jednak Narodowe Stowarzyszenie Dentystów Maroka w oficjalnym oświadczeniu z 16 czerwca br. potępiło wzrost liczby nielegalnych i niekontrolowanych praktyk stomatologicznych: „Praktyki te doprowadziły do dramatycznych incydentów, szeroko relacjonowanych przez media i udokumentowanych przez sądy: zgonów w wyniku stosowania podrobionych lub przeterminowanych środków znieczulających, przypadkowych przedawkowań, trwałych kalectw lub zakażeń nabytych podczas zabiegów wykonywanych w opłakanych warunkach higienicznych".

Stowarzyszenie alarmuje, że wiele procedur medycznych jest wykonywanych przez osoby bez przeszkolenia lub zezwolenia, w pomieszczeniach niespełniających minimalnych standardów higieny. Związek potępia szczególnie działalność gabinetów podszywających się pod „producentów protez stomatologicznych", gdzie wykonywane są czynności zarezerwowane dla zarejestrowanych dentystów.

Pomimo wysiłków ministerstwa spraw wewnętrznych i przeprowadzonych przez stowarzyszenie inspekcji nielegalne kliniki mnożą się nawet w znanych ośrodkach miejskich. „To zagrożenie dla zdrowia publicznego, a także dla wizerunku Maroka", podkreślają przedstawiciele rządu i dentyści. „Królestwo przygotowuje się do organizacji międzynarodowych imprez turystycznych i sportowych. Dlatego konieczne jest wzmocnienie nadzoru sanitarnego i prewencja, by praktyki te nie zagrażały reputacji kraju".

Lata temu popularne było podróżowanie do Turcji na przeszczep włosów. Poza tym właśnie Turcja była jednym z pionierów turystyki dentystycznej ze słynną inicjatywą „Turkey Teeth", w ramach której agencje turystyczne oferowały kompleksowe pakiety: przelot samolotem, hotel, zwiedzanie i leczenie stomatologiczne. Można zresztą było zyskać nie tylko nowe zęby – na życzenie bezproblemowo wykonywano liposukcję lub operację piersi. Konsekwencje bywały jednak katastrofalne.

Ten rodzaj turystyki medycznej stał się popularny również w Europie Wschodniej i Azji Środkowej. Polacy też jeżdżą po „tureckie zęby", a i oferty z Maroka znajdziemy w sieci. Swego czasu wielu obywateli Rosji podróżowało z Władywostoku do chińskiego miasta Hunchun i z Błagowieszczeńska do Heihe, by skorzystać z taniej opieki stomatologicznej. Trend podróży po hollywoodzki uśmiech jest globalny. ■

**Marokańskie kliniki nie podlegają takim przepisom jak w Hiszpanii, gdzie wymagane są regularne kontrole sanitarne.**

FOT. TIKTOK



eprasa.pl 8076cc18d8

# JOLKA

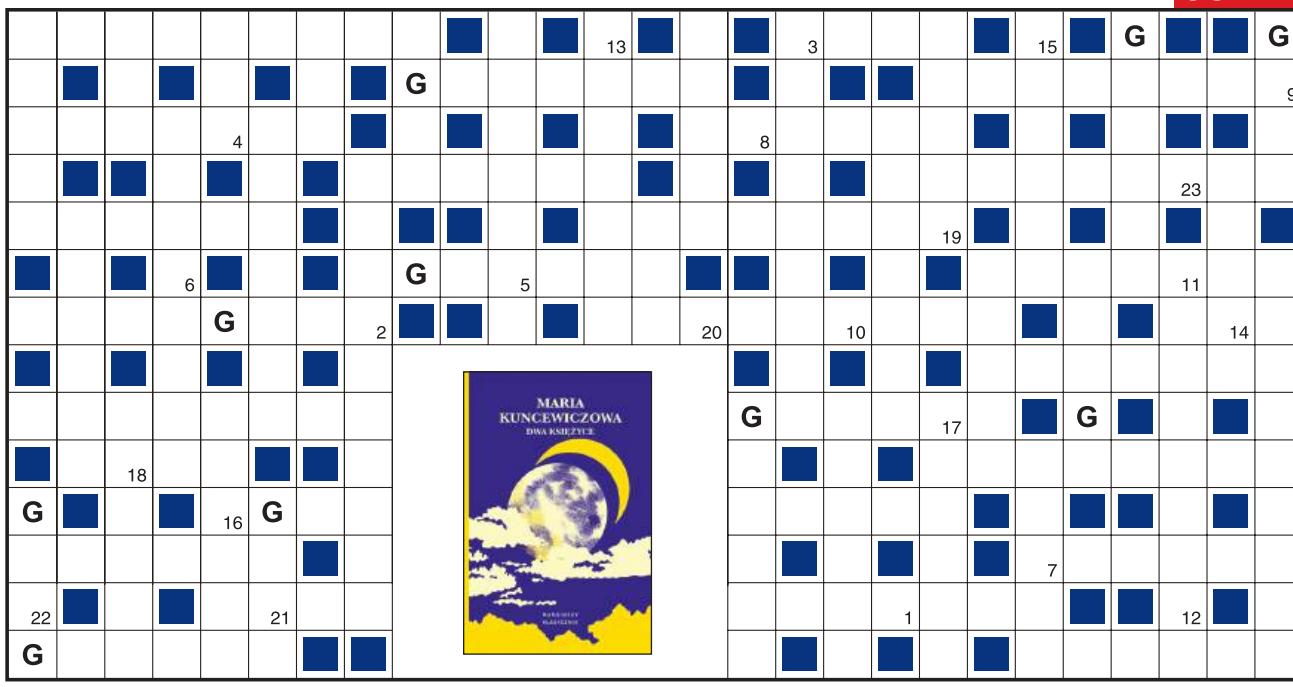


| 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 | 21 | 22 | 23 |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery G ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- napastliwość, zaczepne zachowanie
- puka z towarem
- dziewczynka z elementarza
- najmłodsza córka cara Mikołaja II
- byk czczony jako wcielenie Ptaha
- główne drogi, ważne szlaki komunikacyjne
- dna moczanowa inaczej
- z niego nawierzchnia jezdni, czasem boiska
- stolica Kazachstanu
- piosenkarka Spears
- stolica z Atomium
- mało ambitna dodatkowa praca
- gram razy dziesięć
- z Hyziem i Zyziem oraz Kaczorem Donaldem
- wybór króla głosami szlachty
- wyraz odimienny
- tekst Tomasza Jastruna lub Jana Widackiego
- niepowodzenie, klapa przedsięwzięcia
- Mickiewiczowski zielony, gdzie dziewczę rwie jagody
- Olsena, Marcela albo biedroniaków
- przyganiał mu kocioł
- miasto z Jarmarkiem Dominikańskim
- zakres kompetencji, uprawnień
- skrzat strzegący skarbów lub kopalni
- reżyser Jean-Luc, przedstawiciel nowej fali
- w kierpcach i czerwonych koralach
- z nim – z dodatkiem, z okładem
- do szycia lub zastrzyków
- wśród borowców między galem a talem
- autor „Procesu" i „Zamku"
- pomarańczowy barwnik roślinny
- próg skalny na Nilu
- jeleń na rykowisku w złoconych ramach
- student seminarium duchownego
- kobieta z tej samej okolicy, rodaczka
- wypatrywany z bocianiego gniazda
- żona Mirmiła i miasto, które było członkiem Związku Pruskiego
- mleko nad łąkami
- sitowie jeziorne
- unijny urząd do zwalczania nadużyć finansowych
- wielkość charakterystyczna dla materiału, urządzenia
- kreskówkowa świnka, siostra George'a
- belka pod szynami
- wiara w wielu bogów
- u Tuwima bukiet nią szepnął, różą krzyknął
- Addamsów lub Soprano
- gałązka do chłosty
- przeciwnik, konkurent
- potwór czyhający pod Tebami
- gromada psów myśliwskich
- odcięta cząstka, nieduży kawałek z brzegu
- metal szlachetny Ag
- ptak gapiący się w gnat
- tam kłody rozpiłowywane
- motorniczy
- zdarza się coś założyć …na przód
- kartka z reklamą
- w niej odparowuje się solankę
- po tym znaku Ryby
- roślina o pędach niezdrewniałych

## KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1240". Do rozlosowania książki „Dwa księżyce" ufundowane przez Wydawnictwo Marginesy. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 28 września 2025 r.

**Rozwiązanie „JOLKI-1237" z nr. 36: *Milczenie nie bawi suflera.***
**Nagrody otrzymują: Eugeniusz Komorowski ze Świdnicy, Beata Kubik z Zawiercia, Krystyna Modzelewska z Krakowa.**



eprasa.pl 8076cc18d8

# Na korytarzu

Kiedy na korytarzu w MSZ spotyka się trzech dżentelmenów (to nie jest łatwe, tak natknąć się na siebie – wszędzie są śluzy), zawsze wymieni uwagi. Tym razem wnioski były następujące:

1. Dwóch słońc na niebie być nie może. Przekonał się o tym Marek Prawda, były już wiceminister. Ale czy wie to Radosław Sikorski? Na razie ewidentnie testuje pryncypała. I aktywnością medialną, i aktywnością w portalu X, no i jadąc na obóz młodzieżowy swojego syna.

2. Może więc dyplomacja Radosławowi Sikorskiemu się znudziła? O nie! Nie znudziła mu się, choć nudzi go mocno zarządzanie MSZ. Ale to są dwie różne sprawy.

3. Sikorski pojmuje sprawy zagraniczne inaczej niż zawodowy dyplomata. Otóż zawodowy dyplomata chce sprawę załatwić, styl jest tu mniej ważny, pochlebstwa jak najbardziej są dopuszczalne. Mark Rutte schlebiający Donaldowi Trumpowi jest takiego działania przykładem. Sikorski działa w sposób absolutnie przeciwny – załatwienie sprawy jest dla niego drugorzędne, najważniejszy jest szum, który wokół niej tworzy.

Przykład pierwszy takiego działania to wielomiesięczna bezefektywna przepychanka z Andrzejem Dudą w sprawie podpisów pod nominacjami ambasadorów. Chyba cztery razy panowie podawali sobie ręce i uzgadniali deal. W ostatnich tygodniach prezydentury Duda miał podpisać nominacje 18 ambasadorom. Tak uzgodnili. I nic. Czy to jest tylko wina Dudy?

Przykład drugi to awantura z prezydentem Karolem Nawrockim. Nie tylko po jego wizycie u Donalda Trumpa, ale także po spotkaniu w Niemczech. „W sprawie reparacji Pan Prezydent poniósł w Berlinie zwycięstwo moralne. (…) Polityka zagraniczna jest trudniejsza, niż się wydaje”, pouczał Nawrockiego Sikorski.

Czy pouczył? Czy ułatwi mu to załatwianie różnych spraw z prezydentem? To mało prawdopodobne. Czy raczej uznał, że ma polityczne złoto jako ten, który z Nawrockim się mocuje (i z jego ministrem Marcinem Przydaczem przy okazji)? I to z sukcesami, wywołując aplauz gawiedzi? Jeżeli tak, to patrz punkt 1.

4. Odnotujmy też, że w prezydenckiej wizycie w Niemczech i we Francji wziął udział, po raz pierwszy, wiceminister z MSZ. Był nim Władysław Teofil Bartoszewski. Dlaczego on? Podział obowiązków wśród wiceministrów powinien go z tych wizyt wykluczać. Bartoszewski nie zajmuje się sprawami europejskimi, nie odpowiada za nie, zajmuje się Azją. Poza tym odpowiada za kontakty z parlamentem. Ale nie z prezydentem.

Może więc pojechał dlatego, że ekipa Nawrockiego chce jakoś wyróżniać PSL? A to z rekomendacji tej partii Bartoszewski jest w MSZ.

5. À propos partyjnej rekomendacji, mamy absolutną nowość w historii MSZ – partia odwołała swojego wiceministra. Konkretnie zaś zarząd partii Polska 2050 odwołał podsekretarz stanu Annę Radwan-Röhrenschef. A ona w związku z tą decyzją podziękowała tym, którzy ją odwołali, z Szymonem Hołownią na czele. Za zaufanie itd.

Z kolei Sikorski jej podziękował i przyjął tę decyzję do wiadomości. Niby minister, a jak się okazuje, też zbyt wiele nie może. Śmieszne i straszne, prawda?

*Attaché*

**Prezydent Donald Trump i król Karol na bankiecie w zamku Windsor podczas wizyty przywódcy USA w Wielkiej Brytanii. 17 września 2025 r.**

FOT. AFP/EAST NEWS



eprasa.pl 8076cc18d8

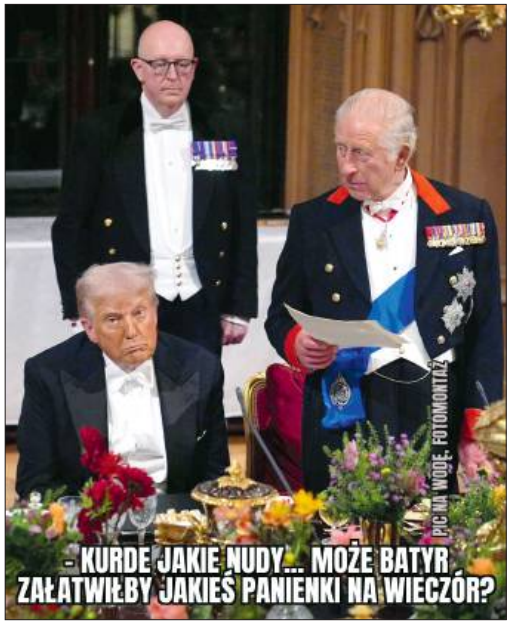


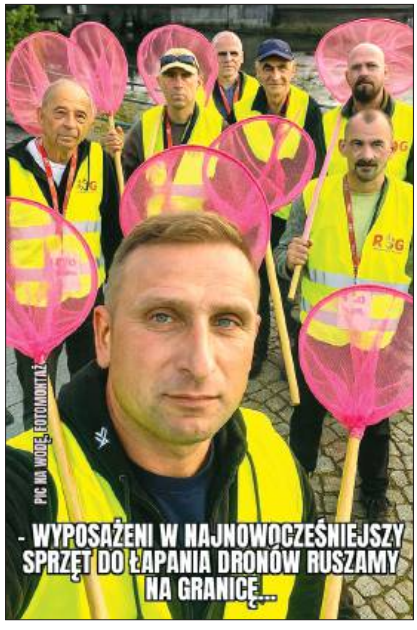


TYGODNIK ANGORA

## STANISŁAW OBIREK,
TEOLOG, HISTORYK

**Lewica twierdzi, że państwo polskie powinno wypowiedzieć konkordat.**

– Też tak uważam. Ta umowa międzynarodowa ze Stolicą Apostolską podpisana w 1993 r., a obowiązująca od 1998 r., sprawia, że nie jesteśmy w pełni suwerennym państwem, gdyż biskupi w wielu kwestiach w praktyce nie muszą stosować się do polskiego prawa. To jest układ wasalski, z którego państwo polskie nie ma żadnych korzyści. Niewielka katolicka Irlandia na próbę narzucenia jej konkordatu odpowiedziała słowami dwóch kolejnych prezydentów: pań Mary Robinson i Mary McAleese, że Watykan już wystarczająco skrzywdził Irlandię i nie ma potrzeby, żeby nadal miało to miejsce. Ale przy prezydencie Nawrockim w Polsce nie ma to szans.

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

## ANDA ROTTENBERG,
HISTORYCZKA SZTUKI

To, co dzisiaj się dzieje, bardzo przypomina stan świata przed II wojną światową. Autorytarne rządy, radykalizujące się narodowościowe ruchy, brunatne marsze – nie tylko w Polsce, ale również we Włoszech, w Niemczech, we Francji i na Węgrzech. W Ukrainie i na Bliskim Wschodzie trwają wojny. Jako ludzkość nie wyciągamy żadnych wniosków z przeszłości. (…) Wciąż funkcjonujemy w modelu plemiennym. Dawniej plemię było małe, dziś jest duże. Cała reszta pozostała niezmienna. Wciąż mamy swoje totemy, np. Orła Białego. Jeśli inne plemię zagrozi naszemu orłowi, to my wypowiemy mu wojnę. To smutne, że wciąż nie umiemy zrezygnować z symboli, totemów i plemiennych przywódców. Myślę, że konsekwentnie zmierzamy do zagłady naszego gatunku.

zwierciadło

## AGNIESZKA SZYDŁOWSKA,
SZEFOWA PROGRAMU III POLSKIEGO RADIA

Misja brzmi bardzo poważnie, tymczasem to, co my tutaj mamy we krwi, co odziedziczyłyśmy i odziedziczyliśmy po pokoleniach, które to radio kiedyś tworzyły, niekoniecznie jest poważne, niekoniecznie bardzo serio. Trójka zawsze wyróżniała się spośród innych stacji Polskiego Radia charakterystycznym podejściem do rzeczywistości, pewnym zdystansowaniem wobec świata, puszczała do słuchających oko, kiedy naokoło obowiązywała peerelowska cenzura. Dzisiaj nie mamy cenzury, ale coś z tamtego podejścia zostało. Nie interesuje nas bicie piany, mamy swoją hierarchię rzeczy ważnych. Chodzi też, myślę, o dystans do siebie – coś, co naprawdę przydaje się w naszej robocie. Jesteśmy skłonni do śmiania się, radości, brykanda. Misja całkowicie na serio byłaby, moim zdaniem, nie do zniesienia.

Twój STYL

## ALEKSANDRA KWAŚNIEWSKA,
DZIENNIKARKA

Poszliśmy kiedyś na koncert Selah Sue. Byłam zachwycona. Wychodzimy, rozanielona mówię: „Kurczę. Ale super! Podobało ci się?”. Kuba na to (zapisałam, inaczej bym nie zapamiętała): „No wiesz, wyeksponowane pasmo w dole i niskim środku, podbite między 160 a 200 herców, kompresja dołupana i werbel się palił na czerwono”. Tak właśnie z muzykiem chodzi się na koncerty.



FOT. SATYRA POLITYCZNA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2)

eprasa.pl 8076cc18d8

## ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter | Wyrazy z **siedmiu** liter | Wyrazy z **ośmiu** liter

1. PAS + JER =
2. CAL + FAN =
3. DOZA + GAR =
4. WENA + MIT =
5. FETA + PLON =
6. HAKI + CENT =

ROZWIĄZANIA: PRESJA, FLANCA, ZAGRODA, WIETNAM, PANTOFEL, TECHNIKA

# Aby język giętki...

**PROF. KRZYSZTOF SKWIERCZYŃSKI**
**O ŚREDNIOWIECZU**

Średniowiecze to są wieki jasne, a nie ciemne. Nie palono osób homoseksualnych i czarownic. Jeśli życie kobiety w ciąży było zagrożone, to dopuszczało się przerwanie.

**EWA SIEDLECKA**
**O PODZIAŁACH W PROKURATURZE**

Są ziobryści i antyziobryści, bodnarowcy i antybodnarowcy, niezrzeszeni, ale krytyczni, ci, którzy chcą spokojnie pracować, i ci, którzy chcą przetrwać i nie oberwać.

**RAFAŁ PANKOWSKI O KIBOLACH**

To środowisko, choć może wydawać się marginalne, jest całkiem liczne i wpływowe.

**TOMASZ LIPIŃSKI**
**O ETNICZNIE CZYSTYCH POLAKACH**

Tworzenie takich terminów jest kompletnie oderwane od rzeczywistości. Ja wśród pradziadków miałem babkę Saksonkę, babkę Niemkę.

**PROF. ZBIGNIEW IZDEBSKI O LĘKU MĘŻCZYZN**

Zawsze byli mężczyźni zalęknieni, ale dziś jest ich dużo więcej.

**KUBA WOJEWÓDZKI**
**O KRAJOWYM SHOW-BIZNESIE**

Ten biznes jest jak szkoła. Najwięcej hałasu robią ci najmniej zdolni.

**LECH JANERKA O NOWEJ PŁYCIE „FIU FIU..."**

„Daj mi" jest piosenką o tym, jak rozglądam się za Bogiem, ale niczego nie widzę.

**SANDRA DRZYMALSKA O SOBIE**

W moim aktorstwie wszystko jest ze mnie.


**ADRES REDAKCJI**
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
**Telefony** +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
**fax** +48 22 635 84 10 wew. 119
**przeglad@tygodnikprzeglad.pl**
**listy@tygodnikprzeglad.pl**

**tygodnikprzeglad.pl**

**Redaktor naczelny:** Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
**Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:** Paweł Dybicz
**Zastępcy redaktora naczelnego:** Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
**Sekretarze redakcji:**
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
**Zastępca sekretarza redakcji:** Aleksandra Pańko
**Koordynator do spraw wydawniczych:** Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
**ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:**
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
**Stali felietoniści:** Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
**Rysownicy:** Grzegorz Bąkowski, Kain May
**Studio graficzne:** Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
**Dyrektor artystyczny:** Izabela Mierzejewska
**Fotoedytorzy:** Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
**Fotoreporter:** Krzysztof Żuczkowski
**Dział wydawnictw i reklamy:**
**Dyrektor:** Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
**Koordynator do spraw promocji i reklamy:**
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
**Dział kolportażu:** tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
**e-mail:** kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
**Wydawnictwa książkowe:** tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
**e-mail:** sklep@tygodnikprzeglad.pl
**Sprzedaż elektroniczna:** sklep.tygodnikprzeglad.pl



Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
**Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione.** Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
**Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.**



**Druk:** Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

**WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta**
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
**NIP:** 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
**KOD SWIFT:** WBKPPLPP, **IBAN:** PL
**Nr konta:** 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA





eprasa.pl 8076cc18d8

Jarosław Bednarz, absolwent katowickiego liceum plastycznego i ASP, to malarz, którego prace łączą precyzję warsztatową z poetyckim wyciszeniem. W jego obrazach pojawiają się pejzaże, wnętrza i detale codzienności, w tym sprzęty użytkowe rzadko spotykane w martwych naturach. Bednarz pokazuje ulotną nieobecność człowieka, a zarazem odchodzi od realizmu ku ekspresji i eksperymentowi, chętnie wpuszczając do procesu twórczego przypadek. Na co dzień pracuje w Muzeum Miejskim w Siemianowicach, gdzie prowadzi autorską galerię promującą nowe media elektroniczne.

**Galeria Kameralna ATElier Kultury**
**Jaworzno, ul. Adama Mickiewicza 2**
**do 21 października**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# Jarosław Bednarz

## Człowiek in spe

eprasa.pl 8076cc18d8

MEDECINS SANS FRONTIERES
LEKARZE BEZ GRANIC

# W STREFIE GAZY SIŁY IZRAELSKIE NISZCZĄ SYSTEM OPIEKI MEDYCZNEJ

PRZEKAŻ DAROWIZNĘ

W wyniku kampanii ludobójczej prowadzonej przez siły izraelskie w Gazie niszczone są warunki potrzebne do życia. Żaden szpital nie jest w pełni funkcjonalny. Brakuje środków medycznych, zaopatrzenia i sprzętu. Nie ma jedzenia i wody. Pacjentki i pacjenci umierają z przyczyn, którym można zapobiec. Dowiedz się więcej i wspieraj nasze działania.

eprasa.pl 8076cc18d8

LIVE NATION POLAND BY ARRANGEMENT WITH K2 AGENCY

GREATEST OF ALL TOURS

# VOLBEAT

WORLDWIDE

WITH SPECIAL GUESTS

# BUSH

& WITCH FEVER

## 13 PAŹDZIERNIKA

## COS TORWAR, WARSZAWA

BILETY: TICKETMASTER.PL / LIVENATION.PL

LIVE NATION

NOWY ALBUM "GOD OF ANGELS TRUST" JUŻ W SPRZEDAŻY

VOLBEAT.DK